



**UUK**

HARRY ADAM KNIGHT

# FUNGUS

Tłumaczył: Jerzy Śmigiel  
Tytuł oryginalny: Fungus  
Wydanie oryginalne: 1985  
Wydanie polskie: 1991



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
----------------------	---

## CZĘŚĆ PIERWSZA — ROZSIEWANIE

Rozdział pierwszy . . . . .	6
Rozdział drugi . . . . .	10
Rozdział trzeci . . . . .	15
Rozdział czwarty . . . . .	19
Rozdział piąty . . . . .	24
Rozdział szósty . . . . .	30

## CZĘŚĆ DRUGA — PODRÓŻ

Rozdział pierwszy . . . . .	36
Rozdział drugi . . . . .	41
Rozdział trzeci . . . . .	44
Rozdział czwarty . . . . .	51
Rozdział piąty . . . . .	59
Rozdział szósty . . . . .	64
Rozdział siódmy . . . . .	71
Rozdział ósmy . . . . .	76
Rozdział dziewiąty . . . . .	82
Rozdział dziesiąty . . . . .	89
Rozdział jedenasty . . . . .	96
Rozdział dwunasty . . . . .	101
Rozdział trzynasty . . . . .	109
Rozdział czternasty . . . . .	117
Rozdział piętnasty . . . . .	124

## CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy . . . . .	132
Rozdział drugi . . . . .	139
Rozdział trzeci . . . . .	146

Rozdział czwarty . . . . .	153
Rozdział piąty . . . . .	159
Rozdział szósty . . . . .	165
Rozdział siódmy. . . . .	170
Rozdział ósmy . . . . .	176

Fung/us: rzecz, rodz. nijaki (l. mnoga -i, -es)  
Grzyb, muchomor lub roślina pokrewna, także pleśń.  
(Bot.) roślina skrytościowa pozbawiona chlorofilu. Od-  
żywia się materią organiczną; (Pat.) gąbczasta narośl no-  
wotworowa; choroba skóry u ryb.

*Concise Oxford Dictionary*

**CZEŚĆ PIERWSZA —  
ROZSIEWANIE**

# Rozdział pierwszy

**Londyn.** *Wtorek, 6.20 wieczorem*

Norman Layne zapomniał o kolizji z atrakcyjną blondynką na Tottenham Court Road już zanim dotarł do domu. Jego umysł zaprzątnięty był wieloma innymi poważniejszymi sprawami. Denerwowało go nieznośne swędzenie pod przepocowaną, nylonową koszulą i czuł w sobie morderczą nienawiść do czarnego nastolatka, którego radio grzmiało, jakby jego właściciel był jedynym użytkownikiem metra. Norman wściekał się w duchu, wiedząc, że płacone przez niego podatki szły na utrzymanie takich właśnie nierobów.

A potem doszło jeszcze upokarzające wezwanie od kontrolera, który ni z tego, ni z owego zaprzagnął sprawdzić bilet. Norman był chorobliwie wręcz uczciwy, gdy chodziło o jakiegokolwiek opłaty. Najbardziej jednak zirytowało go zmarnowanie całego popołudnia w dziurze, którą niektórzy wciąż jeszcze nazywali West Endem. Przez telefon powiedziano mu, że firma Bradford i Simpkins ma dla niego jakąś pilną pracę. Jednak gdy dotarł na miejsce oświadczone, że to pomyłka. Nie mógł tego zrozumieć. Stał bez słowa przed dwoma młodymi, aroganckimi sprzedawcami i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że oto życie spłatało mu kolejnego, brzydkiego figla.

Po wyjściu splunął z obrzydzeniem na chodnik, lecz ku własnemu zaskoczeniu natychmiast otrzymał ostrą reprymendę od przechodzącego obok policjanta niewiele zresztą starszego od dwóch sprzedawców. Wściekły nie na żarty powlókł się w dół Tottenham Court Road. Rozmyślał, nieomal został zaaresztowany za rzecz tak trywialną, gdy wszędzie dookoła panoszyli się czarni z tą swoją głośną muzyką, niebezpiecznymi deskorolkami, rowerami i rynsztokowym slangiem.

Właśnie wtedy zderzył się z tą wysoką blondynką. I to w dodatku z własnej winy, ponieważ zupełnie nie patrzył, dokąd idzie. A co gorsza to on był stroną poszkodowaną w tym spotkaniu. Klapnął ciężko na pośladki i przez chwilę siedział oszołomiony, podczas gdy przechodzący obok ludzie rzucali mu rozbawione spojrzenia. W końcu blondynka pomogła mu wstać i przeprosiła, lecz wiedział, że mimo uprzejmych słów śmieje się z niego. Rzucił jedno ze swych najostrzejszych spojrzeń i ruszył dalej, nie odpowiadając jej ani słowem.

Dotarł wreszcie do domu. Co prawda nie był to raj, ale przynajmniej bezpieczna przystań, w której mógł się schronić przed nękającymi go bez ustanku kłopotami. Tutaj mógł uciec nawet przed największym problemem — żoną, Norą. To ona dokładnie zrujnowała mu życie. Mógłby być zupełnie kimś innym, gdyby go nie powstrzymywała bezustannie przed wszystkim.

Aby uniknąć spotkania poszedł na tył domku. Stojąc przy drzwiach kuchennych, przez chwilę uważnie nasłuchiwał odgłosów aktywności z kuchni, gdy nic nie usłyszał, szybko prześliznął się do swego warsztatu. Gdy zapalił światło i zamknął za sobą drzwi, westchnął z ulgą. Większość przyjemności, jakie jeszcze czerpał z życia, znajdowało się w tym pomieszczeniu: szafy na narzędzia, półki zapchane książkami o ciesielce i wyrobach artystycznych w drewnie, przedmioty w różnym stadium wykończenia i długie, nie tknięte jeszcze drewniane bale, rozsiewające wokół swój delikatny zapach.

Przez chwilę poczuł się gorzko rozczarowany, że nie dane mu jest wykonywać swój właściwy zawód, lecz już po chwili magia tego pomieszczenia oładnęła nim z całą mocą i wkrótce znalazł równie satysfakcjonujące zajęcie — dodatkowe polerowanie nie wykończonego jeszcze sekretarzyka. . .

Zaczął przesuwac papierem ściernym po gładkiej powierzchni blatu. Było to przyjemne, nieomal zmysłowe uczucie. Te ruchy nigdy nie nasuwały mu żadnych seksualnych skojarzeń. Seks zajmował zawsze wyjątkowo niską pozycję na jego liście potrzeb — ale dla postronnego obserwatora natychmiast stawało się jasne, że kocha się z drewnem.

Gdy głaskał i pieścił lśniąca powierzchnię, czuł, jak napięcie całego dnia zaczyna go z wolna opuszczać. . .

\* \* \*

*Środa, 7.07 rano*

Nora Layne leżała jeszcze w łóżku, zastanawiając się, co się u licha mogło stać z jej mężem. Nie było go całe popołudnie i wieczór. Poprzedniej nocy zasnęła dość wcześnie. Wypiła być może o jeden kieliszek sherry za dużo, i spała aż do rana. Była nawet zadowolona, że Norman nie spędził tej nocy w łóżku — pościel nie była tym razem w zwykłym nieładzie.

To było dziwne, że chociaż ich wzajemne stosunki od dawna stały się więcej niż chłodne, upierał się, aby nadal spali we wspólnym łóżku. Zgadywała, że robił tak, aby utrzymać pozory życia małżeńskiego przed sąsiadami. Albo przed Bogiem. Być może sądził, że Bóg uwierzy w pozory. Już od lat nie zastanawiała się, o czym on właściwie myśli. Była pewna, że nie o niej. I było jej to nawet obojętne. . .

A więc, gdzie mógł spędzić tę noc? Na ławce w poczekalni? Ale przecież tam jest tak strasznie niewygodnie. Nie mógłby zmrużyć oka. . .



Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie. Z pewnością siedzi już w tym swoim ukochanym warsztacie i czeka, aż mu zrobi śniadanie. No, ale dzisiaj sobie poczeka. Dla odmiany większą część dnia postanowiła przeleżeć w łóżku.

Napięcie, które odczuwała co rano, budząc się tuż obok tego starego szczura znikło i zaczęła ją nawet cieszyć ta nagła rebelia przeciwko rutynie wielu lat. Pamięć wsączyła w jej umysł wspomnienie chwil dzielonych razem z Normanem, w tym samym łóżku, dawno temu. Wydawały się tak nieprawdopodobne i oderwane od rzeczywistości, że wkrótce zblakły. Zamiast tego zaczęła ponownie gorzko rozmyślać o swym zmarnowanym życiu.

Po przeszło godzinie wstała, wsunęła stopy w błękitne, niegdyś puszyste kapcie, okłęciła się wyblakłym zielonym szlafrokiem i zeszła do kuchni. Było pusto i bez żadnych widocznych śladów śniadania. Nie wypił nawet filiżanki kawy.

Zaskoczona przyłożyła szklankę do ściany i przycisnęła do niej ucho. Z warsztatu nie dobiegał jednak żaden dźwięk. Co się z nim stało?

Perspektywa życia bez Normana nie przeraziła jej. Byłoby to wspaniałe, jak długo wszystkie rachunki pozostawałyby w należyтым porządku. Nigdy nie orientowała się w kwestiach finansowych. Lecz jeżeli coś mu się rzeczywiście stało — na przykład atak serca — to powinna się o tym jak najszybciej dowiedzieć. Im szybciej go stąd zabiorą, tym lepiej. Zanim zacznie śmierdzieć. Słyszała, że smród rozkładającego się ciała jest niezwykle trudny do usunięcia, nawet gdy się używa najsilniejszych odświeżaczy powietrza.

Leciutko, z wahaniem, zastukała do drzwi prowadzących do warsztatu. Ponieważ nie było odpowiedzi, zastukała silniej. Ponownie odpowiedziała jej cisza. A więc pozostało jej tylko wejść. Nie była tam od czasu, gdy poukładała jego narzędzia nie tak, jak trzeba. Kiedy to właściwie było? Nawet nie pamiętała.

W każdej chwili gotowa do ucieczki, pełna napięcia otworzyła powoli drzwi. Ale w pomieszczeniu panowała absolutna cisza. W nozdrza uderzył ją dziwny zapach, przypominający trochę zbutwiałe drzewo. Ośmielona, weszła do środka... i niemal krzyknęła.

Jedna ściana warsztatu pokryta była grubą warstwą pleśni.

Paskudny grzyb pomyślała spoglądając z przerażeniem na ścianę. Rzeczy tego typu nieodmiennie napawały ją wstrętem. Usunięcie czegoś takiego z ich pierwszego domu okazało się niezwykle kosztowne. Norman pokazał jej kiedyś puszyste, żółte i białe grzyby, które strawiły nieomal doszczętnie wsporniki podłogowe. Dla żartu przycisnął do nich jej dłoń. Jeszcze dziś na samo wspomnienie przesywał ją dreszcz obrzydzenia.

Lecz to paskudztwo było o wiele większe. Musiało narastać przez całe lata! Podłoga, ściany i sufit pokryte były miękkim, odrażającym dywanem. Stoliki i półki stały się bezkształtnymi skupiskami pleśni. No i ten zapach. Był tak intensywny, że przyprawiał ją o torsje.

Dlaczego Norman pozwolił, aby to się tak rozrosło? I to w dodatku tutaj, w tym jego sanktuarium? Nagle przyszło jej do głowy, że to musiało rosnąć niezwykle szybko. Było to jedyne rozsądne wytłumaczenie. Być może przez lata rosło pod klepiskami podłogi lub za ścianami, wypełzając dopiero zeszłej nocy. Tak, to wyjaśniło także, dlaczego nie było tu Normana — z pewnością wyszedł, aby kupić coś, co pozwoli mu pozbyć się tego paskudztwa. Jakiś płyn, od którego nieustannie drapie w gardle i po którym przez parę dni śmierdzi cały dom. . .

Podniosła drewniany kij i ze złością wsadziła go w największe skupisko grzyba. Niespodziewanie przez warstwę pleśni przebiegł wyraźny dreszcz, a po chwili cała masa poruszyła się. . .

A co gorsza — przemówiła.

— Nora — powiedziało coś niewyraźnym, przytłumionym głosem. — Nora. . . to ja. . .

Zanim zdążyła zareagować, Norman wysunął dwa śliskie, miękkie ramiona i objął ją po raz pierwszy od lat.

## Rozdział drugi

*Wtorek, 6.15 po południu*

Barbara z przyjemnością obejrzała cały film i było jej żal, że już się skończył. Chociaż światła dawno rozblęły, przez dłuższą chwilę siedziała na miejscu, zastanawiając się, dokąd pójść po seansie. Miała już wstawać, gdy spostrzegła wysoką, atrakcyjną blondynkę, która zajęła miejsce o parę foteli dalej. Barbara natychmiast opadła na siedzenie.

Smakowita, pomyślała, bardzo smakowita. Poczekwała chwilę, aby przekonać się, czy kobieta przyszła do kina sama, czy też jest z nią jakiś mężczyzna. Po przerwie, Barbara z ulgą stwierdziła, że kobieta jest sama.

Przez cały czas obserwowała ją dyskretnie. Parokrotnie próbowała o coś zagadnąć, lecz chorobliwa nieśmiałość skutecznie zamykała jej usta. W takich sytuacjach nigdy nie potrafiła zdobyć się na pierwszy krok — obojętnie, jak bardzo tego pragnęła. Strach przed odmową paraliżował ją zupełnie.

Zamiast tego pograżyła się w fantazjach na temat rozkoszy, do jakich rozmowa mogłaby doprowadzić — nie tylko tej nocy, ale i wielu przyszłych. Dałoby jej to niezbędną siłę, aby zerwać wreszcie z Shirley. Ich związek od jakiegoś czasu nie toczył się tak, jak by sobie tego życzyła. Ale nie mogła opuścić Shirley, nie mając nikogo w zamian. Nie zniosłaby samotności. Już nawet życie z Shirley wydawało się od tego lepsze.

Ponownie spojrzała na blondynkę, podziwiając jej piękny profil. Sprawiała wrażenie kobiety o silnej osobowości. Barbara zawsze wymagała tej właśnie cechy od swoich partnerek. Taka była Shirley, ale oprócz tego była okrutna. Ona z pewnością nie byłaby taka, rozmyślała Barbara o blondynce. . .

Zgasło światło i rozpoczął się film dokumentalny. Barbara zdecydowała, że pozostanie na seansie po raz drugi. Ostatecznie komedia, w której główną rolę grał Richard Pryor, była całkiem niezła. I kto wie, być może wpadnie na jakiś pomysł. . .

W trakcie reklam wstała i udała się do łazienki. Przeciskając się obok blondynki, starała się przeciągnąć chwilę kontaktu z jej krągłymi kolanami tak długo, jak tylko to możliwe, mrużąc przy tym miękko „przepraszam”. Sądziła, że uda-

ło jej się nasączyć to wystarczająco sugestywnym zaproszeniem, ale kobieta nie odpowiedziała ani słowem.

W drodze powrotnej z łazienki, gdzie spędziła parę zapierających dech w piersi chwil, celowo się potknęła. Udając, że traci równowagę, oparła się o kobietę i przez chwilę cudownych sekund trzymała ją w objęciach. „Jest mi strasznie przykro” — powiedziała gorącym szeptem Barbara, gdy kobieta złapała ją pod ramiona, by jej pomóc. „Nic się nie stało” — odparła kobieta chłodnym tonem doskonale wykształconej osoby.

Barbara ruszyła w stronę swojego miejsca. Chciałaby usiąść w jednym z pustych foteli tuż obok kobiety, ale przy tak niewielu widzach jej intencje stałyby się zbyt oczywiste. Ograniczyła się jedynie do posyłania jej długich, znaczących spojrzeń, w nadziei, że kobieta wreszcie zrozumie i odpowie tym jednym, jedynym spojrzeniem, które...

Lecz ku rozczarowaniu Barbary uwaga blondynki zaprzątnięta była wyłącznie filmem. A gdy zapłonęło światło wstała i wyszła, zanim Barbara zdążyła pozbiierać myśli.

Patrzyła za nią dopóki nie zniknęła w szerokich drzwiach i westchnęła. Po chwili, uśmiechając się smutno do samej siebie, wstała i wyszła powoli z kina. Wieczór zabawy i fantazji właśnie się skończył. Stała przed bolesną koniecznością powrotu do Shirley. Było to wystarczająco przykre w normalnych nawet okolicznościach, ale dzisiaj będzie przykre podwójnie. Nie tylko była już spóźniona, ale w dodatku pożyczyła sobie bez pozwolenia, czerwoną, jedwabną bluzkę.

Shirley stawała się absolutnie niemożliwa. Była taka zaborcza, gdy chodziło o ubranie i wszystko, co do niej należało. Także w stosunku do przyjaciółki...

Barbara zwolniła wyobrażając sobie scenę, jaka czeka ją w domu. Cholera, pomyślała. To już stawało się tak paskudne, jak wspólne życie z mężczyzną.

\* \* \*

Gdy próbowała otworzyć drzwi do ich mieszkania w Chiswick, przekonała się, że są zablokowane. Cholera, pomyślała ponownie, lecz krzyknęła jedynie:

— Shirley, kochanie. To ja.

— Kto? — głos Shirley dobiegał z holu.

— Ja, oczywiście — odparła Barbara z lekką irytacją w głosie.

— Co za ja?

Barbara wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by jej głos zabrzmiał łagodnie:

— Daj spokój, Shirl. Skończ już te wygłupy i wpuść mnie.

Shirley podeszła do drzwi i spojrzała na nią z wyrazem sztucznego zaskoczenia.

— A więc to ty. A przysięgłabym, że jesteś już w łóżku. A przynajmniej powinnaś już tam być.

— Otwórz te cholerne drzwi, Shirley.

— Czy zdajesz sobie sprawę jaka byłam zdenerwowana, gdy wróciłam do domu, a ciębie nie było? Nieomal dzwoniłam już na policję — Shirley zaśmiała się ostro i otworzyła drzwi.

— Przepraszam, Shirl — powiedziała Barbara wchodząc do środka. — Byłam po prostu w kinie. . .

— Przecież chodzisz zawsze na seanse popołudniowe, a jest już wpół do dziewiątej. Gdzie byłaś?

— To był tak dobry film, że obejrzałam go dwa razy — odparła Barbara, wchodząc do salonu. Na wspomnienie blondynki z kina poczuła, że się czerwieni. Nigdy nie potrafiła ukryć niczego przed Shirley.

— To do ciebie niepodobne — powiedziała słodko Shirley. — I dlaczego właściwie tak nagle się czerwienisz? Widzę to doskonale pod kołnierzykiem bluzki. Mojej bluzki.

Barbara zakryła dłonią usta, gdy nagle przypomniała sobie o tej przeklętej bluzce.

— Och, Shirl, pożyczyłam twoją. . .

— Widzę, kochanie — Shirley parsknęła krótkim śmiechem. — A więc powiesz mi, gdzie byłaś przez cały ten czas? I z kim? Zanim naprawdę się na ciebie rozgniewam.

— Byłam sama, przysięgam! — zaprotestowała z żarem Barbara. — Byłam w kinie! Grali nową komedię z Richardem Pryorem, a wiesz przecież, jak bardzo go lubię. To prawda! Musisz mi uwierzyć!

Shirley przez chwilę spoglądała na nią w zamyśleniu. W końcu uśmiechnęła się i powiedziała:

— Oh, zapomnijmy już o tym. Pocałuj mnie.

Ich wargi zetknęły się. Barbara początkowo nieufnie przyjęła ten pocałunek, ale wargi Shirley naparły na jej usta z całą mocą, a po chwili wilgotny język wcisnął się pomiędzy jej zęby. Barbara odprężyła się, czując ten nagły wybuch pasji i pomyślała, że ostatecznie być może nie jest to wcale takie złe.

Rozdzieliły się. Barbara uśmiechnęła się niepewnie, czując się troszeczkę oszołomioną.

— Jak minął dzień?

— Tak sobie. Byłam u lekarza. Nowiny dobre i złe.

— Oh — mruknęła Barbara. Nigdy nie wiedziała, jak przyjmować złe wiadomości od lekarzy. — Jakie dobre?

— Nie jestem w ciąży.

Barbara roześmiała się. Wszystko wskazywało na to, że te złe nowiny nie mogą być poważne.

— A te złe?

— Mam grzybicę jamy ustnej.

— Oh, ty biedne... — zaczęła Barbara, lecz nagle jej twarz wykrzywiła się w obrzydzeniu. Z wściekłością splunęła na podłogę i wytarła usta o rękaw bluzki Shirley. — Ty dziwko! Co ty sobie myślisz?

Shirley uśmiechnęła się złośliwie.

— Zasłużyłaś sobie na to. To oduczysz cię romansowania za moimi plecami. I brania moich ubrań, nie pytając mnie o pozwolenie...

— Spójrz, co myślę o tej twojej cholernej bluzce! — wykrzyknęła wściekle Barbara. Obiema rękami złapała za przód bluzki i gwałtownie szarpnęła. Rozległ się trzask dartego materiału.

Barbara prawie natychmiast zaczęła żałować tego niepotrzebnego wybuchu złości.

— Oh, Shirl, przepraszam.

— Ty mała suko!- warknęła ochryple Shirley, spoglądając na nią płonącymi wściekłością oczyma. Nagle rzuciła się na Barbarę.

Ta pisnęła i próbowała odskoczyć, ale Shirley była szybsza. Impet niespodziewanego uderzenia przewrócił Barbarę na podłogę. Shirley usiadła na niej okrajką, wyciskając z płuc resztkę powietrza. Barbara walczyła wściekle, lecz Shirley była o dobre piętnaście funtów cięższa i już po chwili, tak jak to było do przewidzenia, jej przeciwniczka była zupełnie bezradna.

Shirley usadowiła się teraz na biodrach Barbary i po krótkiej walce udało się rozłożyć jej ramiona płasko na podłodze. Sięgnęła w dół i nagłym ruchem rozdarła czerwoną bluzkę aż do końca. Barbara walczyła teraz z prawdziwą furją, usiłując na próżno zrzucić z siebie Shirley. Po chwili dostrzegła, jak ta nachyla się nad jej obnażonymi piersiami. Wrzasnęła dziko, gdy zęby Shirley zacisnęły się na jej lewym sutku.

— Ty dziwko! — wrzeszczała, bębniąc piętami o podłogę. Shirley nie odrywała ust od jej piersi. — Przestań! Przestań wreszcie!

Nagle z góry dobiegł jej głośny łomot. Był tak gwałtowny, że na moment przygasty światła. Shirley natychmiast przestała gryźć i wrzasnęła:

— Pieprz się, ty erotomanie!

Uderzenia przybrały na sile i nagle zamarły. Ich sąsiad z góry, emerytowany urzędnik o nazwisku Pickergill, zakończył już swój wieczorny występ.

Barbara spojrzała w górę na zaczerwienioną i mokrą od potu twarz Shirley. Przyjaciółka oddychała ciężko, a jej oczy lśniły podnieceniem i pożądaniem zarazem. Barbara poczuła, jak w niej także budzą się namiętności, i nagle zdała sobie sprawę, dlaczego mimo wszystko nie potrafi odejść. Po prostu Shirley była wspaniałą kochanką. Nikt nie potrafił zaspokoić Barbary tak, jak właśnie ona...

Shirley wstała i pomogła Barbarze podnieść się na nogi. Oszołomiona dziewczyna posłusznie pozwoliła zawlec się do sypialni. Rzuciła się na łóżko, przekreśliła na plecach i pozwoliła, by Shirley rozebrała ją do końca. Podobała jej się ta

szorstka gwałtowność ruchów, gdy Shirley ściągała z niej dżinsy, a potem resztę. Strzępami czerwonej bluzki nie zawracała już sobie głowy.

W oczekiwaniu na radosny finał, naga, rozłożyła szeroko nogi. Shirley stała przez chwilę nieruchomo, spoglądając na nią z góry. Barbara leżała zupełnie wyekspowowana. Poczowała nagły dreszcz, gdy napotkała wygłodniałe, okrutne spojrzenie.

W końcu Shirley rozebrała się szybko, obnażając przed nią swe smukłe, wysportowane ciało, które Barbara знаła tak dobrze, jak swoje własne. A w pewnym sensie nawet lepiej niż własne. . .

Zamknęła oczy, a Shirley klęknęła wreszcie pomiędzy jej rozrzuconymi nogami. Westchnęła z rozkoszy, gdy poczuła na sobie pierwsze, wilgotne dotknięcie języka. Po chwili wsunął się głębiej. Barbara wydała z siebie niski, gardłowy jęk i wygięła się w łuk, podczas gdy pierwsza fala nadciągającej rozkoszy zaczęła wstrząsać całym jej ciałem. . .

Parę sekund później zapomniała zupełnie o atrakcyjnej blondynce, którą obserwowowała w kinie.

Dużo później — zaspokojone i wyczerpane — zasnęły, trzymając się nawzajem w objęciach. W środku nocy Barbara miała okropny sen. Wydawało się jej, że się dusi. Na skraju świadomości usiłowała z tym walczyć, lecz przykre wrażenia nie ustawały. Usta i całe gardło wydawały się być wypełnione jakąś miękką, puszystą substancją. Próbowwała się przebudzić i odkaslnąć, lecz po chwili zapadła w ponowną nieświadomość — nieświadomość, która prowadziła do o wiele głębszego zapomnienia niż sen.

\* \* \*

Gdy nadszedł świt, Barbara wciąż leżała w ramionach Shirley. Ich usta łączyła żółta, puszysta masa.

Żadna z nich nie oddychała. Grzyb, który pojawił się w ustach i przez noc rozrósł się do nieprawdopodobnych rozmiarów, widoczny był także w kilku innych miejscach na ciele obu kobiet. Rósł pomiędzy nogami — tworząc żółtą, puszystą podpasękę — i zakrywał uszy niby gęste, ogromne nauszniki. Chociaż obie od dawna były martwe grzyb rósł.

## Rozdział trzeci

*Wtorek, 9.45 wieczorem*

Wysoka, atrakcyjna blondynka uregulowała należność i wyszła z niewielkiej, hinduskiej restauracyjki na Goodge Street. Kelner o imieniu Naseem zebrał talerze i zaniósł je do kuchni. Zeskrobał resztki posiłku do niewielkiego pudełka, które później zostanie wyniesione i opróżnione do wielkiego pojemnika, z tyłu restauracji. A jeszcze później, pojemnik ten zabrany zostanie przez firmę, która odwozi odpadki z całej Goodge Street do tuczami.

Naseem zakrywał właśnie stół papierową serwetką, gdy do restauracji weszli Derrick Lang i Philip Bell. Rozmawiając, śmieli się z czegoś głośno. Naseem wzdrygnął się. Poznał ten typ klienteli już zbyt dobrze. . .

— Cześć Panjit, stary druchu — powiedział Derrick Lang, zasiadając za stołem. Był trzydziestokilkuletnim mężczyzną o pokaźnej nadwadze. Zawsze nazywał kelnerów w hinduskich restauracjach „Panjit”. Był to jeden z jego ulubionych dowcipów.

— Nie wiem, w jaki właściwie sposób uchodzi ci to zawsze na sucho — powiedział Philip Bell, gdy Naseem wręczył im menu i wycofał się za mały bar w rogu sali.

— Oni nie mają nic przeciwko temu. Zwracając się do nich w ten sposób, okazujesz po prostu, że nie jesteś rasistą.

Bell skinął ugodowo głową, chociaż logika tej uwagi nie bardzo trafiała mu do przekonania.

— A więc co zamawiamy? — zapytał Lang, marszcząc się nad kartą.

— Na początek piwo — odparł Bell. — Potem jeszcze jedno piwo, a potem jeszcze jedno.

Lang roześmiał się i skinął na Naseema.

— Dwa duże piwa, Panjit — dla większego efektu zrobił pauzę, a po chwili dodał: — A dla mojego przyjaciela także dwa!

Obaj wybuchneli śmiechem.

— Tylko żartowałem, Panjit. Po jednym na razie wystarczy.

Naseem, który zbliżał się właśnie w ich stronę niosąc na tacy dwie butelki, ustawił przed nimi dwie wysokie szklanki i oddalił się bez słowa.



— Dla mnie jarzynowe biriani — zdecydował wreszcie Lang.

— Jarzynowe! — głos Bella brzmiał, jakby Lang uczynił mu właśnie jakąś niedwuznaczną propozycję. — Za chwilę powiesz, że następne pójdą kotlety z siekanych orzechów.

— Czytałem gdzieś, że jarzyny pomagają zrzucić nadwagę — wyjaśnił Lang. — A ponieważ jestem solidnie zbudowany, po samym mięsie przybieram na wadze o wiele szybciej niż większość ludzi.

Bell spojrział na niego z uśmiechem. Zwały tłuszczu pod koszulą Langa sprawiały wrażenie, że owinięty jest łańcuchem salami. Kilka podbródków przypominało serię miniaturowych brzuchów. Bell zastanawiał się, jakim właściwie cudem guziki opiętej marynarki potrafiły utrzymać to wszystko w kupie.

— Rzeczywiście jesteś potężnie zbudowany, chłopie — powiedział w końcu.

— Właśnie. A jeżeli jesz warzywa, to możesz jeść mięsa, ile chcesz, a i tak będziesz tracił na wadze.

— Bzdury.

— Wcale nie. Przeczytałem o tym w „The Sun”. Albo w „The Daily Mail”. To ma jakiś związek z zawartymi w jarzynach witaminami. Spalają nadmiar kalorii bez żadnej pomocy z twojej strony.

— Powtarzam ci, że to bzdury.

— Ty także powinieneś tego spróbować, Phil. Mógłbyś zrzucić parę zbędnych funtów.

— Być może — odparł Bell, chociaż wiedział doskonale, że wcale nie ma nadwagi.

— Możesz zacząć od czegoś niewielkiego. Zamów sobie na przykład kotlet i bhajee z kalafiora. Kalafior ma sporo tego typu witamin.

Bell skinął w zamyśleniu głową. Lang odebrał to jako potwierdzenie i ponownie wezwał kelnera. Zamówił kolację i po jeszcze jednym piwie.

— Podziękujesz mi za to — powiedział.

— Jasne. Jeżeli za to zapłacisz — odparł Bell.

Czas mijał niezwykle szybko. Wymienili jeszcze parę dowcipów, a potem przeszli do omawiania społecznych i politycznych wydarzeń dnia. Bellowi smakowało nawet zamówione bhajee, lecz Lang wybrzydzał nad swym daniem i oświadczył, że po drodze do domu kupi jeszcze kebab.

Gdy chichocząc i zataczając się wyszli wreszcie z restauracji, była jedenasta w nocy. Zdążyli wypić po siedem butelek piwa i byli w znakomitych humorach.

Naseem obserwował ich wyjście ze stoickim spokojem, jakiego w niezwykle krótkim czasie musi nabyć każdy pracujący w Wielkiej Brytanii hinduski kelner, i westchnął dziękczynnie pod nosem, gdy ostatni okrzyk: „Panjit!” padł wreszcie za drzwiami.

Poszli na stację metra przy Warren Street. Lang odjeżdżał siad linią Victoria, a Bell Północną.

Przy Kings Cross Lang przesiadł się na linię Picadilly. Wsiadł przy Bounds Green i poszedł do domu. Po paru krokach doszedł do wniosku, że wypił już zbyt dużo piwa, aby kupować jeszcze kebab. I było jeszcze coś, czym musiał się szybko zająć. Nocny spacer spowodował, że spocily mu się nogi i zaczął obawiać się o stopy...

Cierpiał na dość paskudną dolegliwość — czasami ból w palcach przypominał krajanie nożem — więc skarpetki zawsze wypełnione miał preparatem AF. Każdego ranka i wieczorem wcierał troskliwie maść kojącą pomiędzy palce stóp.

Po nocnym rytuale pielęgnacyjnym, Lang wśliznął się do łóżka i zgasił światło. Był już zbyt zmęczony, aby sprawdzić, czy jest coś ciekawego w telewizji. Zasnął prawie natychmiast, lecz spał źle. Przez parę godzin rzucał się i przewracał w objęciach straszliwego koszmaru, a gdy się w końcu obudził, stwierdził, że cierpi na ostry atak niestrawności.

— Cholerne jarzynowe biriani — warknął. — Już nigdy więcej.

Lecz przede wszystkim swędziało go całe ciało, a głównie stopy. Czyżby hinduska kuchnia miała jakiś wpływ na jego dolegliwość? Poprzednio nigdy tego nie stwierdził.

Leżał przez chwilę nieruchomo, z nadzieją, że swędzenie wkrótce minie, lecz zamiast tego to przykre uczucie wydawało się wzmacniać. Będzie musiał zaaplikować sobie więcej preparatu AF.

Z ciężkim westchnieniem usiadł i zapalił światło. Odrzucił kołdrę na bok i zmarszczył brwi. Po chwili roześmiał się. Nic dziwnego, że swędziały go stopy — wciąż tkwiły na nich skarpetki.

Nagle ponownie zmarszczył brwi. Przecież wyraźnie pamiętał, jak je zdejmował. A tych skarpetek nawet nie rozpoznawał. Był pewny, że nawet nie ma pary o takim kolorze — szare z czerwonym wzorkiem.

Sięgnął w dół, aby je zdjąć i palce zatoneły mu w puszystej masie, która była jego prawą stopą.

Serce podskoczyło mu gwałtownie, zatrzymało się na chwilę i ruszyło ponownie. Całe ciało wzdrygnęło się z obrzydzeniem, a żołądek powędrował do gardła. Sięgnął ku lewej stopie. Trzęsące się palce wyczuły to samo — miękką i sprężystą masę.

Wydobywający się z jego gardła krzyk zabrzmiał jak ochryple krakanie. Nagle, zupełnie jakby dopiero teraz uświadomił sobie swędzenie całego ciała, z furją zerwał górę od piżamy.

— Oh, Boże... — jęknął.

Cały brzuch pokryty był taką samą, szarą w czerwone prążki, substancją. Szybko rozwiązał pasek i przerażony spojrzał na biodra i podbrzusze. Tak jak się tego obawiał — od pasa w dół wydawał się być pokryty puszystą pleśnią, która rozrastała się w oczach. Wyciągnął z wahaniem dłoń, dotykając miejsca, w którym powinny znajdować się genitalia, lecz nie wyczuł niczego.

— Chrys... — jęknął. — Zostałem otruty... Ta cholerna hinduska restauracja...

Zdecydował, że musi wezwać pomoc. Wyskoczył szybko z łóżka, lecz przebył zaledwie dwa kroki, gdy nagle lewa noga z trzaskiem złamała się tuż pod kolaniem.

Upadł na twarz z impetem, który wstrząsnął całym pokojem, i przez dłuższą chwilę leżał oszołomiony. Wreszcie ostrożnie, z bolesną powolnością, ruszył w stronę telefonu. Odłamana noga pozostała na podłodze przy łóżku. W miarę posuwania się naprzód zostawiał za sobą na dywanie wyraźny ślad sypkiego, szarego proszku.

## Rozdział czwarty

*Wtorek, 10.55 wieczorem*

Eric Gifford, właściciel One Tun, po drodze z toalety zdecydował, że zajrzy jeszcze do baru. O tej porze był prawie pusty, za wyjątkiem paru stałych bywalców. Nieważne, spędzi tu przyjemną noc, postanowił.

Wtedy właśnie dostrzegł wysoką, atrakcyjną blondynkę, która popijała samotnie czerwone wino, przy stoliku niedaleko drzwi. Samotna kobieta pijąca w takim pubie stanowiła dość niezwykły widok, wyglądała jednak zbyt dystygownie, by być po prostu dziwką. Pomyślał, że ostatnio interesuje się dość niezwykłymi typami kobiet. Złożył to na karb postępującej recesji. . .

Przyjrzał się jej uważnie i stwierdził, że musiał widzieć ją już wcześniej. Z pewnością nie była stałą bywalczynią jego pubu, ale być może była tu jeden jedyny raz, a on zapamiętał jej twarz. A była to twarz, której mężczyzna nie zapomina tak łatwo. Kobieta była zdecydowanie przystojna, a ze swego miejsca mógł dostrzec, że jej ciało pozostawało w doskonałej proporcji do twarzy. Odwrócił się i pogwizdując wesoło ruszył w stronę baru. Obserwowanie pięknych kobiet zawsze sprawiało mu dużą przyjemność. Nawet w takich dniach, jak dzisiejszy. . .

Wszystko z powodu zwariowanych zawodów w picu piwa, które zorganizował parę godzin wcześniej. Zazwyczaj nie brał w czymś takim udziału, ponieważ w picu piwa nie miał już sobie równych, ale jak zwykle dał próbkę swych umiejętności, aby zaimponować młodym. Wiedział oczywiście, że początkowo nie zwrócą nawet na niego uwagi. Lecz później, gdy zaczną już wylewać piwo na siebie, krztusić się lub poddawać w połowie wyścigu, dotrze do nich, że widzą w akcji prawdziwego mistrza. Zdziwił w końcu wszystkich, wypijając duszkiem drugi konkursowy puchar, co było zresztą jego normalną codzienną miarką. Musiał jednak przyznać, że pod koniec stoczył ze sobą niezłą walkę. Żołądek dawał mu się we znaki przez cały dzień, zmuszając już do pięciokrotnego odwiedzenia toalety, lecz jak na razie bez rezultatów. Miał tak potworne zaparcie, że stękał jak słońca w ciąży. Być może powinien jednak zrobić wreszcie to, co doradzają mu ci przekłęci lekarze i przerwać z takim picciem. Pewnego dnia. . .

Jednak pomimo ostrego bólu żołądka wziął się w garść, i wkraczając do baru, ryknął:

— No dalej, pijana hołoto! Nie macie domów, do których moglibyście wreszcie pójść?!

Uwielbiał odgrywać twardego karczmarza. Stali bywalcy doskonale wiedzieli, że to tylko zabawa. Pozostali goście w zadawalającym stopniu wydawali się być wystraszeni, gdy nagle pośród nich pojawiała się toporna, zaczerwieniona od piwa gęba, miotająca niewybredne obelgi. Było to stałym ceremoniałem kończącym dzień.

Po wyjściu ostatnich gości zostawał jeszcze, by pomóc sprzątać cały pub. Wiedział, że o tej porze nocy bywał zazwyczaj większą przeszkodą niż pomocą, lecz nikt z personelu nie miał o to do niego najmniejszych pretensji. Był doskonałym pracodawcą. Nawet kelnerki nie miały mu za złe, że ocierał się o nie swym pokaznym brzuchem „przypadkowo i naumyślnie”, jak mawiał w gronie przyjaciół. Wiedziały, że była to jedynie forma nieszkodliwej zabawy.

Dzisiejszej nocy nie miał jednak ochoty na pocieranie obolałym brzuchem o kogokolwiek, obojętnie, jaki ten ktoś byłby młody, miękki i dziewczęcy. Tak bardzo chciał się położyć, że nie pomagał nawet przy sprzątaniu. Ograniczył się jedynie do szybkiego wytarcia stołu, przy którym siedziała blondynka, i do zabrania jej szklanki — do połowy wypełnionej czerwonym winem. Życzył personelowi spokojnej nocy i skierował się na górę, do sypialni.

Był już prawie na szczycie schodów, gdy jego żołądek dostał ponownego obłędu. Puścił donośnego bąka. Zaczynał żałować, że przed wymyciem szklanki blondynki nie mógł powstrzymać się przed wypiciem resztki znajdującego się tam wina. Mając już w sobie tyle mocnego piwa, ten ostatni łyk mógł być przysłowiową kroplą przepełniającą czarę. . .

Usiadł ciężko na dużym, podwójnym łóżku. Zdjął buty i, nie rozbierając się, wyciągnął wygodnie na wznak. Gdy odpływał w sen, tak jak co noc pomyślał krótko o Mariannie, chociaż minęło już osiem lat, od kiedy jego żona po raz ostatni dzieliła z nim łóżko. Od tej pory w jego życiu nie było nikogo innego.

Podczas snu Erica drożdże zawarte w wypełniającym jego żołądek piwie przeszły niezwykłą przemianę molekularną. . .

Drożdże są jedynymi grzybami, które rozmnażają się przez pączkowanie, a nie przez tworzenie nitkowatych strzępek, zakończonych owocnikami. Spośród poznanych grzybów rozwijają się najszybciej. Teoretycznie mogą powiększyć swą objętość tysiąckrotnie w ciągu 24 godzin. Jednak drożdże w żołądku Erica były w stanie rosnąć sto razy szybciej.

I to właśnie robiły.

Rozwijając się początkowo na pożywcze ze zmagazynowanego w żołądku cukru, pączkowały i rozrastały się z fenomenalną prędkością. Jako produkt uboczny wytwarzały ogromne ilości alkoholu i dwutlenku węgla.

Potem, gdy zmienione grzybki drożdżowe wykorzystały cały zapas cukru, zaczęły rozrywać komórki ścianki żołądkowej i jelit. Gdyby Eric był w pełni świadomy,

domy, poczułby, jak jego organy wewnętrzne stają się nagle piekłem bólu, ale na szczęście ogromne ilości wytworzonego przez drożdże alkoholu zesłały na niego litościwą nieświadomość.

I nagle, zrazu powoli, a potem coraz szybciej, Eric Gifford zaczął fermentować.

Jego ciało rozszerzało się...

\* \* \*

Tuż po czwartej rano personel Erica został nagle przebudzony, stłumioną, lecz doskonale słyszalną eksplozją, która wydawała się dochodzić z sypialni pracodawcy. Po krótkiej chwili cała piątka bębniła w drzwi i nawoływała go po imieniu, lecz bez odpowiedzi. W końcu najodważniejszy spośród nich otworzył drzwi. Natychmiast w nozdrza uderzył ich silny zapach sfermentowanych drożdży.

Kaszłąc gwałtownie i zatykając nosy, dwu z nich weszło do środka i zapaliło światło. Pozostali skupili się na progu.

Początkowo nie potrafili zinterpretować widoku, który mieli tuż przed oczami. W końcu jedna z dziewcząt krzyknęła i krztusząc się zbiegła ze schodów.

Głowa Erica Giffora, jedno z jego ramion i obie nogi wciąż jeszcze leżały na łóżku, lecz jego reszta pokrywała grubą warstwą sufit, ściany i podłogę.

Łóżko wypełniała pulsująca i rosnąca bezustannie biała masa.

\* \* \*

*Środa, 2.15 rano*

Naseem i jego brat Dinesh pozbyli się ostatniego klienta tuż przed godziną drugą i pomagali właśnie swemu wujowi, Maheedowi, uprzątnąć kuchnię.

Naseem był już zupełnie wyczerpany. Nie cierpiał pracować do tak późnych godzin nocnych, lecz był to jedyny sposób na zaoszczędzenie wystarczającej ilości pieniędzy, by wynieść się stąd do Delhi na dobre. Ich kolejny wuj, Makund, właściciel tej restauracji, był człowiekiem dość trudnym w obyciu, lecz jak na razie płacił dobrze.

Dinesh, kończąc czyścić piec, mruczał pod nosem jakiś najnowszy przebój. Naseem zazdrościł mu energii i niezmaconej pogody ducha. Czasami jednak brat stanowił dla niego zupełną tajemnicę. Na przykład, wydawał się być zupełnie zadowolony ze swego pobytu w Anglii i żył nadzieją, iż pewnego dnia otworzy własną restaurację. A dla Naseema sam pomysł, by resztę życia sędzić na tej przygnębiającej, szarej wyspie i bez końca obsługiwać ponurych gości, o odpychających manierach, wydawał się zupełnie nie do przyjęcia.

Przypomniał sobie tych dwóch mężczyzn, grubawego i chudego, których obsługiwał wcześniej i mruknął:

— Świnie. Dlaczego jest tutaj tak dużo świń?

— Ponieważ to miejsce dostarcza im pożywienia — roześmiał się Dinesh. Wskazał gestem na pojemnik z odpadkami, który był prawie pełen. Naseem westchnął, podszedł i podniósł go w górę.

— Świnie, które jedzą to, są prawdopodobnie lepiej wychowane niż te, które jadają u nas obiady.

Wyniósł pojemnik przez kuchenne drzwi na zaplecze. Właśnie miał go opróżnić do większego, gdy nagle przystanął i parokrotnie zamrugał powiekami. Jednak widziadło nie chciało zniknąć.

Boki większego, cylindrycznego pojemnika pokryte były czymś, co przypominało gigantyczne muchomory. Były na około osiemnaście cali wysokie i na dobrą stopę szerokie. Wylewały się przez górną krawędź pojemnika i ściekały w dół, jak zamrożona piana z piwa.

Naseem wpatrywał się w nie w zdumieniu. Nie było ich, gdy po raz pierwszy wrzucał do tego pojemnika odpadki... kiedy to właściwie było? Nie dalej niż trzy godziny temu...

Zawołał pozostałych. Słyszac ton jego głosu, przybiegli natychmiast. I zareagowali w ten sposób.

— Co to jest, do diabła? — zapytał wreszcie Dinesh. — Skąd to się tutaj wzięło?

Naseem bezradnie pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Wczorajem jeszcze tego nie było. Rośnie nadzwyczaj szybko.

Obaj spojrzeli z oczekiwaniem na wuja, mając nadzieję, że stary człowiek widział już coś podobnego w przeszłości. Lecz on sprawiał wrażenie tak samo zaskoczonego, jak i oni.

— To jest podobne do grzybów. Do gigantycznych grzybów — powiedział powoli.

— Już bardziej do muchomorów — rzucił powątpiewająco Naseem. — Muchomory mogą być takie duże, prawda?

Dinesh zniknął w kuchni, a po chwili pojawił się ponownie — uzbrojony w gruby, ciężki kij.

— Musimy je zniszczyć.

— Nie, poczekaj — wtrącił szybko Naseem, zastępując mu drogę. Być może powinniśmy powiadomić o tym Komisję Sanitarną?

— Komisja z pewnością zamknie lokal — powiedział wuj. — A mój brat będzie żądał naszych głów. Nikomu nie możemy o tym powiedzieć. — Skinął głową w stronę Dinesha. — No dalej, pozbądź się tego.

Dinesh przeszedł obok Naseema i zaczął energicznie uderzać grzyby kijem. Gdy trafił w końcu w jedną z większych narośli, ta niespodziewanie pękła z trzaskiem, rozsiewając wokół chmurę zielonego pyłu. Wkrótce całe zaplecze oraz trójka mężczyzn zostali nim całkowicie pokryte.

Dinesh kontynuował dzieło zniszczenia, dopóki wszystkie grzyby nie zniknęły całkowicie. Pozostał jedynie zielony pył. Jego resztki zamiótł i wrzucił do dużego pojemnika. Do trzeciej nad ranem nie został już żaden widoczny ślad po grzybach — zarówno na ziemi, jak i w powietrzu. Wzmagający się wiatr przesunął niewielką, zieloną chmurę dalej.

Do godziny trzeciej trzydzieści nad ranem, rozsiały biliony cząsteczek nad całym West Endem... i dużo dalej.



## Rozdział piąty

*Wtorek, 5.20 po południu*

Jak to się wszystko zaczęło...

To był najszcześniejszy dzień w życiu Jane Wilson. Gdy stała nieruchomo w laboratorium — tuląc w ramionach ogromny organizm — nie pamiętała, aby kiedykolwiek wcześniej doświadczyła podobnego uczucia. Nawet wtedy, gdy urodził się jej syn, Simon.

Trzymała właśnie okaz *agaricus bisporus*, odmianę grzyba znaną bardziej pod nazwą „grzyb hodowlany”. Nie był to jednak zwyczajny okaz. Jego kapelusz — który spoczywał właśnie na jej lewej piersi — miał przeszło stopę średnicy, a sam trzon — dwie stopy długości i siedem cali grubości. Całość ważyła prawie cztery funty.

Jednak w odróżnieniu od zwykłych okazów *agaricus bisporus*, egzemplarz ten był niezwykle bogaty w proteiny. Zawierał ich tyle, co czyste, drobiowe mięso.

Grzyb ten był rezultatem siedmioletniej, ciężkiej pracy badawczej, zakończonej wreszcie sukcesem. Dwie godziny temu ten gigantyczny grzyb, który tuliła teraz do piersi, był mikroskopijnych rozmiarów zarodnikiem, umieszczonym na tacy z galaretowatą pożywką. A teraz, dosłownie w chwilę później, był ogromny i wystarczająco bogaty w proteiny, by zapewnić pożywienie jednej osobie na cały dzień.

Jane czuła sploty w twarzy. Nikt nie powinien być aż tak szczęśliwy, powiedziała do siebie.

— Kochanie... — szepnęła czule pod adresem grzyba, przytulając go mocniej. — Jesteś taki piękny... I jesteś mój... Wyłącznie mój...

Nagle kątem oka dostrzegła własne odbicie na szklanej ścianie laboratorium, i ogarnął ją wstyd.

— Do diabła, wyglądam jak Madonna z Dzieciątkiem — mruknęła pod nosem. — I to w dodatku tuż po beatyfikacji.

Zdecydowała, że już czas przestać zachowywać się jak postrzelona nastolatka, a najwyższa pora, by powrócić do roli poważnego naukowca. Na gratulacje przyjdzie czas później. Jest jeszcze tyle do zrobienia...

Położyła grzyb na pobliskim stoliku, umieszczając go troskliwie na ogromnej, emaliowanej tacy. Przy pomocy skalpela odcięła niewielki skrawek kapelusza. Nie było to dla niej łatwe. Musiała przecież okaleczyć swój perfekcyjny twór. Odwróciła trzymany w dłoniach skrawek na drugą stronę i spojrzała na umieszczone po spodniej stronie kapelusza blaszki. Poczuła, jak zamiera jej serce. Odcięty fragment był dostatecznie powiększony, by gołym okiem mogła dostrzec pokrywające blaszki hymenium. Hymenium jest narządem, na którym usytuowane są podstawki — właściwy organ rodny grzyba, wytwarzający zarodniki. Zwykły grzyb może wytwarzać zarodniki w tempie pół miliona na minutę w dwa lub trzy dni. Jednak na tym super okazie Jane mogła wyraźnie dostrzec, że hymenium znajduje się w zaniku.

Nerwowo odcięła niewielki kawałek blaszki i umieściła wycinek pod mikroskopem. Obraz w okularze potwierdził jej najgorsze obawy. Hymenium nie produkowało żadnych komórek zarodnikowych. Westchnęła i podparła dłonią podbródek. A więc jej triumf nie był jeszcze stuprocentowym sukcesem. Udało jej się, co prawda, stworzyć olbrzymią, rosnącą niezwykle szybko i bogatą w proteiny odmianę grzyba, lecz okazało się równocześnie, że ten przekształcony genetycznie organizm, pozbawiony jest podstawowego cyklu rozwojowego.

Początkowo Jane i jej niewielki zespół próbowali osiągnąć swój cel zmieniając genetycznie same komórki zarodnikowe grzyba, ale cztery lata wyłożonych wysiłków nie zaowocowały żadnym znaczącym sukcesem. Rozplątywanie kodu genetycznego nawet tak prostego organizmu, jakim jest *agaricus bisporus*, było zadaniem ponad siły i Jane szybko zdała sobie sprawę, iż po prostu brakuje jej na to środków. Nawet gdyby otrzymała dwudziestu dodatkowych ludzi i nieograniczone fundusze — co, jak wiedziała, było zupełnie niemożliwe — to być może udałoby im się uporać z tym zadaniem za jakieś dziesięć lat.

Jane spróbowała rozwiązać ten problem, z zupełnie innej strony. Zamiast przekształcać genetycznie cały organizm, poinstruowała swój zespół, by skoncentrował się wyłącznie na jednym aspekcie metabolizmu grzyba. Jej asystenci mieli wyizolować enzymy sprawujące kontrolę nad wzrostem grzyba, jego rozwojem i utrzymywaniem poziomu protein, a dopiero potem próbować je zmodyfikować.

Wyizolowanie tych specyficznych enzymów (na szczęście były tylko dwa) zajęło kolejne dwanaście miesięcy. Jane i jej zespół rozpoczęli wtedy prace nad stworzeniem sztucznego enzymu, który byłby w stanie przejąć funkcje dwu już istniejących, a równocześnie przyspieszałby procesy zachodzące w obrębie komórki co najmniej stukrotnie.

Łączenie nitek DNA w celu stworzenia czystej chemicznie struktury, która w obrębie grzyba działałaby jako super katalizator, było żmudnym i długim procesem. Enzymy bowiem są nieprawdopodobnie niestabilne — ich podstawowa struktura rozpadała się często w ciągu paru godzin.

Aby przezwyciężyć ten problem, Jane i jej zespół zmuszeni ostatecznie zostali do zbudowania mikroorganizmu, który strukturalnie bardziej przypominał wirus niż zwykły enzym.

Kolejne osiemnaście miesięcy pochłonęło testowanie różnych wersji enzymów na komórkach rozrodczych *agaricus bisporus*. Każdy z wytwarzanych kolejno enzymów jedynie w niewielkim stopniu różnił się od poprzednich, ale wprowadzony do zarodników, powodował niezwykle zmiany. Ale niestety nigdy nie były to te, których oczekiwano. Dopiero teraz. . .

Z kolejnym enzymem z serii CT-UTE-8471 wydawało się, że trafili wreszcie w dziesiątkę. Albo prawie. . .

Jane spojrzała w zamyśleniu na olbrzymi grzyb. Chociaż zdolności produkcyjne powiększonego okazu zostały zahamowane na skutek nadmiernego wzrostu, to i tak było to niezwykle znaczące osiągnięcie. I jest całkiem prawdopodobne, że system rozmnażania został zahamowany głównie przez zmodyfikowaną katalizę. Jutro wyhoduje kolejny okaz, lecz tym razem pozwoli, by został związany z grzybnią — odpowiednikiem korzenia — przez dłuższy czas.

Jeżeli enzym rzeczywiście zahamował cały system reprodukcyjny, to być może dalsze modyfikacje w jego obrębie rozwiążą ten problem całkowicie. A jeżeli nie, w sumie i tak nie będzie to miało większego wpływu na jej osiągnięcia. Jeżeli enzym ten będzie stosunkowo łatwo wytwarzany w dużych ilościach — a nie widziała powodu, dla którego byłoby to niemożliwe — mógłby być po prostu rozsiewany na kulturze zarodników *agaricus bisporus*, co umożliwiłoby otrzymanie każdej pożądanej ilości ogromnego grzyba.

Oparła się o stołek i przeciągnęła, splatając dłonie za głową. Uśmiechnęła się czując, jak ponownie wraca uczucie zadowolenia. A więc dobrze. Być może nie udało jej się osiągnąć stuprocentowego sukcesu, ale jest już tak blisko, że nie ma to właściwie większego znaczenia. Stworzyła nowe i bogate źródło taniej proteiny, które w istotny sposób zwiększy światowe zasoby żywności. A ostatecznie. . . Kto wie? Być może utoruje jej to nawet drogę do Nagrody Nobla? . . .

Oczywiście, będzie musiała podzielić się nią z trzema najbliższymi współpracownikami: Rachel, Todem i Hillary. . . Szkoda, że nie mogli uczestniczyć w finałowym sukcesie, ale Jane po lunchu wysłała ich do domu. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny tkwili w laboratorium non-stop, testując nową serię enzymów. Wszystkie te testy okazały się negatywne. Sprawdzenie przez Jane jeszcze jednej wariacji, zakrawało na czystą fantazję. Ale udało się. . .

Wstała i uśmiechnęła się w stronę grzyba. Powinna zostawić okaz na tacy, aby zobaczyli go, gdy przyjdą tutaj rano. Wyraz ich twarzy z pewnością będzie czymś, co warto zapamiętać.

Ale do tego czasu triumf pozostanie jej wyłączną własnością. Jeszcze przez przeszło osiemnaście godzin.

Przez chwilę poczuła żal, że nie może podzielić się swym sukcesem z Barrym. Pomiedzy nimi wszystko było już skończone, i to najprawdopodobniej na dobre. Co prawda, była to tylko próbna separacja, ale nie widziała jakoś możliwości, aby ponownie mogli zamieszkać razem. Poprzedni rok był istnym piekłem. Wiedziała, że po części jest w tym i jej wina — jej zaangażowanie w prace badawcze stało się wkrótce prawdziwą obsesją — ale Barry mógłby być bardziej wyrozumiały, a nie zachowywać się jak rozpieszczone dziecko. Wiedział, jak ważna była jej praca. Nie tylko dla niej, lecz dla całej ludzkości.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że musiał poczuć się głęboko urażony sposobem, w jaki traktowała własną karierę.

Mikologia była także i jego specjalnością, ale to ona zwróciła na siebie uwagę pracą doktorską, zatytułowaną: „Związek pomiędzy grzybami, a ludzkością: obszary potencjalnej eksploatacji w rolnictwie i przemyśle”. To ona zdobywała stopnie naukowe i w końcu instytut, a on pozostał przy badaniach podstawowych.

No cóż, być może jest teraz bardziej szczęśliwy, pisząc te swoje dziecinne dreszczowce gdzieś w Irlandii. Wiedziała, że jego książki zaczynają zdobywać sobie nawet pewnego rodzaju popularność — lecz cóż to za strata czasu! Tworzenie świata askapistycznych fantazji dla niedorozwiniętych emocjonalnie dorosłych, kiedy można się przecież zająć czymś konstruktywnym.

Posłała leżącemu grzybowi ostatnie spojrzenie i podeszła w stronę drzwi. Nacisnęła przycisk i te rozsunęły się z lekkim sykiem. Weszła do niewielkiego pomieszczenia, oddzielonego przeszklonymi drzwiami. Gdy wejście zamknęło się za nią, z otworu w suficie zaczął wydobywać się silny strumień nieszkodliwego gazu, który miał za zadanie wyeliminować wszelkie bakterie. Zaczęła kolejno zdejmować swą laboratoryjną odzież: gumowe rękawice, plastikowy kaptur, maskę, długi fartuch, a na końcu wysokie, gumowe buty. Rzeczy, nadające się do ponownego użycia poszły do sterylizatora, a pozostałe do niewielkiej, elektrycznej spalarki.

Następnie weszła pod prysznic i odkręciła kran. Woda także zawierała silne środki antybakteryjne.

Mydląc obficie ciało, poddała je przy okazji rygorystycznej inspekcji. Pomimo trzydziestu jeden lat jej ciało wciąż pozostało smukłe i jędrne, o kształtnych nogach, płaskim brzuchu i dużych, lecz foremnych piersiach. Kiedyś była z niego niezwykle dumna, lecz teraz jej wygląd, a nawet potrzeby seksualne były czymś, co niezwykle rzadko zaprzętały jej głowę.

Była to kolejna kwestia, która nieustannie irytowała Barry'ego.

— Kochać się z tobą to tak, jakby kochać się z materacem — narzekał. — A wiesz dlaczego? Ponieważ cała spalasz się w tej cholernej pracy! Twoje ciało opuszcza od czasu do czasu laboratorium, lecz umysł pozostaje tam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Myślisz jedynie o swych beczennych grzybach! Cholera,

a może ja sam powinienem przebrać się za jakiegoś pieprzonego grzyba — za coś w rodzaju phallus impudicus!

Powiedziała mu wtedy, że plecie bzdury, ale gdzieś w głębi ducha wiedziała, że ma jednak rację. Lecz nic nie mogła na to poradzić — prace po prostu musiały być kontynuowane w niezwykle szybkim tempie. Obiecała sobie, że gdy osiągnie wreszcie swój cel i towarzyszące temu napięcie opadnie, wynagrodzi mu wszystko. Lecz oczywiście ich małżeństwo rozsypało się na długo przedtem. . .

Gdy skończyła się myć, ponownie wróciła myślami do leżącego na stole grzyba. Przeszła nago przez szklane drzwi prowadzące do przebieralni i postanowiła, że jutro przetestuje enzym na próbce agaricus cempestris. Jest to zwykły grzyb leśny, lecz niezwykle podobny do odmian hodowlanych. Być może czynnik powstrzymujący reprodukcję obecny jest tylko w odmianie agaricus bisporus. . .

Ubierając się, włączyła suszarkę, aby wysuszyć swe długie, jasne włosy.

Wtedy właśnie zauważyła, że zacięła się w palec. Była to niewielka ranka długości może ćwierć cala tuż pod paznokciem. Gdy podniosła palec, by przyjrzeć się jej bliżej, wyciekła z niej niewielka kropelka krwi. Automatycznym ruchem włożyła palec do ust i possała. . .

Ze zmarszczonym czołem zastanawiała się, kiedy właściwie mogła się skaleczyć. Nagle przypomniała sobie, że odcinała przecież krawędź kapelusza. A więc musiała zaciąć się skalpelem. Właściwie nie miało to znaczenia — ranka z pewnością zdezynfekowana jest przez gaz i wodę. W laboratorium nie było właściwie nic naprawdę niebezpiecznego. Zainstalowano tam natomiast wyszukane środki bezpieczeństwa — jak w każdym instytucie inżynierii genetycznej. — Jane wiedziała, że w przeprowadzonych przez nią badaniach nie było nic, co mogłoby stanowić potencjalne zagrożenie dla człowieka.

Tak jej się wydawało. . .

Nie wiedziała, że kilkaset mikroskopijnych komórek grzyba pozostawało wciąż w ranie i pod paznokciem. Były martwe lub właśnie umierały, lecz podobny do wirusa enzym wciąż pozostawał aktywny.

I chociaż sam enzym nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla ludzkiego życia, to jednak efekty uboczne jego działalności miały okazać się katastrofalne.

Doktor Jane Wilson skończyła się ubierać i, nucąc coś pod nosem, ułożyła plan na noc. Chociaż nie spała przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, była wciąż zbyt podekscytowana, aby wracać prosto do domu. Zamiast tego postanowiła nacieszyć się swym sukcesem, robiąc pierwszy samotny wypad od lat. Pójdzie do kina — najlepiej na jakąś dobrą komedię — później do hinduskiej restauracji i być może do pubu na ostatniego spokojnego drinka. Zrobi wszystko to, co sprawiało jej taką przyjemność, gdy była jeszcze z Barrym.

Ponownie wróciła myślami do swego męża. Przez chwilę zastanawiała się, czy po powrocie do domu nie warto by było zadzwonić do niego i podzielić się z nim swym sensacyjnym odkryciem. Ale nie, najprawdopodobniej pisze coś teraz —

mając w uszach te idiotyczne zatyczki — i będzie wściekły, że przerwała jego „natchnienie”.

A więc nie będzie do niego dzwonić. Niech dowie się wszystkiego z gazet. . .

Wyszła z Instytutu Biologii Tropikalnej o 6.18 i już po chwili szła Tottenham Court Road. O 6.22 kupiła „Standart”, by sprawdzić repertuar kin. Była pogrążona właśnie w lekturze, gdy zderzyła się niespodziewanie z Normanem Layne’em. . .

## Rozdział szósty

*Środa, 5.55 rano*

Doktor Bruce Carter, spoglądając na lśniąca w ciemnościach tarczę zegarka, zaklął cichutko pod nosem. Telefon przed szóstą rano mógł oznaczać jedynie dwie rzeczy: kłopoty, niewystarczającą ilość snu i czasu, aby się z nimi uporać.

Sięgnął w stronę ustawionego na nocnym stoliku telefonu i podniósł słuchawkę.

— Stan zagrożenia — poinformował znajomy głos oficera dyżurnego, co potwierdziło jedynie obawy Cartera. — Proszę o natychmiastowe przybycie do Middlesex.

Carter nie zapytał nawet, co się właściwie stało. Gdyby oficer dyżurny znał jakieś szczegóły, to i tak odmówiłby podania mu ich przez telefon. Za despotycznych rządów Margaret Thatcher wymogi bezpieczeństwa w służbach państwowych stały się niezwykle rygorystyczne, a lista tematów, których pod żadnym pozorem nie wolno było poruszać w trakcie rozmów telefonicznych, rozrosła się do nieprawdopodobnych wręcz rozmiarów. Właściwie jedynym bezpiecznym tematem pozostała pogoda.

Zmusił się, aby wstać z łóżka, i powłókł się do łazienki. Własna twarz w lustrze sprawiła, że natychmiast przeszła mu ochota na dalszy sen. Wyglądał, jak swój własny ojciec. Lub tak jak ojciec wyglądał, gdy miał pięćdziesiąt lat. Problem polegał na tym, że Carter miał dopiero czterdzieści trzy lata.

Pracuję zbyt ciężko, powiedział do siebie, gdy przemył twarz zimną wodą i zaczął myć zęby. W takim tempie wykończę się na zawał na długo przedtem, nim osiągnę wiek emerytalny. Tak, jak tato...

Lecz lubił swoją pracę. Odpowiadała mu pomimo długich, nocnych godzin dyżuru i ciągłego napięcia. Nie chciał, aby kiedykolwiek przeniesiono go do innego departamentu. Wiedział, że robiąc cokolwiek innego, szybko zanudziłby się na śmierć.

Doktor Bruce Carter był specjalistą sanitarno-epidemiologicznym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jego obowiązki miały dość szeroki zakres: od szczepień wścieklizny do lokalizowania ognisk chorób zakaźnych, takich jak tyfus i tym podobne. Był także ekspertem od trucizn, i wielokrotnie wzywano go

jako biegłego do trudnych przypadków zabójstw. Była to ciekawa i pasjonująca praca, bezustannie rzucająca nowe wyzwania. Po prostu ją kochał.

Zaparkował na Goodge Street o 6.25 zadowolony, że tak szybko udało mu się dotrzeć do centrum. Dopiero teraz zauważył, jak o tak wczesnej porze okolice centrum są ciche i spokojne. Oby zawsze tak było, pomyślał, gdy wysiadł z samochodu i wchodził po schodach szpitala Middlesex.

Po drodze dostrzegł coś dziwnego — z otworu kanału ściekowego, tuż obok trotuaru wyrastała masa największych muchomorów, jakie kiedykolwiek widział w życiu. Były białe i okrągłe, wielkości futbolowej piłki. Przystanął, by przyjrzeć się im dokładniej, lecz nagle pomyślał, że przecież nie ma na to czasu. Być może później.

Wewnątrz budynku podał swe nazwisko dyżurnej recepcjonistce, która — co było zresztą do przewidzenia — nie mogła odnaleźć go na liście. Carter był cierpliwy.

— Niech pani spróbuje jeszcze raz pod C — doradził dobrotliwie.

Znalazła w końcu doktora Bruce „Cowpera” i zgodziła się, co prawda dość niechętnie, że chodzi prawdopodobnie o niego.

— Czekają na pana na oddziale chorób zakaźnych. Blok C, poziom drugi, proszę pytać o doktora Masona. W windzie proszę nacisnąć guzik oznaczony cyfrą dwa. Potem. . .

Lecz Carter biegł już w kierunku windy.

— Dzięki — rzucił przez ramię. — Wiem, gdzie to jest. . .

Na drugim piętrze napotkał pielęgniarkę, która wychodziła właśnie z oddziału chorób zakaźnych. Wyglądała, jakby przeżyła szok. Było to raczej dziwne, aby wykwalifikowana pielęgniarka wyrażała swe emocje w taki właśnie sposób, obojętnie, czego była właśnie świadkiem. Carter poczuł nagle nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Przeszedł przez drzwi oznaczone wyraźnym, czerwonym napisem: „Choroby Zakaźne”. Tuż za nimi, w krótkim korytarzu siedziała za biurkiem kolejna pielęgniarka. Po chwili dostrzegł jeszcze jedną, mówiącą coś do tej za biurkiem przyciszonym głosem. Gdy się zbliżył, natychmiast przerwały rozmowę i spojrzały prosto na niego. Ich twarze miały ten sam wystraszony wyraz, co dziewczyna, którą mijał przed chwilą na korytarzu. Ucisk w żołądku zwiększył się.

Podał im swoje nazwisko, i jedna z nich zaprowadziła go do małego pomieszczenia. Wręczyła mu plastikowy skafander i poprosiła, aby go nałożył. Zaskoczony, spojrzał na trzymany w dłoni kombinezon. Nosił już takie rzeczy poprzednio, ale niezwykle rzadko i tylko w sytuacjach ekstremalnych. Ostatnim razem, gdy prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia kolonii bakterii z tajnego laboratorium badawczego.

Odwracając się w stronę pielęgniarki, wskazał na zbiornik z tlenem.

— Raczej drastyczne, prawda? Czyżby wasz pacjent nie był w izolatce?



— Jest ich więcej niż tylko jeden — odparła z widocznym wahaniem. — Wszyscy są w izolatkach, ale doktor Mason nalega, by cały personel nosił takie kombinezony.

Nie mówiąc nic więcej, nałożył na siebie kombinezon. Gdy był już gotowy, pielęgniarka jeszcze raz sprawdziła wszystkie zapięcia i wskazała na drzwi.

— Proszę udać się tędy. Na końcu korytarza znajdzie pan kolejne drzwi. Tam już czekać będzie na pana doktor Mason.

— Co tu się dzieje? — zapytał stłumionym przez plastikowy hełm głosem.

— Sądzę, że doktor Mason wyjaśni panu całą sytuację znacznie lepiej niż ja — odparła pielęgniarka i wyszła. Pozostał sam.

Przez chwilę wahał się, a potem stanowczo pchnął drzwi, które wskazała. Wiedział już, że z całą pewnością nie spodoba mu się to, co napotka na drugim końcu korytarza.

Doktor Mason, ubrany tak, jakby przed chwilą opuścił plan zdjęciowy „Gwiezdných Wojen”, przywitał Cartera w pokoju, pełnym lśniących instrumentów medycznych. Spotkali się już kiedyś na konferencji, może półtora roku temu, gdzie omawiali problemy związane z AIDS. Carter znał go jednak wystarczająco dobrze z reputacji, która rzeczywiście mogła robić wrażenie.

— Ach, doktor Carter. Cieszę się, że przybył pan tak szybko — powiedział Mason. — Obawiam się, że mamy tutaj problem. . . bardzo poważny problem.

Za plastikową szybką hełmu twarz Masona była spięta i mokra od potu. Po chwili Carter dostrzegł, że w pomieszczeniu stało sześć łóżek — każde przykryte plastikowym namiotem. Pod czterema z nich mógł dostrzec niewyraźne kształty.

— Podeszedł w stronę najbliższego łóżka — namiotu. Leżący tu pacjent wydawał się być w całości owinięty zwojami grubego bandaża. Żółtego bandaża. Podeszedł bliżej. Mason stanął tuż za nim.

— Co się z nim stało? A może to ona? Te bandaże uniemożliwiają rozróżnienie.

— To on. A to nie są bandaże.

Carter odwrócił się, sądząc, że Mason stroi sobie z niego żarty. Ale wyraz oczu Masona przekonał go, że to nie jest żart. Nagle poczuł, że robi mu się zimno.

Ponownie odwrócił się w stronę leżącej w łóżku postaci i zbliżył hełm do plastikowego namiotu. To, co pierwotnie wziął za bandaże, okazało się grubą, żółtą pleśnią, która pokrywała całe ciało, a nawet twarz.

— Jezu — mruknął. — Co to, do diabła, jest? Wygląda, jak jakaś pleśń. . .

— Bo to jest pleśń.

Carter był wyraźnie dezorientowany.

— Widziałem już parę tego typu przypadków, ale nigdy w takim stanie, jak to. A dlaczego właściwie jest tutaj, a nie w kostnicy?

— To nie jest ciało — odparł ponuro Mason.

— Co takiego?! — spojrzał zaskoczony na Masona, a po chwili ponownie na leżącą nieruchomo postać. Dopiero teraz dostrzegł, że pokryta puszystą substancją pierś podnosi się i opada. Przyszło mu do głowy, iż dobrze się stało, że nie zdążył zjeść śniadania.

— Tak, on wciąż żyje — potwierdził jego obserwacje Mason. — I chyba mógłby pan powiedzieć, że jest szczęściarzem. . . — wydał z siebie dźwięk, który przy odrobinie dobrej woli mógłby zostać poczytany za śmiech. — W przeciwieństwie do tego. . .

Mason poprowadził Cartera do kolejnego łóżka. Nagie ciało, leżące pod plastikowym namiotem, należało do mężczyzny. Carter stwierdził, że mógł mieć zaledwie dwadzieścia parę lat. Nie mógł powiedzieć niczego więcej, ponieważ od szyi w górę, twarz mężczyzny była szarym, bezkształtnym grzybem. Wyglądał jak brudny kalafior.

— Na szczęście dla niego już nie żyje, ale nie odważę się przetransportować jego zwłok do kostnicy. Ryzyko zarażenia jest zbyt duże. I chociaż człowiek nie żyje, to obawiam się, że ten twór niestety tak.

— Ale co to właściwie jest? — zapytał nerwowo Carter. — I gdzie ci ludzie zarazili się czymś takim?

— Odpowiedź na oba pańskie pytania brzmi: „nie wiem” — odparł Mason i wskazał na pierwsze łóżko. — Ten przywieziony został przez patrol policyjny dwie godziny temu. Znalazł go kierowca samochodu dostawczego na Easton Road. Policjanci, którzy odebrali wezwanie, mieli na szczęście tyle rozsądku, by przywieźć zarażonego od razu tutaj. A ta ofiara. . . — wskazał na łóżko tuż przed sobą — przywieziona została ambulansiem z Ladbroke Grove godzinę temu. Około piątej nad ranem sąsiedzi usłyszeli krzyk jakiejś dziewczyny. Podobno wpadła w histerię. Obudziła się i znalazła go tuż obok siebie. . . w takim właśnie stanie. — Mason przełknął z wysiłkiem ślinę i poprowadził Cartera do kolejnego łóżka.

Carter niechętnie spojrzał przez plastikową zasłonę. Widok był tak okropny, jak się tego spodziewał. Całe ciało pokryte było białą, puszystą pleśnią.

Nagle przypomniał sobie nienaturalnej wielkości grzyby, wyrastające ze ścieku na zewnątrz szpitala, i gdzieś w jego umyśle zaczęło narastać straszliwe podejrzenie.

— Ten także żyje — powiedział Mason. — Przywieziono go na oddział pogotowia szpitala Guy o czwartej rano.

— To jakiś rodzaj grzyba, prawda? — zapytał Carter, nie odrywając wzroku od pleśni.

— Na to wygląda. Próbowałem już potężnych dawek zarówno nystatyny jak i griseofulwiny, ale bez żadnych rezultatów.

Carter skinął głową. Te dwa antybiotyki były najbardziej efektywne w wypadku infekcji grzybem.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Ja także nie — odparł Mason. — Nie jestem ekspertem w tego typu infekcjach, ale zawsze wydawało mi się, że wiem o nich wystarczająco dużo. Nawet o tych, które do tej pory nie występowały na terenie Anglii. Ale to... to leży poza zasięgiem mojego doświadczenia.

Carterowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

— To może być nowa choroba zakaźna, przywleczona tu przez jakiegoś przybysza z Afryki czy Indii... Niech pan skontaktuje się z Instytutem Chorób Tropikalnych; być może oni będą w stanie to zidentyfikować.

— Już o tym pomyślałem. Mój zespół jest właśnie w trakcie zbierania wszelkich danych. Próbujemy także skontaktować się z szefem Instytutu Mikologii na Uniwersytecie Londyńskim, aby jak najprędzej powołać zespół kompetentnych ekspertów. Lecz najbardziej palącym problemem — i jednocześnie powodem, dla którego pana wezwałem — jest powstrzymanie tego przed dalszym rozprzestrzenianiem. Ostatnia ofiara przywieziona została aż z Hackney... wskazał dłonią na ostatnie z zajętych łóżek.

Carter spojrział we wskazanym kierunku i dostrzegł leżącą tam wysoką, ciemnowłosą kobietę. Początkowo wydawało mu się, że jej ciało wolne jest od jakiegokolwiek porostu, ale po chwili zobaczył długie wąsy pleśni wzdłuż ramion i torsu. Spojrzął na jej twarz. Oczy były otwarte, lecz gałki oczne pokrywał szary nalot. Taki sam nalot widniał w każdym wgłębieniu ciała. Na szczęście nie oddychała.

— Jej całe ciało zaatakował grzyb. Prawdopodobnie jest już tam więcej niż jej. Niepokojący jest fakt, że każda z ofiar została zarażona innym rodzajem grzyba. Nie potrafię tego zrozumieć...

— Ladbroke Grove, Hackney, Borough... — zaczął wyliczać grobowym tonem Carter. — To przecież ogromny obszar. Czy do tej pory raportowano o innych przypadkach?

— Obawiam się, że tak. Wiadomości o tego typu ofiarach otrzymaliśmy już ze szpitala London i Springfield.

— Springfield... to przecież Upper Tooting — mruknął zdumiony Carter. Czerwony obszar na wyobrażonej przez niego mapie zaczął szybko się powiększać. — Powiedział pan, że jest to bardzo zaraźliwe. Ale jak bardzo?

— Niezwykle — odparł Mason. — Ci dwaj policjanci, którzy przywieźli ofiarę z Easton Road, leżą w sąsiednim pomieszczeniu. Obaj są zarażeni. Ta rzecz pokrywa już przeszło dwadzieścia procent ich ciał i rośnie niezwykle szybko, pomimo naszych rozlicznych prób powstrzymania tego procesu. Trzech pielęgniarzy z karetki pogotowia także zostało zaatakowanych... A teraz jeszcze to...

Mason podniósł prawą dłoń i ściągnął z niej plastikową rękawiczkę. Carter bez słowa wpatrywał się w doskonale widoczny na grzbiecie jego dłoni żółty liszaj pleśni.

# **CZEŚĆ DRUGA — PODRÓŻ**

## Rozdział pierwszy

Flannery podszedł do Neary'ego, próbując ignorować ból w potłuczonej nodze. Miał nadzieję, że jeden ze zgromadzonych przy barze mężczyzn zdziwi się na jego widok. Okazało się, że miał rację. Spośród wielu zwróconych w jego kierunku twarzy tylko na jednej dostrzegł wyraz zdumienia i niedowierzania. Twarz ta należała do Bresnihana.

Flannery usiadł obok niego przy barze.

— Cześć, Fiach — powiedział ostrożnie. — Sądzę, że powinienem ci podziękować za ostatnią noc.

Próba udawania niewinnego była w wykonaniu Bresnihana równie słaba, jak angielskie piwo.

— Nie wiem, o czym... — zaczął.

— Oszczędzaj ślinę, Fiach — uciął krótko Flannery. — Będziesz jej potrzebował, aby wyjaśnić swej trąconej żonie, dlaczego przyniosłeś własne jaja w torebce po frytkach. Wiem, że to ty nagrałeś to spotkanie. Powiedziałeś im, że moje pytania o Mulvaneya mają coś wspólnego z nimi, prawda?

Bresnihan zawahał się, a po chwili skinął z rezygnacją głową.

— Jak ci się udało wyjść z tego cało? Myślałem, że jesteś już martwy.

Flannery roześmiał się szeroko.

— Potrzeba czegoś więcej niż IRA, by zatrzymać starego Flannery'ego, chłopcze. Do tej pory powinieneś być już się tego nauczyć...

\* \* \*

— Chryste! — wykrzyknął Barry Wilson i łupnął pięścią w maszynę do pisania. To nie było dobre. Zbyt melodramatyczne. Niejasne. Nic z gatunku „ostrego, kpiącego dowcipu”, jak napisał w swej recenzji reporter „Irish Times'a” o jego ostatniej książce. Brzmiało to bardziej jak Mickey Spillane niż Barry Wilson.

Nagle zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Czyżby usłyszał dzwonek? Trudno powiedzieć, mając w uszach te cholerne zatyczki. Tak się już do nich przyzwyczaił, że stały się niezbędne. Z pewnością nie mógł to być telefon, ponieważ odłączył go już kilka tygodni temu. Przez chwilę łudził się nadzieją, że to jednak

nie był dzwonek u drzwi. Nie chciał, aby ktokolwiek mu teraz przeszkadzał. Nie dość, że z czwartą książką o Flannerym utknął właściwie w martwym punkcie, to miał jeszcze do przejrzenia scenariusz filmowy. RTE miała bowiem zamiar zrobić film na podstawie jego wcześniejszych książek. Jeżeli pomysł z tym serialem wypali, skończą się wreszcie kłopoty finansowe. Chociaż trzy poprzednie książki odniosły pewien sukces i ich popularność wciąż rosła, pieniędzy wciąż brakowało. Większość z nich szła na potrzeby jego dwójki dzieci, Simona i Jassici, a reszta na opłacenie czynszu za niewielki domek w County Wicklow.

Powtórnie usłyszał ten sam dźwięk. A więc to jednak był dzwonek u drzwi. Zaklął pod nosem i spojrzął na zegarek. Było już dobrze po północy. Kto, do diabła, mógł mu składać wizytę o tak późnej porze, i to w dodatku na takim odludziu? Z pewnością nie był to żaden z sąsiadów. Celowo zraził ich do siebie, by być pewnym, że nie będą przeszkadzać mu w pracy.

Wyjął zatyczki z uszu i przez chwilę nasłuchiwał uważnie. Dzwonek odezwał się ponownie. Tym razem jednak brzmiał długo i natarczywie. Barry wstał, opuścił pracownię i zszedł po schodach do saloniku.

Nie zapalając światła podszedł do okna, po drodze starając się nie nadeptać na żadną ze skrzypiących desek podłogowych. Wyrzwał ostrożnie przez szparę w zasłonie. . . i przeżył szok.

Na zewnątrz stało trzech mężczyzn. Wszyscy uzbrojeni byli w coś, co nieprzyjemnie przypominało karabiny maszynowe.

Zaniepokojony odsunął się od okna. Mężczyźni z bronią. To mogło oznaczać tylko jedno. IRA. Ale czego oni szukali właściwie w jego domu?

W tej samej chwili od strony drzwi wejściowych dobiegło go potężne uderzenie. Wilson poczuł, jak serce podchodzi mu nagle do gardła. Chryste, rozwalili drzwi!

Przebiegł przez salon, wbiegł po schodach na górę i jak burza wpadł do gabinetu. Gorączkowo poszukiwał jakiegoś miejsca, w którym mógłby się ukryć. Lecz nie było tu żadnej komórki, żadnego strychu, nic. . .

Drzwi frontowe zatrzęsły się ponownie.

Broń! Musi znaleźć jakąś broń! Ale jaką? Nie miał przecież żadnego rewolweru, żadnej strzelby. Nagle jego wzrok padł na leżący na stole nóż do papieru. Podniósł go i obejrzał. Co prawda, jego czubek nie był ostry, ale za to cały nóż był długi i ciężki.

W chwilę potem usłyszał, jak drzwi frontowe rozpadają się w drzazgi.

Zgasił światło i wczołgał się pod biurko. Zastygł nieruchomo, ściskając w garści nóż i czując, jak wali mu serce.

Po chwili z salonu usłyszał głosy, wołające go po nazwisku.

Cholera, a więc jednak przyszli po niego. Nie był to przypadkowy atak czy pomyłka w identyfikacji. Ale dlaczego właśnie on? Co właściwie zrobił, że IRA

wzięła go na muszkę? Co prawda, parę razy zażartował z nich na kartach swych książek, ale przecież nie aż tak!

Być może chcieli go po prostu porwać. Być może myśleli, że jest bogatym autorem i będzie w stanie zapłacić wysoki okup. Chryste, dopiero się wściekną, gdy się przekonają, jak mało jest w rzeczywistości wart. . .

Odgłos ciężkich kroków. Na schodach. Coraz bliższe.

Co robić? Jak w tej sytuacji zachowałby się Flannery? Przeszedłby oczywiście do ofensywy. Zaskoczyłby ich. Złapałby jednego z nich, przyłożył do gardła nóż do papieru i wziął jako zakładnika. A najprawdopodobniej skończyłoby się na tym, że jedliby mu z ręki, zaoferowaliby, iż naprawią drzwi, a w ramach rekompensaty popracowaliby trochę w ogrodzie. . .

Pieprzyć Flannery'ego. Tu było prawdziwe życie. Wilson miał, co prawda, parę cech wspólnych ze swym bohaterem, ale nerwy ze stali i możliwość trzeźwego rozumowania w sytuacjach kryzysowych z pewnością do nich nie należały. A zresztą Flannery miał sześć stóp wzrostu i zbudowany był jak skała, a Wilson mierzył zaledwie pięć stóp i ważył jedynie 160 funtów.

Kroki zbliżały się wyraźnie. Po chwili rozbłysło światło. Wilson, skulony w niewygodnej pozycji pod biurkiem, dostrzegł nagle zbliżające się w jego kierunku trzy pary ciężkich, wojskowych butów.

Zaraz wyskoczę, pomyślał w panice Wilson. Pchnę jednego nożem i ucieknę w ogólnym zamieszaniu. . .

Lecz nie mógł się zmusić, by wykonać bodaj najmniejszy ruch. Jedyne, co potrafił, to skulić się jeszcze bardziej i czekać. Następną rzeczą, jaką dostrzegł, była twarz, która pojawiła się w odległości zaledwie paru cali od jego własnej. Jeden z mężczyzn nachylił się obok biurka i spoglądał prosto na niego.

— Pan Wilson? Pan Barry Wilson? — zapytała uprzejmie twarz.

Przez parę sekund Wilson wpatrywał się w swego rozmówcę z przerażeniem.

— Tak. . . — wykrztusił wreszcie. — To ja. . . — dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mężczyzna mówi z silnym akcentem brytyjskim.

— Nie jest pan Irlandczykiem? — zapytał ostrożnie.

— Nie. Jestem porucznik Smythe-Robertson z 69. dywizji spadochronowej. Czy zechciałby pan stamtąd wyjść? Nie mamy zbyt wiele czasu.

Gdy Wilson wyczołgał się wreszcie spod biurka, porucznik pomógł mu stanąć na nogi. Wilson obrzucił zdumionym spojrzeniem otaczających go młodych mężczyzn. Wszyscy ubrani byli w mundury polowe.

— Jesteście żołnierzami! Brytyjskimi żołnierzami! — powiedział i prawie natychmiast tego pożałował. Zabrzmiało to głupio.

— Tak — odparł ten, który przedstawił się jako Smythe-Robertson. — I nie ma najmniejszego powodu, aby musiał pan używać tego — spojrzał znacząco na prawą dłoń Wilsona.

Wzrok Wilsona powędrował w dół i zatrzymał się na nożu do papieru. Wyglądał śmiesznie i niedorzecznie w porównaniu do trzech karabinów maszynowych, trzymany przez żołnierzy. Otworzył dłoń i nóż upadł z brzękiem na podłogę.

— Myślałem, że jesteście z IRA — wymamrotał.

Żołnierze spojrzeli po sobie. W ich oczach dostrzegł nagle coś takiego, że nie był pewny, czy mu się to spodobało.

— Słuchajcie, co to ma wszystko znaczyć? — rzucił wojowniczo, czując, jak powraca jego zwykła pewność siebie. — Włamujecie się do mojego domu w środku nocy i trzymacie mnie pod bronią. Chciałbym usłyszeć jakieś rzeczywiście cholernie dobre wyjaśnienie. I co, do diabła, robicie w Republice? Rząd Irlandii z pewnością zrobi z tego właściwy użytek, możecie być pewni. . .

Smythe-Robertson podniósł do góry dłoń, usiłując powstrzymać ten potok słów.

— Jesteśmy tu zgodnie ze specjalnymi zarządzeniami Stanu Zagrożenia, który obowiązuje w obu naszych krajach. Proszę, aby poszedł pan z nami, sir. Czeką nas długa podróż — położył dłoń na ramieniu Wilsona. Ten natychmiast ją strącił.

— Stan Zagrożenia? Jaki Stan Zagrożenia? O czym pan mówi, do cholery?!

— Musi pan przecież wiedzieć, co wydarzyło się w kraju. Telewizja i radio bez przerwy podają najświeższe wiadomości.

— Nie mam tu telewizora i nie słucham radia, gdy pracuję. To mnie rozprasza.

— Chce pan przez to powiedzieć, że do tej pory nie słyszał pan nic o kryzysie? — zaskoczenie w głosie porucznika równe było zaskoczeniu, malującemu się na jego twarzy.

— O jakim kryzysie?

Smythe-Robertson obrzucił go dziwnym spojrzeniem i po chwili powiedział:

— Nie ma teraz czasu na szersze wyjaśnienia. Musimy natychmiast opuścić to miejsce.

— A dokąd zamierzacie mnie zabrać?

— Do Belfastu.

Wilson parsknął śmiechem.

— Nie jadę do żadnego Belfastu. Nigdzie się stąd nie ruszam.

Smythe-Robertson pokiwał z niesmakiem głową i wykonał krótki gest w stronę stojących obok żołnierzy. Natychmiast zgodnym ruchem złapali Wilsona pod ramiona. Ten nagle poczuł, że jest wynoszony z pracowni. Przez chwilę próbował się opierać, ale niosący go komandosi wydawali się nawet tego nie dostrzegać.

— Nie możecie mi tego zrobić! — wrzasnął. — Oskarżę was o bezprawne aresztowanie!

— Nikt pana nie aresztuje, sir — odezwał się idący tuż za nimi Smythe-Robertson. — Ale w obliczu Stanu Zagrożenia jest pan pod groźbą prawa zobowiązany do wykonania wszystkich naszych poleceń. I właśnie pan to robi. . .



Gdy wywelekli go przez pozostałości drzwi na zewnątrz, ukazała się kolejna niespodzianka. Na trawniku przed domem przycupnął śmigłowiec — i to jeden z tych większych.

Gdy żołnierze podeszli bliżej, silnik zahuczał i górny rotor zaczął się obracać.

— Niech pan się lepiej pochyli, sir — ostrzegł go jeden z żołnierzy. — Nie chcielibyśmy stracić tak cennej głowy.

Gdy pomogli mu już wejść do środka i zatrzasnęli drzwi, maszyna natychmiast uniosła się w powietrze. Wilson w dalszym ciągu nie wiedział, co się z nim dzieje. To wszystko było zbyt zwariowane, aby mogło być prawdziwe. Pomyślał jeszcze, że gdyby umieścił podobną scenę w swej kolejnej książce, to z pewnością zarzucono by mu zbyt naciąganie faktów... Chryste, książka!

— Słuchajcie, nie mogę nigdzie lecieć! Muszę dokończyć książkę! Mam termin, którego muszę dotrzymać! — wrzeszczał, przekrzykując łoskot wirnika.

— A gdzie mieści się biuro pańskiego wydawcy, panie Wilson? — odkrzyknął Smythe-Robertson.

— W Londynie, oczywiście!

— Nie ma już Londynu, panie Wilson!

## Rozdział drugi

Dookoła pachniało wsią.

Dermot Briggs głęboko wdychał ciepłe, nocne powietrze i był szczęśliwy. Razem z Sally i trójką dzieci spędzał już czwartą noc na biwaku pod gołym niebem. Marzył o tym od dawna, chociaż nigdy nie przypuszczał, że się spełni. Skończyły się ciągle kłótnie dzieciaków i powróciło ciepło pomiędzy nim a Sally, które było od kilku miesięcy nieobecne. O cudownej zmianie miał okazję przekonać się już parokrotnie.

Przez cały ten czas pogoda w Yorkshire była świetna. Samochód nie zepsuł się ani razu, a w dodatku stary farmer, na którego polu rozbili namiot, okazał się wspaniałym piwowarem. To było najlepsze piwo, jakiego Dermot do tej pory próbował. Za każdym razem, gdy odwiedzał farmę po codzienną porcję świeżego mleka dla Sally, wracał z kwartą znakomitego napoju.

Także i teraz, gdy szedł na ukos, przez pola w stronę obozu, niósł ze sobą pełny garnek. Stary farmer okazał się miłym facetem, chociaż czasami lubił trochę ponarzekać. Dzisiejszego wieczoru, gdy siedzieli w kuchni, staruszek mówił o jakiejś epidemii, która wybuchła najprawdopodobniej w Londynie. Usłyszał o niej w radiu. Dermot nie bardzo mógł się w tym wszystkim połapać. Żałował trochę, że dzieciaki popsuły radio tranzystorowe już pierwszego dnia biwaku. Był jednak pewny, że cokolwiek się tam wydarzyło, może poczekać do ich powrotu do Liverpoolu w poniedziałek.

Po co ma się przejmować cholernym Londynem? Czy ktoś w Londynie dba o ta co dzieje się na północ od Watford? To praktycznie inny kraj...

Znakomity nastrój nie opuścił go nawet wtedy, gdy po ciemku wdepnął w olbrzymi, świeży placek krowiego łajna. Cholera! — zaklął pod nosem, lecz już po chwili roześmiał się serdecznie. Zapalił latarkę i w jej świetle przekonał się, że rzeczywiście miał okazję zapoznać się bliżej z postrachem wszystkich mieszczuchów. I to stosunkowo świeżym.

Wytarł prawy but o trawę i, zataczając się lekko, pomaszerował w stronę obozowiska.

Nie wiedział — a nawet gdyby wiedział, to i tak nie bardzo przejąłby się faktem — że na podeszwie pozostała odrobina ekskrementów. Nie wiedział także, że zawierały zarodniki występującego w jelitach krów grzyba o nazwie coprophilius.

Nie miałyby to większego znaczenia, ale poprzedniej nocy na całe pole spadł deszcz mikroskopijnych cząstek grzyba, które przywiał wiatr aż znad Londynu.

Gdy Dermot szedł przez pole, parę tych cząsteczek przykleiło się do powalanej łajnem podeszwy prawego buta. A każda z cząsteczek zawierała aktywny enzym, wyhodowany w laboratorium przez Jane Wilson. Jedna z tych cząsteczek zetknęła się z zarodnikiem coprophiliusa. Nagle zaczęło się dziać coś dziwnego.

Doszedł wreszcie do obozowiska. Obydwa namioty stały ciemne i ciche. Dermot sądził, że po powrocie zastanie Sally pogrążoną w lekturze jednej z ulubionych książek. Ona i te jej zwariowane powieści fantastyczne. Ale dzięki nim była tak zajęta, że nie miała nic przeciwko jego codziennym wycieczkom na farmę.

Podszedł w stronę namiotu dzieci i potknął się o wystającego z ziemi śledzia. Walczył chwilę o utrzymanie równowagi, a potem wsadził głowę do wnętrza namiotu. Dzieci spały spokojnie, lecz poczekał chwilę, aby się upewnić. Te małe diabełki...

Zadowolony, że nie próbują go nabrać, poszedł do własnego namiotu.

Sally też już spała, więc rozebrał się szybko, starając się nie narobić przy tym większego hałasu. Szło mu doskonale, dopóki nie zabrał się do ściągania spodni. Stracił równowagę i przewrócił się ciężko na żonę.

— Co się stało? — wymamrotała sennie.

— To tylko ja. Przepraszam. Chyba troszeczkę wypilem.

Mruknęła coś, czego na szczęście nie dosłyszał, i rozpięła śpiwór, żeby zrobić mu miejsce. Z trudnością wsunął się do środka. Była naga i ciepła. Jej ciało było lekko wilgotne od świeżego potu. Poczuł, jak narasta w nim pożądanie...

Zaczął pieścić jej gładką skórę i już wkrótce z żarem zareagowała na dotyk. Wsunął się na nią i kochali się z przyjemnością równą tej, z pierwszych miesięcy małżeństwa. Wreszcie zasnęli.

Nie wiedzieli, że tuż obok namiotu zaczęła się formować gruba, pomarańczowa narośl. Zaabsorbowała już wszystkie składniki odżywcze gleby i teraz szukała pożywienia.

Wkrótce, w pobliżu odkryła dużą ilość ciepła. Cienkie strzępki, prawie niewidoczne nawet w pełnym świetle dnia, zaczęły pełznąć po ziemi, w jego stronę. Posuwały się niezwykle szybko, pokonywały w minutę dwanaście cali. Wpełzły do namiotu. Dermot i jego żona wysunęli się ze śpiwora i spali nago, zupełnie odkryci. Końcówki strzępek dotknęły ich stóp i zaczęły żerować na zewnętrznej części naskórka.

Strzępki rozrastały się wyżej, wyczuwały pożywienie bardziej naturalne dla odmian coprophiliusa. Zaczęły rosnąć szybciej i już wkrótce zagłębiły się w naturalne otwory ciała, które były szczególnie wilgotne i żyzne.

Wtargnęły w ciało Dermota i Sally niemal równocześnie. Oboje mieli tylko niejasne wrażenie narastającego ciepła. Rozluźnili się oboje, a ich senne marzenia stały się jeszcze przyjemniejsze. W pewnej chwili na pół przebudzona Sally dotknęła piersi Dermota. Jego skóra zdawała się grubym, puszystym mchem. Wiedziała jednak, że to złudzenie, senny majak. Z przyjemnością pogłaskała go ponownie, westchnęła i zasnęła.

Grzyb zaatakował śpiącą w namiocie obok, trójkę dzieci. W podobnie łagodny sposób był przez nich przyswajany. Zmutowany coprophilius dokonywał koniecznych zmian w ciele swych gospodarzy, by mogli żyć w nim w pełnej symbiozie. Nie spowodował jednak trwałych uszkodzeń.

Rodzina Briggsów obudziła się następnego ranka i przyjęła tę sytuację jedynie z uczuciem lekkiego oszołomienia, które znikło po chwili. Rozpoczynali oni właśnie nowe życie, w którym nie będą już potrzebne namioty, książki, czy ubrania. Grzyb zatroszczy się o wszystkie ich potrzeby.

Wyszli na łąkę i opadli na czworaki. Tego roku trawa była wyjątkowo smaczna.

## Rozdział trzeci

Sloccock był już tak obolały, że wątpił, czy zdoła zrobić jeszcze jedno okrążenie. Nogi ciążyły mu niby wypełnione cementem worki, a wysuszone gardło przypominało papier ścierny. Serce waliło z szybkością 180 mil na godzinę i dziwił się nawet, że jeszcze nie wyskoczyło do przodu. . .

Przebiegł jednak kolejne okrążenie, zmuszając swe krępe ciało do nieprawdopodobnego wysiłku.

— Pięknie, sierżancie! — wykrzyknął młody Feely, który siedział na jednej z ławek okalających bieżnię. Obok niego widniała jakaś postać, lecz Sloccock, któremu pot zalewał oczy, nie bardzo mógł ją rozpoznać.

Zbiegł z bieżni i rzucił się na murawę. Przez chwilę leżał nieruchomo na plecach, ciężko oddychając. Przymknął powieki, bo popołudniowe słońce raziło go prosto w oczy. Nagle usłyszał odległy wybuch. Przeklęte szczeniaki! Pewnie kolejny ładunek wybuchowy w samochodzie. Kolejny krok cholernej IRA w kampanii, wymierzonej przeciwko armii. Nie mogą nas teraz stąd wyrzucić — pomyślał gorzko Sloccock. — Czy naprawdę nie rozumieją, że nie mamy dokąd pójść?

— Musi pan być ostrożny, sierżancie. Szczególnie w pańskim wieku — dobiegł głos Feely'ego. Sloccock uśmiechnął się do siebie. Ten Feely nie był złym dzieciakiem.

— Jeżeli powiesz tak do mnie jeszcze raz — wysapał Sloccock — to zostanie z ciebie marna kałuża na jednej z ciemnych uliczek Liverpoolu. A cóż to byłoby za strata dla świata. . .

Feely roześmiał się serdecznie. Niektórzy ludzie — a właściwie mnóstwo ludzi — nie znosiło Sloccocka. Sam Sloccock robił zresztą wszystko, aby przekonać ich, że mają rację. Jednak Feely nigdy nie obrażał się za przycinki sierżanta. Odpłacał mu zazwyczaj podobną monetą. Tym razem jednak ograniczył się do komunikatu:

— Gość do pana, sierżancie — wypowiedział to głosem, w którym drgały wyraźne nutki rozbawienia.

Sloccock otworzył oczy. W dalszym ciągu widział jedynie dwie siedzące na ławce postacie, obramowane złocistym blaskiem słońca.

— Dzień dobry, sierżancie — powiedział kobiecy głos. Bardzo miły głos.

Sloccock otarł oczy wierzchem dłoni i aż zagwizdał. Spostrzegł teraz kobietę. Dobiała trzydziestki. Była niezwykle atrakcyjna. Miała ogromne oczy, wystające lekko kości policzkowe i zmysłowe usta. Jej smolście czarne włosy były przycięte „na pazia”. Choć była ubrana w wytarte dżinsy i bezkształtną koszulę khaki, mógł dostrzec, że ma ciało pełne i sprężyste. Z wysiłkiem wziął się w garść.

— Begorrah, Feely — powiedział z silnym, irlandzkim akcentem.

— A więc przyprowadziłeś w końcu swoją babunię, aby zerknęła na twego umiłowanego sierżanta?

— Jestem Kimberley Fairchild. Doktor Kimberley Fairchild. I cieszę się, że pana spotkałam, sierżancie Sloccock, chociaż mnie przed panem ostrzegano.

— Kłamstwa. Podłe kłamstwa rozsiewane przez mych zawistnych podwładnych. W rzeczywistości jestem skondensowaną dobrocią. A więc co mogę dla pani zrobić?

— Właściwie nic. Chciałam sobie po prostu pana obejrzeć.

Sloccock rozłożył szeroko ramiona.

— A więc niech się pani przygląda i pieści oczy. Będzie pani musiała zweryfikować swój ideał męskiego piękna. To niestety cena, jaką trzeba zapłacić za ciekawość.

Parsknęła śmiechem.

— Wszystko, co widzę, to niski, otyły i pozbawiony kondycji mężczyzna, który z taką karnacją skóry nie powinien wylegiwać się długo na słońcu.

Teraz Feely roześmiał się także.

— Ona ma rację, sierżancie. Zaczyna pan przypominać przejrzałego pomidora.

— To wyraz oburzenia, a nie opalenizna — mruknął i odwrócił się w stronę Kimberley Fairchild. — Jeżeli okazałem się takim obrzydliwym okazem, doktorze, to dlaczego traci pani swój cenny czas, aby na mnie dalej patrzeć?

— Zwyczajna ciekawość, sierżancie. Po prostu chciałam się przekonać, z kim właściwie będę podróżowała.

Przez ciało Sloccocka przebiegł nagły dreszcz. Usiadł i wlepił w nią pełne zdumienia spojrzenie.

— Pani też tam jedzie? Ale po co, do jasnej cholery?

— Nie musi się pan tak podniecać — odparła chłodno.

— Ale czy pani naprawdę nie rozumie, co my będziemy musieć tam robić? Który z bezmózgich głupków, nagórze, wymyślił, aby włączyć panią do tej operacji? Będę miał wystarczająco dużo kłopotów i bez niańczenia jakiejś niewydarzonej lekarki.

— Och, niech pan wreszcie przestanie odgrywać takiego twardziela, sierżancie. Sytuacja przedstawia się akurat odwrotnie. To ja będę pańską niańką. Jestem lekarzem, pamięta pan? Potrzebujecie przecież lekarza.

— A po jaką cholere? Jak do tej pory nie okazaliście się zbyt pomocni. Potraficie tylko rozdawać pigułki nasenne, gdy...

Nie dokończył i spojrzął na wypaloną ścieżkę pośrodku trawnika. Tam właśnie spalono Hibberta. Aż tak daleko zdołał się doczołgać, zanim udało się go wreszcie otoczyć. Uruchomiono miotacze ognia. To zdumiewające, jak długo jeszcze krzyczał...

— Niech mi pan wierzy, sierżancie, że jeszcze będzie pan wdzięczny za moją obecność. I proszę się nie martwić, potrafię o siebie zadbać. Wychowałam się pośród karabinów.

Oderwanie wzroku od poczerńiałej plamy przyszło Slocockowi z wyraźnym trudem. Spojrzął uważniej, ale w jej oczach nie dostrzegł ani śladu arogancji. Raczej spokojną pewność siebie. Była kimś niezwykłym. Musiała być. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zgłosiłby się na ochotnika tam, dokąd mieli pójść. Wiedział, z jakich powodów zgłosił się on sam. Lecz nie był pewny, czy nią kierowało to samo.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się i zaproponowała:

— Niech pan się wreszcie rozchmurzy, sierżancie. Chodźmy, postawię panu i kapralowi drinka. Oczywiście, jeżeli jest właściwa pora.

— Nie jesteśmy na służbie. Jeden drink wszystkim nam dobrze zrobi.

Z wysiłkiem podniósł się na nogi jak stary człowiek, który dźwiga worek kartofli. Feely nie dał się na to nabrać i nie podał mu ręki.

Bar był jak zwykle zatłoczony. Był otwarty na okrągło, bez przerwy i zawsze pełno było w nim żołnierzy na przepustkach. Od czasu wprowadzenia stanu zagrożenia liczba żołnierzy w bazie wzrosła czterokrotnie. Podobnie działo się we wszystkich bazach w Północnej Irlandii.

Ich wejście spowodowało zamęt. Wszyscy wpatrywali się w Kimberley, a tu i ówdzie dały się słyszeć głośne gwizdy i niewybredne epitety. Slocock pomyślał, że zaledwie dwa tygodnie temu taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Oczywiście, atrakcyjna dziewczyna zawsze działała na tych młodych palantów, ale przecież nie aż tak. Załamuje się dyscyplina, pomyślał. Jeżeli potrwa to jeszcze trochę, runie wszystko.

— Sądzę, że będzie nam wygodniej w Klubie Oficerskim — zauważył.

— Bzdura, sierżancie — odparła i zaczęła przepychać się przez tłum w stronę baru. Przez chwilę obserwował ją chłodno, a potem ruszył za nią, mając tuż za sobą Feely'ego. Starał się ignorować zaczepki. Już dawno przestał się martwić o swoją dumę. Margie to załatwiła. Jeszcze w Aldershot. Puszczala się z każdym, zanim wreszcie łaskawie od niego odeszła. Od tego czasu wiedział, że już nigdy nie będzie traktowany jak prawdziwy mężczyzna. A co dziwniejsze, sympatia wszystkich była po stronie Margie. Nikt jej nie winił za te romanse, ponieważ powszechnie uważano go za drania. Wielu myślało po prostu, że próbuje od niego odejść, ale prawda była bardziej upokarzająca niż najgorsze plotki. Próbowala

mu utrzyć nosa, ponieważ nie mógł jej zaspokoić. A kiedy ilość jej kochanków zaczęła zamykać się liczbą dwucyfrową, przestał nawet liczyć. . .

Wysunął się przed Kimberley i wywalczył trochę miejsca przy barze. Nie miał z tym większych kłopotów — pogardzali nim, lecz jednak wciąż się go bali. I mieli ku temu dostateczne powody.

— Co dla pani? — zapytał.

— A co piją zazwyczaj stare babcie? — odparła z figlarnym błyskiem w oku.

— Moja piła brandy.

— A więc poproszę brandy.

— Ale to ją zabiło.

— A więc poproszę podwójną.

Sloccock uśmiechnął się i zamówił drinki. Czekając, zwrócił się do Feely'ego:

— Jak poszło zeszłej nocy?

— W porządku. Żadnych kłopotów. Musieliśmy jedynie wyciągać faceta spod biurka. Schował się tam przed nami. Biedak myślał, że jesteśmy z IRA — Feely roześmiał się szeroko. — Jakby mnie pan pytał, sierżancie, to gość jest troszeczkę stuknięty. Nie wiedział o bożym świecie. Zastanawiam się, po jakie lichy go właściwie ściągnęliśmy. Wie pan coś na ten temat, sierżancie?

— Tak — skrzywił się Sloccock. — Nawet zbyt dużo. — Spojrzał na Kimberley. — Spotkała go pani przedtem?

Pokręciła głową.

— Nie. Ale wkrótce go spotkam. Na odprawie — spojrzała na zegarek. — Za jakąś godzinę. Sądzę, że pan także będzie na niej obecny?

— Nie opuściłbym jej za żadne skarby świata — odparł cierpko. — Słyszałem, że będą nam pokazywać jakieś sprośne filmy.

— Rozumiem, że przeszedł pan już sporo w tej bazie. Ten człowiek. . . Nazywał się Hibbert, prawda?

Sloccock rozprawił się ze swym scotchem jednym łykiem i skinął w stronę barmana.

— Tak. Percy Hibbert. Przybył z ostatnim oddziałem, jaki ewakuowano z Holyhead, zanim odcięli ich na amen. Przez dwa dni sprawdzali dosłownie każdy cal jego ciała w poszukiwaniu najmniejszego śladu tego świństwa, i w końcu podbili mu białą kartę. Był tutaj przez cztery dni, zanim to się zaczęło. . .

Barman przyniósł kolejnego drinka. Sloccock wziął go z wdzięcznością, pociągnął solidny łyk i kontynuował:

— Czwartego dnia rano, przechodziłem właśnie obok baraków z natryskami, gdy usłyszałem nieopisany harmider. Gdy podszedłem do drzwi, aby sprawdzić, co się dzieje, zostałem prawie stratowany przez tłum gołych facetów. Uciekali w panice. Po chwili ukazał się Hibbert, wrzeszcząc o pomoc. Był także na golasa i zobaczyłem, że jego ciało dosłownie pęka pod naporem tego zielonego i czarnego gówna, które próbuje wydostać się z niego na zewnątrz. Podbiegł do mnie



i złapał... — zadrżał na wspomnienie tej przeraźliwej sceny i długim pociągnięciem osuszył szklaneczkę do końca. — Odepchnąłem go. Zatoczył się, ale już po chwili odwrócił się i zaczął uciekać. Krzyczałem żeby ktoś przyniósł wreszcie te cholerne miotacze ognia, i ruszyliśmy za nim. Goniliśmy go przez pół obozu, zanim w końcu udało nam się otoczyć go na boisku — mogła pani zobaczyć jeszcze ślad...

— I było to pięć dni temu?

Sloccock wolno skinął głową. Przed oczy ponownie powrócił obraz ciała Hibberta, skręcającego się i kopiącego szaleńczo nogami, podczas gdy trzy miotacze polewały go strumieniami płynnego ognia...

— Od tamtej pory nie stwierdzono dalszych przypadków infekcji — powiedziała Kimberley. Mieliście szczęście.

— Cały obóz wciąż śmierdzi środkiem dezynfekcyjnym — wtrącił Feely. — A wszystko, czego Hibbert dotknął, spalono. Sprawdzili nawet barak z natryskami. Od tej pory wszyscy są na krawędzi wybuchu. Większość chłopaków spędza każdą wolną chwilę na poszukiwaniu u siebie objawów infekcji.

— Lub u siebie nawzajem, stare cioty — mruknął Sloccock. Z zażenowaniem przypomniał sobie panikę, w jakiej trwał przez dwadzieścia cztery godziny od chwili śmierci Hibberta. Zdarł z siebie całe ubranie i zamknął się w łazience w baraku oficerskim. Przez cały ten czas siedział w płytkiej wannie, trzęsąc się jak przerażone dziecko i wylewał na siebie litry środka dezynfekcyjnego.

— To bardzo dziwne, że grzyb pozostawał w ciele tego Hibberta przez tak długi czas — powiedziała zamyślona Kimberley. — Okres inkubacji musiał przebiegać w obiegu krwi, a gwałtowny rozrost spowodowało najprawdopodobniej ciepło i wilgoć prysznic.

Sloccock spojrział na nią ze zdumieniem. Równie dobrze mogłaby rozprawiać o pogodzie.

— A kim pani jest, pani doktor Fairchild? I co pani tu właściwie robi? Nie jest pani Brytyjką, tego jednego jestem pewien. — Słyszał w jej doskonałym angielskim cieni obcego akcentu, którego nie potrafił zidentyfikować.

— Nasz sierżant ma czułe ucho — powiedziała z drwiącym uśmiechem. — Tak, ma pan rację. Nie jestem Angielką, chociaż większość ludzi jest przekonana, że pochodzę z Londynu. Kształciłam się tutaj, lecz urodziłam się w Afryce Południowej. Moi rodzice mieli tam farmę. Niedaleko Kimberley, oczywiście.

Sloccock skinął głową. To wyjaśniało jej dziwną uwagę o wychowaniu pośród karabinów.

— A więc co pani robi w Północnej Irlandii?

— Przyleciałam tu prosto z Paryża. Moją specjalnością jest medycyna tropikalna. Pracowałam w takich krajach, jak Angola, Zair i Mozambik. Jestem ekspertem od chorób tropikalnych, włączając w to grzybice afrykańskie. Gdy tylko dowiedziałam się, co się stało, natychmiast zaoferowałam rządowi emigracyjne-

mu swoje usługi. Ponieważ większość waszych naukowców została uwięziona w samym centrum epidemii, moją ofertę przyjęto.

— W porządku. Jak na razie rozumiem. Jest pani dobrą Samarytanką. Ale dlaczego zgłosiła się pani do tej misji? Z pewnością byłaby pani bardziej przydatna, siedząc tutaj, na miejscu. Nasze szanse na pomyślny powrót są bliskie zeru.

— Powiedzmy, że mam... — nie dokończyła zdania. Jeden z żołnierzy zatonął się nagle na bar i objął ją ramionami. — Hello, kochanie. Co robisz z tymi pacjentami? Może pójdziemy stąd i napijiesz się czegoś z prawdziwym mężczyzną? — zapytał głośnym, bełkotliwym głosem.

Sloccock spodziewał się czegoś takiego. Od dłuższej chwili, kątem oka obserwował grupkę młodych żołnierzy, siedzących przy stoliku obok. Poszturchiwali się łokciami i szczerząc zęby wskazywali na Kimberley. Najwidoczniej zachęcali się wzajemnie, do zaczepki — i jeden z nich właśnie się zdecydował. Facet nazywał się Baxter. Potężne chłopisko, mierzył przeszło sześć stóp wzrostu i był pijany.

Sloccock bez słowa wysunął się przed Kimberley i potężnym ciosem zdzielił go prosto w dołek.

Baxter puścił dziewczynę i zgiął się wpół. Gdy miał wystarczająco nisko głowę, Sloccock kopnął go w twarz. Baxter wyprostował się gwałtownie i runął na ziemię z łoskotem, od którego zdrząły umieszczone na barze szklanki.

Zapadła cisza. Sloccock odwrócił się plecami do leżącego i jego kompanów, pewny, że żaden z nich nie zechce już czegokolwiek próbować. Zresztą Feely i tak by go ostrzegł...

— Czysta robota, sierżancie — powiedział z podziwem w głosie Feely. — Jedna z lepszych, jakie widziałem.

— Dzięki, Feely.

— Jeżeli miało mi to zaimponować, to pomylił się pan, sierżancie — rzuciła chłodno Kimberley. — Mógł mi pan pozwolić załatwić to inaczej. Nie było powodu do takiej agresji.

— Nie zrobiłem tego dla pani, proszę mi wierzyć — Sloccock skinął w stronę barmana, zamawiając następną kolejkę. — Zrobiłem to dla siebie.

Odwrócił się, spoglądając jej prosto w twarz.

— Czy nikt pani nie powiedział, dlaczego właściwie wybrano mnie do tej misji? Oboje wiemy, dlaczego musi jechać Wilson. Pani zdolności medyczne gwarantują z kolei, że utrzyma go pani przy życiu wystarczająco długo, by wykonał swoją robotę do końca. Ale dlaczego ja?

— Powiedziano mi, że jest pan dobrym żołnierzem — odparła sztywno.

Sloccock zakrztusił się scotchem i parsknął gwałtownie. Feely mruknął coś pod nosem.

— Kto pani o tym powiedział? — wykrztusił Sloccock, gdy przestał nareszcie kaszleć. — Chryste, niech pani posłucha. Wysyłają mnie tam, ponieważ nie jestem

dobrym żołnierzem. Jedyne, co potrafię, to na różne sposoby zabijać ludzi. Ale problem polega na tym, że jak już raz zacznę, to nie potrafię się zatrzymać. Armia uznała, że sprawiam im tylko kłopot. Są szczęśliwi, że mogą się mnie w ten sposób pozbyć — wypił scotcha do końca.

— Upije się pan — zauważyła Kimberley.

— Mam szczerzy zamiar to właśnie uczynić, młoda damo, zanim zmuszą mnie do oglądania tych cholernych filmów. A pani radzę zrobić to samo.

## Rozdział czwarty

Barry Wilson był wściekły.

Od chwili, gdy zawleczono go do śmigłowca minęło już kilka godzin, ale nikt jeszcze do tej pory nie wyjaśnił mu celu przymusowej podróży do Belfastu. Mógł im tylko uwierzyć na słowo, że jest w Belfaście. Gdy wylądowali, było jeszcze ciemno i jedyne, co mógł dostrzec, to parę niezgrabnych — zapewne wojskowych — budynków.

Teraz siedział samotnie w niewielkim pokoju, gdzie pachniało środkiem dezynfekcyjnym. Było tu zaledwie parę krzeseł i stolik nakryty podniszczonym, zielonym obrusem. Za stolikiem stała tablica i wisiała ogromna mapa Wysp Brytyjskich. Całość przypominała klasę w prowincjonalnej szkółce.

Na dźwięk otwieranych drzwi Wilson aż podskoczył. Zobaczył dwóch oficerów, którzy właśnie wchodzili do pokoju. Jeden był trochę od niego starszy, miał może trzydzieści siedem czy osiem lat. Drugi był z pewnością jego rówieśnikiem. Odetchnął z ulgą widząc, że zamiast broni trzymają w dłoniach teczki z aktami.

— Dzień dobry, panie Wilson — odezwał się starszy. — Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać, ale proszę zrozumieć naszą trudną sytuację. — Obaj oficerowie usiedli przy stoliku i spojrzeli prosto na niego. W ich oczach była ciekawość, oczekiwanie i desperacja. Wilson dostrzegł, że młodszy mężczyzna, siedzący niezwykle sztywno, jest wyraźnie zdenerwowany. Przez jego policzki przebiegały nerwowe skurcze.

— Doktorze, a nie panie — rzucił ostro Wilson. — I niestety nie mam najmniejszego pojęcia, co się tu właściwie wyrabia. Wiem jedynie, że zostałem porwany, uprowadzony siłą. Do mego domu brutalnie się włamano i prawdopodobnie jest wciąż jeszcze otwarty dla dzieci, kotów i różnego autoramentu włóczągów. Żądam wyjaśnień, przeprosin i jak najszybszej podróży powrotnej do domu. Niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

Starszy oficer westchnął.

— Niech pan nam pozwoli przynajmniej się przedstawić. Jestem major Peterson, a to kapitan O'Connell.

— Porucznik Smythe-Robertson twierdził, iż jest pan zupełnie nieświadomy wydarzeń, które rozegrały się w ciągu ostatnich paru dni. Czy to prawda? — Najwidoczniej trudno mu było w to uwierzyć.

— Prawda. I wciąż nie wiem, co się dzieje. Spytałem o to tego porucznika Smytha, ale w odpowiedzi poczęstował mnie jedynie dość ponurym żartem o Londynie. . .

O'Connell wychylił się nagle do przodu. Jego pobladła twarz stwardniała.

— Naprawdę nie wie pan, co się wydarzyło?

Wilson pokręcił z rozdrażnieniem głową.

— Powtarzam po raz setny, że nie.

— A więc co pan właściwie robił przez ostatnie dwa tygodnie, na miłość boską? — zapytał Peterson.

— Byłem zamknięty w swoim domku na wsi i pisałem. Jak już chyba wiecie, jestem pisarzem. Piszę książki o Flannerym. . . — przerwał, czekając na jakikolwiek znak rozpoznania. Tym razem odpowiedziała mu cisza. Podjął więc ponownie:

— Flannery jest irlandzkim prywatnym detektywem.

— Przez dwa tygodnie! — Wilsonowi wydało się, że zdumienie brzmiące w głosie majora dotyczy raczej okresu, jaki ktoś przy zdrowych zmysłach poświęca na pisanie, a nie narzuconej sobie samotności.

— Zazwyczaj napisanie książki zabiera trochę więcej czasu — powiedział Wilson. — Kończyłem ją właśnie po wizycie moich dzieci. Nie mogę pisać, gdy ktoś pęta się w pobliżu. Pracuję w całkowitej izolacji od otoczenia.

— Żadnych gazet? Telewizji? — nalegał Peterson.

— Nie.

— A co z telefonami? Nie odwiedzają pana żadni sąsiedzi?

— Telefon wyłączyłem, a z reguły nie rozmawiam z sąsiadami.

— Niezwykłe — mruknął Peterson.

— Możecie mi wreszcie powiedzieć, co się właściwie stało? Zakładam, że nie jest to trzecia wojna światowa, bo do tej pory już wszyscy świecilibyśmy w ciemnościach.

— Nie, to nie jest trzecia wojna światowa, doktorze Wilson — powiedział Peterson. — Ale zanim wszystko wyjaśnię, będę zmuszony zadać panu jeszcze kilka pytań. — Zajrzał do trzymanej przez siebie teczki. — Jest pan mężem doktor Jane Wilson, prawda?

Pytanie o żonę w tej dziwnej sytuacji jeszcze bardziej pogłębiło zamęt w głowie Wilsona.

— Tak — odparł, starając się zachować spokój. — Ale co to ma do rzeczy?

Peterson zignorował pytanie.

— Pracowała na oddziale mikologii Londyńskiego Instytutu Biologii Tropikalnej?

Wilson zaczął odczuwać narastający w żołądku gorący ciężar.

— Ten oficer żartował, prawda, gdy powiedział, że Londynu już nie ma?

Oficerowie wymienili spojrzenia. Twarz O'Connell'ego była zupełnie biała. Niepokój Wilsona wzrósł. A więc coś musiało wydarzyć się w Londynie. Coś potwornego. Ale jeżeli nie była to wojna nuklearna, to co? Jakiś wypadek? Być może przez pomyłkę zdetonowano własną bombę. To z pewnością wina Amerykanów. — Miewają dość często wypadki ze swoimi cholernymi bombami, które porozmieszczali na całym świecie. „Złamane strzały”, jak je nazywają. . .

— Musicie mi powiedzieć! — wykrzyknął. — Moje dzieci są w Londynie. . .

Peterson podniósł dłoń.

— Ten oficer przesadził. Londyn wciąż istnieje, oczywiście. Ale jest, no cóż. . . jest zmieniony.

O'Connell zgiął się nagle w pół i zakrył twarz dłońmi. Jego ramiona zaczęły drżeć. Wilson nie był pewien czy to był płacz.

— Może powinien pan wyjść, kapitanie. Jakoś sobie poradzę — powiedział z troską w głosie Peterson.

O'Connell wyprostował się i z widocznym wysiłkiem wziął się w garść. Otarł usta wierzchem dłoni i odetchnął głęboko.

— Czuję się dobrze, sir. Przepraszam. Wszystko w porządku.

Peterson ponownie odwrócił się w kierunku Wilsona.

— A jeżeli chodzi o pańską żonę. . . — zaczął.

— Dlaczego mówi pan bez przerwy o Jane? — przerwał mu gwałtownie Wilson. — Mówimy o katastrofie, która dotknęła Londyn, a pan wciąż wypytuje mnie o żonę? Co ona ma z tym wszystkim wspólnego, do diabła?

— Proszę mi uwierzyć, doktorze Wilson — powiedział spokojnie Peterson — pani Wilson ma z tym bardzo dużo wspólnego. Odrobinę cierpliwości. Proszę pozwolić mi na zadawanie dalszych pytań. Mogę pana zapewnić, że są one niezwykle istotne w obecnej sytuacji, którą już wkrótce postaram się panu wyjaśnić.

Wilson westchnął. Wszystko, co do tej pory usłyszał, brzmiało jak z książek Kafki.

— No dobrze. Proszę pytać.

— Pańska żona jest uważana za jednego z czołowych ekspertów w zakresie mikologii, prawda?

— Tak. Kiedykolwiek i gdziekolwiek na świecie spotykają się ludzie, aby podyskutować o grzybach, nazwisko mojej żony nieodmiennie wymawiane jest tam tonem pełnym zachwyty. Ale co z tego?

— Pan także jest mikologiem, o ile dobrze rozumiem?

— Byłem — poprawił go Wilson. — Stwierdziłem, że popełniłem coś, co nazywa się powszechnie błędem w wyborze kariery. Rzuciłem wszystko i postanowiłem zostać pisarzem. A zresztą jeden geniusz w rodzinie najzupełniej wystarczy — nie mógł się powstrzymać od goryczy.

— Ale jest pan zorientowany w tym, co robi pańska żona? — pytał dalej Peterson. — Mam na myśli jej pracę naukową.

Wilson skinął krótko głową.

— Niestety tak. To nieuniknione. Nie potrafi już mówić o niczym innym.

— I co ona właściwie robi?

— Próbuje wyhodować nową odmianę grzyba. Wielkiego grzyba, który rósłby szybko i byłby dziesięciokrotnie bogatszy w proteiny niż pozostałe. Wierzy, że dzięki temu uratuje światowe zasoby żywności.

— Ale czy zna pan dokładnie metody, jakie stosowała, aby uzyskać te duże grzyby? — zapytał nagle O'Connell.

Wilson zamyślił się na chwilę.

— No cóż, nie znam szczegółów prowadzonych przez nią prac badawczych. Nie jestem już tym zainteresowany, więc nawet jej o to nie pytałem. Wiem jedynie, że eksperymentowała na chemicznej strukturze enzymów grzyba.

Oficerowie ponownie wymienili znaczące spojrzenia. Peterson zanotował coś w swych aktach.

— To wreszcie jakiś początek — mruknął.

— Słuchajcie, chcecie przez to powiedzieć, że udało jej się z tymi grzybami? — zapytał zaskoczony Wilson.

— Och, rzeczywiście jej się udało — odparł chłodno Peterson. — I być może to rzeczywiście rozwiąże problem żywności. Choć nie w ten sposób, w jaki planowała.

— Czy wyjaśni mi pan wreszcie, o czym pan właściwie mówi? — zapytał Wilson. Był na granicy hysterii.

O'Connell krótkim gestem wskazał na wiszącą na ścianie mapę Wielkiej Brytanii.

— Doktorze Wilson, większość obszarów południowej i środkowej Anglii zaatakowały grzyby. Rosną dosłownie na wszystkim, nie wyłączając ludzi. Miliony już zmarły... i ci mieli szczęście... — głos mu zadrżał i potrząsnął bezradnie głową.

Wilson spojrział na niego, a potem na Petersona. Wyraz ich oczu powiedział mu, że to nie jest żart. Spróbował zebrać myśli.

— Ale przecież... — zaczął i utknął. Nie wiedział, co właściwie powiedzieć. — To nie do wiary... — wymamrotał.

— Istotnie — zgodził się z nim Peterson. — Na początku wyglądało, jakby świat nagle zwariował. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co się właściwie dzieje. Grzyby zaczęły rozprzestrzeniać się masowo bez żadnej widocznej przyczyny. Wreszcie wojskowi naukowcy wysnuli pewną teorię. Coś niezwykłego powodowało reakcję u wielu odmian grzybów — w niesamowicie krótkim czasie gwałtowny wzrost i mutacje. Pan jest ekspertem, doktorze Wilson. Ile jest znanych gatunków grzybów?

— Nikt nie wie tego na pewno — odparł zdezorientowany Wilson. — Królestwo grzybów jest ogromne. Do tej pory znamy około stu tysięcy gatunków i odmian, lecz Bóg jeden wie, jak dużo jeszcze pozostało nie odkrytych. . .

— Każdy gatunek na obszarze zarażonym zachowuje się, jakby dostał szalu — powiedział Peterson. — A obszar infekcji rozszerza się niezwykle szybko. Przewiduje się, że obejmie obszar całej Anglii, Szkocji i Walii za dwa miesiące.

— Jezu. . . — szepnął Wilson. — Moje dzieciaki. . . Co z Londynem?

— Będę z panem szczerzy, doktorze Wilson. Sprawy układają się źle. Bardzo źle. Miasto jest zupełnie odcięte od świata. Straciliśmy już z nim łączność. Najwidoczniej jedna z odmian zasmakowała w elektronice. Telefony, radia i całe wyposażenie telekomunikacyjne Londynu po prostu zgniło, podobnie jak wiele innych rzeczy. Wątpliwe zresztą, aby ktokolwiek z tamtąd zdolny był jeszcze do racjonalnej rozmowy — ostatnia transmisja radiowa była czystym bełkotem. . .

Wilson powrócił myślami do dzieci. Wyrzucał sobie, że pomimo ich prośb nie pozwolił im zostać u siebie dłużej. Zamiast tego wysłał je do rodziców Jane w Highgate, żeby spokojnie dokończyć tę cholerną książkę! Chryste, czyżby wysłał je na śmierć? Nie! Nie może sobie pozwolić, aby nawet myśleć w taki sposób. Bo zwariuje. Zmusił się do skupienia uwagi słuchając Petersona.

— Bełkot? Co pan przez to rozumie? Jaka jest dokładnie sytuacja w Londynie?

— Grzyby atakują swe ofiary na różne sposoby — odpowiedział mu nieoczekiwanie O'Connell. — Niektóre odmiany po prostu zabijają ludzi. — Obrastają ich i rozdzierają ciała korzeniami. . .

— Strzępkami grzybni — poprawił automatycznie Wilson.

O'Connell spoglądał na niego przez chwilę, a potem kontynuował:

— Ofiary są dosłownie zjadane. Inni są zabijani inaczej. Grzyb rośnie wewnątrz ich ciał i w pewnym momencie eksploduje. . .

— Mieliśmy taki przypadek w naszej bazie — wtrącił krzywiąc się Peterson. — Potworny widok.

— Lecz jest jedna, a może więcej odmian grzyba, która nie zabija swych ofiar — ciągnął O'Connell. — Przynajmniej nie od razu. Grzyb ten zachowuje się w sposób podobny do pasożyta. Żywi się swymi ofiarami, lecz utrzymuje je równocześnie przy życiu.

— Sugeruje pan, że rozwinęły nowy związek symbiotyczny? — zapytał zaintrygowany Wilson, w którym zbudził się nagle dawny naukowiec. — W jakim stopniu?

— Grzyb w pewnym sensie zmienia swe ofiary. Głównie ich metabolizm. Do tego stopnia, że nie są już. . . ludźmi. Nie przeszkadza im, że to świństwo ich obrasta, że rośnie wewnątrz nich. . . — ponownie przerwał i pustym wzrokiem zapatrzył się w coś ponad głową Wilsona.



— Musi pan wybaczyć kapitanowi — powiedział z trudem Paterson. — On... no cóż, w taki właśnie sposób stracił żonę...

— Zastrzeliłem ją — powiedział głucho O'Connell. — Po prostu musiałem... — nagle zerwał się na równe nogi i wskazał oskarżycielsko na Wilsona. — I to pańska pieprzona żona spowodowała to wszystko! — wrzasnął. — Pańska pieprzona kobieta i jej pieprzone eksperymenty!

— Proszę się uspokoić, kapitanie — powiedział Peterson łapiąc go za ramię. — Spokojnie, niech pan usiądzie. Wiem, że to jest trudne, lecz równie trudne jest dla nas wszystkich.

Złość na twarzy O'Connell'ego zastąpiła rozpacz. Opadł na fotel jak lalka, którą pociągnięto nagle za sznurki.

— Skąd pan wie, że Jane miała z tym cokolwiek wspólnego? — zapytał zdesperowany Wilson. — Czy nie może to być rezultat jakiegoś naturalnego fenomenu?

— To pan jest naukowcem, doktorze Wilson — odparł Peterson. — Lecz czy przychodzi panu do głowy jakiś racjonalny powód, dla którego wszystkie odmiany grzybów zaczęłyby zachowywać się w taki właśnie sposób?

Wilson zmuszony był przyznać, że nie.

— Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego zdecydowanie łączycie to z pracami naukowymi mojej żony?

Laboratorium pańskiej żony zidentyfikował jako źródło infekcji, inspektor departamentu Społecznej Służby Zdrowia, doktora Bruce'a Cartera. Jego praca miała rzeczywiście heroiczny charakter. Kontynuował dochodzenie, gdy w Londynie panował już zupełny chaos. Nawet wtedy, gdy sam został zarażony grzybem. Nadał komunikat cztery dni temu, zanim zamarła wszelka łączność. Był absolutnie pewny, co do miejsca, które nam podał — Peterson wychylił się do przodu i spojrzał ostro na Wilsona. — Jakiś rodzaj wyhodowanego genetycznie organizmu przedostał się do środowiska naturalnego. I to „coś” wy dostało się z laboratorium pańskiej żony.

— Ale co się dokładnie stało? — zapytał zrozpaczony Wilson.

— Jeszcze nie wiemy — odparł Peterson. — Naukowcy analizują próbki grzybów od początku epidemii, lecz do tej pory nie udało im się wyizolować czynnika odpowiedzialnego za tę mutację. Powiedziano mi, że to jest szukanie przysłowiowej igły w stogu siana. Informacja o pracach pańskiej żony nad enzymami, z pewnością zawęży krąg poszukiwań. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że nie uda się wykryć przyczyny mutacji, zanim to wszystko rozprzestrzeni się na całą Anglię, a także poza nią...

— Jeżeli Jane rzeczywiście jest za to wszystko odpowiedzialna — powiedział po chwili namysłu Wilson — to możecie chyba wysłać kogoś do laboratorium, aby odnalazł jej notatki. One powinny wszystko wyjaśnić.

— Próbowaliśmy. Trzy dni temu. Grupa ochotników udała się śmigłowcem do Londynu. Ubrani w specjalne kombinezony, opuścili się na dach Instytutu Biologii Tropikalnej. Gdy zlokalizowali laboratorium pańskiej żony, okazało się, że ktoś usunął z niego troskliwie wszystkie notatki i zapiski. . .

— Ale kto mógłby. . . — zaczął Wilson.

— A któż inny, jak nie pańska żona? zapytał chłodno O'Connell. — Nikt inny nic o nich nie wiedział.

— To niepodobne do Jane — zaprotestował Wilson. — Gdyby rzeczywiście była za to odpowiedzialna, to natychmiast powiadomiłaby odpowiednie władze i przekazała im wszystkie materiały, jakimi dysponuje. Nie próbowałaby ukryć tego, co zrobiła.

— Kto wie, w jakim stanie był wtedy jej umysł — powiedział Peterson, wzruszając przy tym ramionami. Świadomość odpowiedzialności za tę katastrofę, mogła okazać się dla pańskiej żony zbyt wielkim stresem. Lub też — przepraszam, że o tym wspominam — mogła sama paść ofiarą jednego z tych symbiotycznych grzybów.

Wilson wzdrygnął się.

— A co z jej mieszkaniem? Ktoś je sprawdził?

— Tak. Ekipa poszukiwawcza poleciała tam prosto z Instytutu. Nie odnaleźli jednak żadnego śladu zarówno pańskiej żony, jak i jej papierów. To wszystko, co mogli zdziałać. Wkrótce potem zostali zaatakowani przez tłum. Załoga śmigłowca utraciła z nimi kontakt i musiała wracać do bazy sama.

— Chryste — mruknął Wilson i wierzchem dłoni otarł czoło z potu. Wydało mu się, że w pokoju zrobiło się nagle niezwykle gorąco i duszno. — Jaki tłum?

— Nie wiemy. Najprawdopodobniej ludzi, których infekcja doprowadziła do szaleństwa, ale nie jesteśmy pewni. . .

Wilson nie wiedział, co powiedzieć. Wydawało się niemożliwe by w ciągu tak krótkiego czasu cały Londyn zamienił się w piekło.

Peterson chrząknął.

— Dlatego właśnie potrzebowaliśmy pana — powiedział.

— Mnie? — odparł zaskoczony. — A po co?

— Chcemy, aby pojechał pan do Londynu, doktorze Wilson. Chcemy, aby odnalazł pan swoją żonę, o ile wciąż jeszcze żyje. A jeżeli nie, aby odnalazł pan jej notatki. . .

Wilson wpatrywał się w niego w przerażeniu.

— Pojechać do Londynu? Po tym wszystkim, co mi pan właśnie opowiedział? W jaki. . .

— Doktorze Wilson. Nikt nie zna pańskiej żony lepiej niż pan. Ma pan największą szansę, aby ją odnaleźć. Jest pan także mikologiem — a więc wie pan, czego szukać pośród jej notatek. Obawiam się, że w tej misji jest pan po prostu niezbędny. I wszyscy będziemy się modlić, aby wasza wyprawa zakończyła się

powodzeniem. Znajdujemy się pod silną presją innych krajów — Francji w szczególności — które żądają od nas użycia broni jądrowej. Żądają od nas, abyśmy rzucili bomby atomowe nie tylko na tereny bezpośrednio dotknięte infekcją, ale także na część Szkocji i Walii, aby zupełnie powstrzymać rozprzestrzenianie się grzybów.

— Nic mnie to nie obchodzi! — wrzasnął Wilson. — Nigdzie nie jadę!

— Nie zrozumiał nas pan, doktorze — powiedział powoli O'Connell. — W tej sprawie nie ma pan już niestety wyboru. Pani premier zdecydowała, że jedzie pan... spojrzał na zegarek — za osiem godzin.

## Rozdział piąty

Ilja Nieswałodow po raz kolejny spojrzął na swojego drugiego pilota, Terentieja, który pogrążony był w niespokojnej drzemce. Co chwila budził się, obrzucał niespokojnym spojrzeniem pulpit kontrolny TU 144 i uśmiechał się z zakłopotaniem w stronę Ilji. Po paru sekundach powieki opadały mu ponownie i kabinę wypełniało ciche, irytujące chrapanie.

Ilja pomyślał z rozdrażnieniem, że jego młodszy kolega musiał jak zwykle spędzić całą wczorajszą noc na zabawie. Mit romantycznych, nieustraszonych i pełnych wigoru pilotów samolotów naddźwiękowych zapadł głęboko w podświadomości Terentieja. Próbował udowodnić to w Moskwie każdej kobiecie poniżej trzydziestki, lecz ostatnio efekty tych maratonów erotycznych coraz częściej odbijały się na jego koncentracji. Ilja rozmawiał z nim już o tym. Ostrzegał przed zwichnięciem kariery i utratą wszystkich łączących się z nią przywilejów, lecz Terentiej nawet go nie słuchał. Niestety, na pokładzie mieli paru przedstawicieli rządu, udających się na konferencję do Islandii. Inaczej Ilja mógłby zaryzykować fałszywy stan zagrożenia, który zdrowo wstrząsnąłby Terentiejem. Lecz w tej chwili było to niemożliwe. Ilja wiedział, że po powrocie do Moskwy będzie musiał podać swego kolegę do raportu. Nie mógł ryzykować przez niego własną karierą. Musi myśleć o Alinie. Rzuciłaby go natychmiast, gdyby utracili swoje pięciopokojowe mieszkanie.

Gdy radziecka wersja Concorde przelatywała nad północnymi wybrzeżami Wielkiej Brytanii, dostała się w obszar nasycony mikroskopijnymi cząstkami organicznymi, porwanymi z ziemi przez wiatry i prądy wirowe. W powietrznej pułapce unosiły się bakterie, plemniki i oczywiście zarodniki grzyba oraz strzępki grzybni.

Niewiele z nich zawierało zmodyfikowane enzymy Jane Wilson. Ale tylko jeden wystarczył, aby doszło do katastrofy...

Prądy turbulencyjne, wywołane przez TU 144, spowodowały, że jedną z tych cząstek przypadkowo wessały kanały wentylacyjne zbiorników paliwowych.

Zbiornik, w którym znalazła się ta nieszczęsna cząsteczka, był częścią systemu transportującego paliwo dookoła samolotu, co w miarę ubywania spalanej benzyny pomagało utrzymać równy poziom lotu. Zbiorniki te, oprócz dostarcza-

nia paliwa do silników działały także jako chłodnica. Ogromne ilości cieczy używane były do rozpraszania ciepła, wywołanego tarciem o powierzchnię kadłuba.

W niepełnych zbiornikach temperatura była stosunkowo wysoka. W tych, które były jeszcze całkiem pełne, temperatura nigdy nie przekraczała 40 stopni Celsjusza. Grzyb, zwany *pergilius femigatus*, w tym miłym cieple na pożywece z benzyny lotniczej znalazł dla siebie idealne warunki. Zestaw filtrów na systemie paliwowym zapobiegał przedostawaniu się tego grzyba do miejsc, w których mógłby spowodować jakiegokolwiek zagrożenie.

System ten zawsze działał bez zarzutu. Ale teraz... Enzym Jane Wilson wszedł w kontakt z odmianą *aspergillus* i natychmiast rozpoczął proces przekształcania jego kodu genetycznego. Zmutowane komórki szybko się rozprzestrzeniały, zmieniając inne na zasadzie reakcji łańcuchowej. Niebawem wszystkie grzyby w zbiorniku zostały zmutowane.

Natychmiast rozpoczęły eksploatację potencjału żywnościowego benzyny. Przyswajały ją i rosły. Z pustego zbiornika, strzępki grzybni pomknęły dalej. Zgrubiałe nitki strzępek rozpoczęły wędrówkę wzdłuż przewodów łączących zbiorniki, aż odnalazły więcej pożywienia. Dość szybko grzyby zablokowały system obiegu paliwa. To z kolei spowodowało, że komputer pokładowy przełączył zasilanie na system pomocniczy, który po chwili także został zablokowany.

Dopiero wtedy Ilja zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Ekran symulacyjny lotu, umieszczony tuż przed nim na tablicy kontrolnej, wyświetlił nagle wskaźnik obiegu paliwa. Obwiedziony był czerwoną, pulsującą ramką, a w kabinie rozległ się nagle brzęczyk alarmowy.

Niespodziewany sygnał wstrząsnął kapitanem. Szybko spostrzegł, że dopływ paliwa ze zbiorników ustał zupełnie. A jednak wskaźnik pojemności wskazywał, że są one wciąż pełne. Oznaczało to jakąś blokadę. Ale jak to możliwe, by nagle wszystkie przewody...?

W tym samym momencie zapadła cisza — potężne silniki Tupolewa wyłączyły się. W jednej sekundzie dwuprzepływowe silniki turbinowe wytwarzające 44 tys. funtów ciągu, stały się jedynie zbędnym ciężarem.

Gdy Ilja zastanawiał się gorączkowo, co robić, Terentiej przebudził się nagle i zapytał:

— Co się stało?

Ignorując go Ilja sięgnął do przełącznika zbiorników pomocniczych. Powinny się włączyć automatycznie przez komputer. Skoro ten wciąż rejestrował zbiorniki jako pełne, to po prostu znaczyło blokadę.

Kapitan wcisnął przełącznik, lecz nic się nie zmieniło.

— Ilja, co się, do cholery, dzieje? — wykrzyknął zaniepokojony Terentiej, wpatrując się uważnie w ekran symulatora. — Dlaczego tracimy moc?

TU 144 gwałtownie tracił szybkość. Ilja — ściągając do siebie stery, aby utrzymać nos maszyny w górze — wiedział, że nie potrzeba wiele czasu, by łagodny ześlizg zmienił się w śmiertelny lot nurkowy. . .

Nagle silniki zagrzmiały ponownie. Dopłynęło do nich paliwo z tych zbiorników, które nie były połączone z systemem trzymującym.

Ilja odetchnął z ulgą.

— Blokada systemu paliwowego — powiedział, odwracając się w stronę Terentieja. — To raczej niemożliwe, by wystąpiła równocześnie we wszystkich przewodach. Wydaje mi się raczej, że to błąd komputera. Pamiętasz tego amerykańskiego 747, który nieomal rozbił się, ponieważ komputer pokładowy odciął po prostu dopływ paliwa?

Terentiej, z poszarzałą nagle twarzą, skinął powoli głową.

— Co teraz zrobimy?

— Nie możemy kierować się dłużej wskazaniem komputera głównego. Nie mamy wystarczającej ilości paliwa w zbiornikach pomocniczych, by dolecieć do Reykjavíku — spojrzął na mapę. — Moglibyśmy spróbować wylądować w Szkocji, ale obawiam się, że z powodu tej kwarantanny jest to teraz niemożliwe.

— A jeżeli to prawdziwa blokada? — zapytał Terentiej z niepokojem.

— A więc módl się, żeby nie była.

Drzwi do kabiny pilotów otworzyły się i wszedł Jarosław. Jarosław był inżynierem pokładowym i wolny czas spędzał w kabinie pierwszej klasy, rozmawiając z pasażerami.

— Co wy tutaj wyrabiacie, do cholery! — warknął ze złością. — Czy wiecie, jak wystraszyliście pasażerów? — Nie musiał dodawać, że sam także się bał. Jego twarz mówiła sama za siebie.

Ilja wyjaśnił mu, co się stało. Potem odciął komputer główny i przekazał kontrolę nad samolotem jednemu z trzech komputerów zapasowych. Miał nadzieję, że na tym problemy z paliwem się skończą.

Jednak w tym samym czasie grzyb *aspergillus* wyczerpał zapasy w zbiornikach trzymających i wysuwał strzępki coraz dalej w poszukiwaniu większej ilości pożywienia. Zmutowane grzyby wciskały się w mikroskopijne szczeliny aluminiowej obudowy kolejnych zbiorników, pożerając gumową wykładzinę uszczelniającą.

Pierwszy poddał się tylny zbiornik paliwa, usytuowany tuż pod ogonem. Pękł, i grzyb rozprzestrzenił się dalej, penetrując system hydrauliczny i powietrzny. Bogata dostawa tlenu w tym ostatnim spowodowała jeszcze szybszy rozrost. Wkrótce, poprzez kilka kanałów powietrznych strzępki dotarły do kabiny pasażerskiej, gdzie znalazły bogate źródło węglowodanów i wody. . .

Jedna ze stewardes, Nina Tswugin, próbowała uspokoić pasażerów w swej części kabiny. Na szczęście panika, która wybuchła po umilknięciu silników, wy-

dawała się zamierać. Nagle usłyszała głośne okrzyki, dobiegające gdzieś z tyłu kabiny.

Pośpieszyła przejściem między fotelami i nagle stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Z okratowanych otworów wentylacyjnych wylewało się do kabiny coś, co przypominało gęsty barszcz. Paru pasażerów już pokryły grube, żółkowate pasma. Szamotali się gwałtownie, ale nie byli w stanie ich z siebie zerwać. Na jej oczach jeden z mężczyzn, którego głowę całkowicie pokryła gęsta substancja, przestał walczyć i osunął się bezwładnie. Jego marynarka zaczęła zapadać się do wewnątrz, zupełnie jakby w jakiś tajemniczy sposób uchodziło z niego powietrze.

Nie czekała, aby zobaczyć więcej. Odwróciła się i uciekła.

\* \* \*

Ilja klął jak szewc. Próbował już z dwoma komputerami zapasowymi, ale wciąż nie mógł odblokować systemu przepływu paliwa. Pozostał mu jeszcze jeden, ostatni już, komputer.

— Utrzymuj dziób w górze, do cholery! — warknął pod adresem Terentieja, który przejął stery.

— To nie moja wina! — zawołał płacząco młodszy pilot. — Tracimy moc. Spójrz!

Ilja odwrócił na chwilę głowę i dostrzegł, że wskaźnik przepływu paliwa na ekranie ponownie błyska ognistą czerwień. A więc system pomocniczy także został zablokowany. Ale dlaczego? Jeżeli nie była to wina komputera, to co się właściwie działo?

Nagle drzwi do kabiny otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Nina.

— Coś przedostaje się do kabiny pasażerskiej! — wykrzyknęła załamującym się histerycznie głosem. — Spada na pasażerów... i porusza się, jakby było żywe!

— Zwariowała, Nina? — wykrzyknął wściekle Ilja. Lecz nagle sam usłyszał dochodzące z kabiny głównej okrzyki przerażenia. Tam rzeczywiście działo się coś złego.

— Jarosław! Terentiej! Idźcie i zobaczcie, co się tam dzieje! — polecił, nie odrywając oczu od pulpitu kontrolnego.

Obaj mężczyźni wybiegli z kabiny pilotów tuż za rozhisteryzowaną Niną. Ilja próbował wszystkich wariantów awaryjnych, jakie mu tylko przyszły do głowy, lecz bez widocznych rezultatów. Po chwili silniki zamilkły ponownie.

— Cholera — mruknął do siebie, trzęsąc się ze złości. Nie może przecież umrzeć w ten sposób, nie wiedząc nawet, dlaczego umiera. Gdyby zrobił jakiś głupi błąd w pilotażu lub gdyby oderwało się skrzydło, wtedy tak, byłoby to przynajmniej zrozumiałe. Ale to...

W zapadłej nagle ciszy, po umilknięciu silników uświadomił sobie, że nie słyszy już dobiegających z kabiny pasażerskiej okrzyków.

Cicho skrzypnęły drzwi.

— Jarosław? Terentiej? — zapytał, nie oglądając się za siebie.

Nie było żadnej odpowiedzi. Kabinę wypełnił nagle dziwny odór. Ilja poczuł na karku lekkie, ciepłe dotknięcie, zupełnie jak pocałunek kobiety.

Zaczął się odwracać, lecz zmutowany aspergillus pochłonał go, nim ten zorientował się, co się właściwie dzieje.

Ostatnia myśl dotyczyła pięciopokojowego mieszkania. Zastanawiał się, kto je otrzyma.

\* \* \*

Przez chwilę pozbawiony życia Tupolew TU 144 szybował siłą rozpędu. W końcu jego nos pochylił się i samolot rozpoczął powolne nurkowanie, które zakończył na dnie Morza Norweskiego, 50 tysięcy stóp niżej.



## Rozdział szósty

Sloccock, siadając na swym miejscu w sali projekcyjnej, spostrzegł że Peterson obrzuca go szczególnie zjadliwym spojrzeniem. Pieprzyć go, pomyślał. Za bardzo jestem im potrzebny. A jeżeli chce, niech próbuje znaleźć innego ochotnika na tę zwariowaną wycieczkę.

W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwu mężczyzn. Pierwszym był kapitan O'Connell, który wyglądał, jakby za chwilę miał rozpaść się na części. Drugiego mężczyzny Sloccock nie znał. Zakładał, że to musi być ten pisarz, Wilson, który ma być pierwszej wielkości gwiazdą w wyprawie. Sloccock nie był nim zachwycony. Wilson miedlił w ustach papierosa, jakby pomylił go z sutkiem, i sprawiał wrażenie równie zagubionego, jak O'Connell. Sloccock pokiwiał z niesmakiem głową. Z faceta będzie tyle pożytku, co z zakonnicą w burdelu.

Po chwili jego całą uwagę pochłonął ekran, z którego dobiegał właśnie znajomy temat muzyczny, zapowiadający wieczorny serwis informacyjny telewizji BBC.

— Program ten zarejestrowany został cztery dni po wykryciu epidemii — powiedział siedzący z tyłu Peterson.

Sloccock spojrział na ekran z nowym zainteresowaniem. Przez parę ostatnich tygodni nie oglądał żadnych wiadomości, nigdy nie oglądał dużo telewizji, a gdy wreszcie chciał dowiedzieć się, co się naprawdę stało, wszystkie transmisje z kraju urwano.

Na ekranie ukazał się spiker.

— Dzisiejszego dnia zgłoszono tysiące dalszych ofiar infekcji grzybem, która szerzy się w stolicy od zeszłego wtorku — mówił pośpiesznie. — Jest to kryzys, który określono jako potencjalnie najstraszliwszą groźbę dla całej ludzkości, od czasu Czarnej Śmierci w średniowieczu...

Chociaż przyczyny wybuchu epidemii nie są jeszcze znane, laboratoria prywatne i rządowe w całym kraju próbują znaleźć sposób, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się tej śmiertelnej plagi. Rzecznik rządu oświadczył, że spodziewany jest znaczny przełom w badaniach w każdej chwili. Rząd zaleca, aby każdy mieszkaniec Londynu pozostał we własnym mieszkaniu, unikał kontaktów z in-

nymi ludźmi i oczekiwał dalszych instrukcji. Całe miasto objęte zostało ścisłą kwarantanną i nie wolno go opuszczać aż do odwołania.

Jak widzimy jednak na dostarczonym nam właśnie materiale, w ostatnich dniach wielu ludzi próbuje rozpaczliwie opuścić Londyn, stając do konfrontacji z uzbrojonymi oddziałami policji i wojska. . .

Na ekranie pojawił się widok z góry na jedną z głównych ulic Londynu, zatłoczoną ludźmi i pojazdami. Inny głos kontynuował:

— Mówi John Lurton z BBC News. . . W chwili obecnej znajduję się w śmigłowcu nad North Circular w miejscu, w którym krzyżuje się ona z Green Lanes. Wszystkie drogi okrężne wokół Londynu stanowią linie graniczne strefy kwarantanny, którą objęte jest całe miasto. Oddziały policji i wojska skutecznie odcięły miasto, lecz ludzie wciąż próbują wydostać się na zewnątrz. Poniżej mogą państwo zobaczyć strumień samochodów i pieszych, kierujących się na północ Green Lanes, w stronę barykady na skrzyżowaniu. . .

Kamera zrobiła najazd na tłum. Mężczyźni, kobiety i dzieci tworzyli zwarty strumień, który parł niepowstrzymanie naprzód. Slocock był zdumiony, jak wielu spośród nich nosi widoczne oznaki infekcji. Na twarzach i rękach dostrzegał kolorowe plamy, lecz zorientował się równocześnie, że operator nie koncentruje uwagi na poszczególnych osobach, pokazując jedynie cały tłum. Być może spowodowane to było osobistą niechęcią lub też oficjalnymi zaleceniami. Najprawdopodobniej tym ostatnim.

Po chwili obraz pokazał rząd wojskowych pojazdów i uzbrojonych oddziałów, które blokowały każdą lukę. Z tej odległości nie można było jednak dostrzec, czy była to policja, czy wojsko. Slocock zauważył, że wszyscy nosili maski przeciwgazowe i gumowe rękawice. Dużo wam to pomoże, pomyślał z goryczą.

Pomiędzy blokadą a kolumną uciekinierów było już jedynie 20 jardów wolnej przestrzeni. Tych, którzy przekroczyli tę linię, powitały strugi wody z armatek i granaty dymne. Żołnierze otworzyli ogień. Strzelali do tłumu gumowymi pociskami. Slocock przysięgłby, że w oddali słyszy sporadyczne trzaski broni automatycznej. To, oraz fakt, iż przed frontem blokady leżało parę nieruchomych ciał wskazywało, że żołnierze oprócz gumowej, używają także amunicji ostrej.

Stojąc twarzą w twarz z przeszkodą nie do przebycia, napierani z tyłu ludzie z czoła kolumny rozpierzchli się i pobiegli w stronę ulic równoległych do North Circular. Prawdopodobnie spróbują przedrzeć się przy innych skrzyżowaniach, ale bez wątplenia wszędzie napotkają na podobnie silny opór.

Nagle Slocock spostrzegł, jak z tyłu kolumny wyłania się samochód osobowy i na pełnym gazie pędzi w stronę barykady. Najwidoczniej kierowca wpadł na szaleńczy pomysł, by pokonać przeszkodę siłą rozpędu. Lecz nie przebył nawet połowy drogi, gdy wielkokalibrowy karabin maszynowy otworzył nagle ogień. Samochód skręcił gwałtownie i nie zmniejszając prędkości uderzył w ścianę jed-

nego z budynków. Było słycać przeraźliwy zgrzyt dartych blach i samochód wraz z kierowcą pochłoneła ogromna kula ognia.

Chryste, skrzywił się Slocock. A więc do takich rzeczy dochodziło po zaledwie czterech dniach. . .

Nagle kamera ukazała niebo. Głos komentatora aż drżał z podniecenia:

— Coś się dzieje nad nami. . . Tak, już to mamy!

Na górze ekranu ukazał się jakiś obiekt, który kręcąc się dookoła własnej osi spadał w dół, ciągnąc za sobą czarną smugę dymu. Kamera zrobiła najazd i okazało się, że to śmigłowiec. Płonął jaskrawym płomieniem i rozpadał się na części. Doskonale było widać wypadające z niego ciała. . .

— Tak, to śmigłowiec! — wykrzyknął reporter BBC. Wydaje się, że został zaatakowany przez myśliwiec wojskowy — kamera ponownie odjechała w bok, ukazując przez chwilę mknący po niebie z dużą prędkością punkcik. — Wygląda to na Phantom. . . Krążyły ostatnio pogłoski, że różne bogate osobistości oferowały pilotom śmigłowców zawrotne sumy pieniędzy, jeżeli tylko zgodzą się wydość ich z obszaru objętego kwarantanną. . . — kamera powróciła do opadającego śmigłowca i towarzyszyła mu aż do momentu zderzenia z ziemią. Na miejscu katastrofy wyrósł czarny grzyb dymu.

— To rzuca nowe światło na rządowy zakaz lotów komercyjnych i prywatnych w obrębie obszaru zamkniętego — ciągnął reporter. — Widzieli państwo wyraźnie, że zakaz ten jest egzekwowany z całą surowością.

Na ekranie ponownie pojawił się spiker telewizyjny.

— Otrzymaliśmy właśnie informację ze źródeł w Północnej Irlandii o tajnym planie, który zakłada przetransportowanie rządu brytyjskiego do Stormont na okres trwania kryzysu. Oficjalne czynniki ani nie potwierdziły, ani nie zaprzeczyły tej informacji. . .

Nie otrzymaliśmy także żadnych wiadomości o stanie zdrowia pani Premier oraz członków jej gabinetu. Dotarły do nas pogłoski, że co najmniej trzech ministrów padło już ofiarą infekcji. Nie zostało to jednak oficjalnie potwierdzone. Jednak ze źródeł zbliżonych do kół rządowych wiadomo, że pani Thatcher oraz paru członków gabinetu ostatnie dwa dni spędzili w przeciwartomowym bunkrze pod Whitehall.

Lecz nasz doradca naukowy. Tom Southern, twierdzi, że nawet takie środki nie zapewniają wystarczającej ochrony. . .

Obraz ukazał kolejnego mężczyznę, a napis na dole ekranu głosił, iż jest to Southern. Był to młody, poważnie wyglądający naukowiec, noszący grube okulary. Właśnie mówił:

— Główny problem polega na tym, że grzyby są najbardziej rozpowszechnioną i zróżnicowaną formą życia, być może za wyjątkiem bakterii. Jedna garść gleby zawierać może od 10 do 20 milionów pojedynczych grzybów, które albo

rosną, albo pozostają w stanie okresowego uśpienia. A metr sześcienny powietrza zawierać może 180 000 zarodników.

Innymi słowy, środowisko, w jakim żyjemy, nasycone jest grzybami najprzeróżniejszych odmian i rodzajów, których większości w naszym codziennym życiu nawet nie dostrzegliśmy... aż do dzisiaj. Czynnikiem odpowiedzialny za wszystkie te kłopoty, jest w stanie zmieniać program genetyczny każdego grzyba, z którym wchodzi w kontakt. Jest to podobne do działania komórek rakowych w obrębie całej rodziny grzybów. Zmiany to komórki, które rozprzestrzeniają się od jednego gatunku do drugiego z zatrważającą prędkością.

To z kolei oznacza, że wszelkie środki podjęte do tej pory przez nasz rząd w celu opanowania epidemii są niewystarczające i bezcelowe. Wystarczy przecież tylko jeden zarodnik lub mikroskopijna cząsteczka grzybni, by przekazać ten tajemniczy czynnik kolejnemu gatunkowi grzyba. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nawet w sterylnych warunkach bunkra w Whitehall znajdują się tysiące zarodników grzybów. Czynnikiem powodujący mutację z pewnością przedostał się już do środka, wniesiony przez nieświadomych niczego ludzi, którzy tam się schronili. Mógł być przecież w ich płucach, w ich żołądkach czy jelitach...

A więc, jeżeli nie znajdziemy szybko sposobu na wyizolowanie czynnika odpowiedzialnego za całą katastrofę, to wkrótce ofiarami staniemy się wszyscy, włączając w to naszych przywódców w ich bunkrach.

Podniósł w górę prawą dłoń, którą przez cały czas trwania wywiadu trzymał ukrytą poza zasięgiem kamery. Początkowo Slocock myślał, że nosi czerwoną, wełnianą rękawiczkę. Dopiero po chwili zorientował się, co to naprawdę jest.

Ekran zgasł. Przez kilka chwil panowała cisza, przerywana w końcu dobiegającą gdzieś z tylnego planu cichą muzyką. Nagle na ekranie pojawiły się słowa: **PRZEPRASZAMY ZA CHWILOWĄ PRZERWĘ W PROGRAMIE. TRANSMISJA WZNOWIONA ZOSTANIE PO USUNIĘCIU USTERKI.**

Peterson wstał i wyłączył magnetowid.

— To był ostatni program BBC — powiedział. — Rząd oskarżył ich o powodowanie paniki i zakazał dalszych transmisji. Dlatego też program, który za chwilę zobaczycie został nagrany, ale nigdy nie emitowany... — włożył do magnetowidu kolejną kasetę.

Ekran ożył ponownie ukazując napis: **WIADOMOŚCI KRYZYSOWE.** Następne ujęcie przedstawiało mężczyznę o niezwykle zmęczonej, napiętej twarzy.

— Dzień dobry — powiedział szybko. — Jest tu z nami doktor Bruce Carter z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Był jednym z pierwszych ludzi, którzy zidentyfikowali zagrożenie, i wie więcej o naturze tej epidemii, niż ktokolwiek inny. Lecz muszę w tym miejscu ostrzec widzów, że doktor Carter sam stał się ofiarą infekcji grzybem.

Kamera odjechała do tyłu. Komentator rzeczywiście nie był w studiu sam. Tuż obok niego siedział...

Sloccock poczuł, jak rozchodzące się po ciele miłe ciepło whisky zamienia się nagle w lód. Co gorsza, zupełnie wytrzeźwiał.

Całą głowę doktora Bruce Cartera pokrywała brązowa substancja o fakturze kory drzewa, która sięgała do szyi, niknąc pod luźnym kołnierzykiem koszuli. Ramiona za dużej marynarki rozepchane były olbrzymimi, niekształtnymi wybrzuszeniami. Najwidoczniej grzyb porastał całe jego ciało. Pomiędzy podobnymi do brodawek naroślami, które pokrywały całą twarz, widoczne było jedynie lewe oko. W miejscu, w którym powinny znajdować się usta, otworzyła się nagle niewielka szczelina i doktor Carter zaczął mówić. Przychodziło mu to z wyraźnym trudem:

— Ja także chciałbym przeprosić państwa za mój obecny wygląd — mówił powoli. — Lecz muszę jednocześnie powiedzieć, że nie jest to takie okropne, na jakie wygląda. . . — wydał z siebie serię dziwnych dźwięków, które najprawdopodobniej były odpowiednikiem śmiechu.

— Cholera, wygląda gorzej niż pieprzony Człowiek-Pająk — mruknął Sloccock.

— Cicho! — zgromił go Peterson. — Proszę o uwagę sierżancie.

— Doktorze Carter — mówił właśnie komentator. — Rozumiem, iż twierdzi pan, że katastrofa ta nie wynikła z przyczyn naturalnych, lecz spowodował ją człowiek.

Carter lekko skinał swą groteskową głową.

— Tak, to prawda — zasyczał. — Gdyby tylko jeden gatunek grzyba przeszedł tak radykalną zmianę w swym metabolizmie i wzroście, wtedy rzeczywiście moglibyśmy złożyć to na karb mutacji naturalnej. Lecz gdy wszystkie gatunki grzybów przechodzą podobną metamorfozę. . . — przerwał i przez kilka chwil wciągał donośnie powietrze. Potem kontynuował:

— Musimy przyjąć że to, co się zdarzyło, jest rezultatem nieudanego eksperymentu genetycznego.

— Lecz kto jest za to odpowiedzialny? Dlaczego ta osoba lub osoby nie ujawnią się i nie opowiedzą, co właściwie robiły?

— Być może osoby te były pierwszymi ofiarami, odparł Carter — a może ukrywają się z obawy przed samosądem. Jeżeli jest tak rzeczywiście, proszę, aby natychmiast skontaktowały się z tym numerem telefonu. . . — twarz Cartera zastąpiona została planszą z numerem. — Zostałem upoważniony do zapewnienia im całkowitej anonimowości i bezpieczeństwa. Jest niezwykle ważne, ahyśmy jak najszybciej poznali skład chemiczny czynnika powodującego zmiany w metabolizmie grzybów. Bez tego nie będziemy w stanie opracować odpowiednich środków obrony.

— Dlaczego właściwie niemożliwe jest odnalezienie laboratorium odpowiedzialnego za całą tę katastrofę? — zapytał komentator. — Z pewnością nie ma

zbyt wielu naukowców, których polem działalności są tak specyficzne prace badawcze?

— To prawda — przyznał Carter. — W normalnych okolicznościach już dawno zlokalizowalibyśmy źródło infekcji, ale jak pan doskonale wie, warunki są dalekie od normalności. W całym Londynie szerzy się panika i chaos, co uniemożliwia dotarcie zarówno do kompetentnych ludzi, jak i do jakichkolwiek dokumentów. Lecz nawet w tej chwili nasze dochodzenie posuwa się naprzód i mamy nadzieję, że odpowiedzi na nurtujące nas wszystkich pytania otrzymamy już wkrótce.

— Czy znane są panu pogłoski, że inwazja grzyba może być zjawiskiem celowym?

— Ma pan na myśli wojnę bakteriologiczną? — ponowna seria dźwięków, zapewne odpowiednik śmiechu. — Atak Rosjan i tym podobne rzeczy? Nie wydaje mi się. To jest broń, która niezwykle łatwo może obrócić się przeciwko tym, którzy jej użyli. Ona nie rozpoznaje granic. Stanowi groźbę dla całego świata i naprawdę wątpię, aby Rosjanie byli na tyle lekkomyślni, żeby rozpętać taką wojnę świadomie. Czy Libańczycy, których także o to posądzono...

— Jak szybko to się rozprzestrzenia?

— Bardzo szybko. A działałoby się to jeszcze szybciej, gdyby nie fakt, że ten wirus czy cokolwiek to jest, oddziałuje na cykl reprodukcyjny grzyba. Normalny grzyb rośnie, dopóki nie osiągnie stadium, w którym uwalnia zarodniki. Lecz wiemy już, że zmutowane grzyby po prostu rosną, nie rozmnażając się. Jest jednak możliwe, że proces ten ulega jedynie opóźnieniu. Grzyby te mogą zacząć produkować zarodniki jutro, za tydzień lub za rok. A gdy się to wydarzy, powstrzymanie tej plagi przed rozprzestrzenieniem się na cały świat będzie po prostu niemożliwe. Owocujący grzyb, na przykład zwykły muchomor, w ciągu zaledwie paru dni może wyprodukować niezliczone miliony zarodników.

Komentator chrząknął i pytał dalej:

— Czy mógłby pan powiedzieć naszym telewidzom, jako ofiara infekcji, o naturze samego grzyba, który porasta człowieka, i o środkach ochrony, jakie należy podjąć, aby zabezpieczyć się przed zarażeniem?

— Wydaje mi się, że do tej pory nie ma jeszcze efektywnego sposobu ochrony przed infekcją. Częste mycie całego ciała środkami antyseptycznymi być może zabezpieczy was przed grzybami porastającymi z zewnątrz, ale nie przed tymi, które rozwijają się wewnątrz organizmu. Środki medyczne, jak na przykład nastatyna, zwalniają okresowo tempo infekcji. Obawiam się, że to już niestety wszystko. Nie ma dostatecznego środka ochronnego.

— Czy to prawda, że niektórzy ludzie są odporni na tę infekcję? — Było jasne, że komentator za wszelką cenę stara się wykrzesać z Cartera odrobinę optymizmu. Jednak na próżno.

— Jeszcze zbyt wcześnie, aby cokolwiek o tym powiedzieć. Istotnie, niewielki procent ludzi rzeczywiście posiadać może naturalną odporność, lecz jest bardziej prawdopodobne, że to po prostu zwykłe szczęście. Potrzebujemy więcej czasu, aby się upewnić.

— Czy jest jakiś sposób na pozbycie się tego grzyba, gdy zacznie on już na nas rosnać? Na przykład wypalić go?

— Obawiam się, że gdy dostrzeżecie państwo u siebie pierwsze objawy infekcji, będzie już za późno. Wypalenie czy zerwanie części grzybni nie będzie miało żadnego wpływu na jego dalszą ekspansję. Na przykład to, co widzicie państwo na mnie, to tylko sam owocnik, na szczęście bez zarodników. Jednak większość grzybni — cały grzyb, po prostu — jest dokładnie wewnątrz mnie. Tysiące podobnych do nici strzępek biegnie przez całe moje ciało, stając się mym symbiontem. Jest dosłownie moją częścią. Jeżeli zerwałbym teraz te zewnętrzne części, to sądzę, że po prostu umarłbym.

— A więc twierdzi pan, że nie ma już żadnej nadziei dla ludzi, którzy stali się ofiarami infekcji?

Nie ma możliwości zniszczenia grzyba bez zabicia organizmu gospodarza. Lecz sama infekcja niekoniecznie oznacza śmierć. Uważam siebie za jedną ze szczęśliwszych ofiar. Mój grzyb, chociaż pasożytuje na mnie, okazał się odmianną dość łagodną — a przynajmniej jest tak do tej pory. Niektóre grzyby zabijają swych gospodarzy bardzo szybko, inne doprowadzają ich do obłędu, a mój — choć bez wątpienia kłopotliwy i niewygodny — utrzymuje mnie jednak przy życiu. Po prostu musiałem się do niego przyzwyczaić.

Jednak komentator nie sprawiał wrażenia osoby, której spokojny fatalizm Cartera, pomógł rozproszyć nękające obawy.

— A więc utrzymuje pan, że rodzaj ludzki jest zupełnie bezsilny w obliczu tej epidemii?

— Naszą jedyną szansą jest jak najszybsze odkrycie dokładnej natury chemicznej czynnika, odpowiedzialnego za mutacje. Gdy będziemy już ją znali, istnieje duża szansa, że naukowcom uda się wytworzyć środek neutralizujący — być może w formie bakterii, które będą mogły zostać rozpylone w atmosferze.

Lecz jeżeli nie odkryjemy tego czynnika dostatecznie szybko, cała ludzkość skazana jest na zagładę.

Nagranie skończyło się. Niezręczną ciszę przerwał dopiero Slocock:

— Do diabła z tym wszystkim. Zapomnijmy o całej tej hecy i chodźmy się wysikać.

## Rozdział siódmy

— Niech pan skończy wreszcie z tą niesubordynacją, sierzancie! — rzucił gniewnie Peterson. — To ściśle wojskowa operacja, a pan wciąż jeszcze znajduje się w wojsku. Proszę zachowywać się właściwie!

Sloccock mimowolnie wyprostował się na swym krześle.

— Tak, sir. Przepraszam, sir — mruknął ze złością. Peterson obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem i zwrócił się w stronę Wilsona:

— Doktorze Wilson, niech mi będzie wolno przedstawić panu towarzyszy podróży. Doktor Kimberley Fairchild i sierżant Terence Sloccock.

Wilson skinął z roztargnieniem głową, Sloccock był przekonany, że Barry jeszcze niezupełnie wrócił do siebie po obejrzeniu tych filmów. Nic zresztą dziwnego. Sam także nie czuł się zbyt pewnie.

Wilson zapalił kolejnego papierosa i spojrzał na Petersona.

— To beznadziejne. Misja samobójcza. Wszyscy staniemy się ofiarami grzyba na długo, zanim natrafimy na jakikolwiek ślad Jane.

— Na szczęście jesteście przewidujący, doktorze — odparł Peterson. — Podjęliśmy wszystkie niezbędne kroki w celu zapewnienia wam maksimum ochrony przed infekcją. Przygotowany został specjalny, odpowiednio wyposażony i wyekwipowany pojazd, aby zapewnić wam sterylne, pozbawione jakichkolwiek grzybów środowisko. Na zewnątrz będziecie wychodzić ubrani w ochronne kombinezony wyposażone w aparaty tlenowe.

— Proszę mi wybaczyć, ale wciąż nie jestem przekonany do waszego pomysłu. Na podstawie tego, co widziałem i słyszałem przed chwilą, dochodzę do wniosku, że uniknięcie infekcji jest po prostu niemożliwe.

Peterson chrząknął i wskazał na Kimberley.

— To już specjalność doktor Fairchild. Czy zechce pani wyjaśnić...

— Od czasu tego wystąpienia Cartera dokonano paru znaczących odkryć. Jedno z nich dotyczy niewielkiego procentu ludzi, którzy rzeczywiście w naturalny sposób wydają się być odporni na tę infekcję.

— Jaki to procent? — zapytał sceptycznie Wilson.

— Mniejszy, niż jeden — przyznała szczerze Kimberley. — Ale i tak to jest optymistyczne.



— Pewnie. Oznacza, że na stu ludzi mniej niż jedna osoba ma szansę na przeżycie. — Wilson pokiwał ze znużeniem głową.

— To ZNACZY odparła Kimberley — że układ obronny organizmu ludzkiego jest mimo wszystko w stanie przezwyciężyć te grzyby. Przyznaję, że w niezwykle rzadkich przypadkach, niemniej jednak rokują one nadzieję na przyszłość. Możliwe również, że zastrzyki pranobexu okażą się całkiem skutecznym środkiem ochronnym.

— Pranobex? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— To nowa szczepionka. Jej działanie polega na natychmiastowym pobudzeniu ludzkiego systemu immunologicznego i na produkowaniu wzrastającej liczby komórek limfatycznych. Jest niezwykle efektywna w przypadku pewnych form raka.

— Ale czy w tym wypadku jest ona rzeczywiście skuteczna?

— Jest właśnie testowana. Jak do tej pory nie otrzymałam jeszcze żadnych wyników.

— Wspaniale — mruknął Wilson. Przypalił papierosa od żarzącego się kiuszka poprzedniego.

— Ale to jeszcze nie wszystko — kontynuowała Kimberley. — Jest jeszcze jeden środek, którego będziemy używać. Mecagryna.

— O tym także nie słyszałem.

— To zrozumiałe. Została wynaleziona stosunkowo niedawno przez paru moich kolegów z uniwersytetu w Bangor. To chemicznie rozbudowana wersja mepacryny.

— O tym słyszałem.

— A ja nie — warknął Slocock. Czuł się odstawiany powoli na boczny tor. Oczami wyobraźni widział już siebie prowadzącego samochód, podczas gdy za jego plecami dwójka naukowców aż do Londynu toczy dyskusję, z której on nie rozumie ani słowa.

— Mepacryna jest środkiem antymalarycznym — wyjaśniła Kimberley. — Zabija organizmy pasożytnicze, które występują we krwi ofiar malarii. Dodaje własne molekuly do ich DNA i uniemożliwia replikację genów.

Slocock skinął głową zastanawiając się w duchu, o czym ona do diabła mówi.

— Megacryna została genetycznie przystosowana, aby jej molekuly robiły to samo ze zmutowanymi komórkami grzyba, który przedostał się do ciała gospodarza — mówiła dalej Kimberley.

— Brzmi, to jak epokowy przełom w badaniach — wtrącił Wilson. — Ale czy działa?

Odpowiedź Kimberley była dość ostrożna.

— No cóż, wyniki testów przeprowadzanych na zwierzętach doświadczalnych w Bangor były dość obiecujące. Testy u ludzi, którzy się ochotniczo zgłosili, zakończyły się częściowym sukcesem.

— A więc dlaczego nie rozlewa się tego do litrowych butelek i dostarcza każdemu w Anglii? — zapytał Slocock.

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, środek ten wcale nie jest tak łatwo uzyskać. Po drugie, jest niezwykle toksyczny. Musi być podawany bardzo ostrożnie. I to jest właśnie główny powód, dla którego mój udział w tej ekspedycji jest niezbędny. Tylko ja potrafię podać wam odpowiednią dawkę. Środek ten musi być wstrzykiwany domięśniowo co 90 minut.

Wilson obrzucił dziewczynę podejrzliwym spojrzeniem.

— Powiedziała pani, że test przeprowadzany na ludziach, zakończył się częściowym sukcesem. Co to miało właściwie znaczyć?

Kimberley spojrzała na majora Petersona i po chwili wahania odparła:

— Z czterech ludzi poddanych temu testowi, dwu zmarło na skutek działań ubocznych.

— Cholera! — mruknął Slocock.

— Jakie dokładnie były te efekty? — zapytał Wilson.

Lecz zanim Kimberley zdołała odpowiedzieć, wtrącił się major Peterson:

— Sądzę, że możemy wrócić do tego później. Kontynuujmy odprawę. Nie mamy dużo czasu. Okręt, który zabierze was do kraju, wypływa za niecałą godzinę.

— Okręt? — w głosie Wilsona brzmiało wyraźne zaskoczenie. — Dlaczego nie polecimy samolotem?

— Ponieważ samolot i załoga musiałyby już pozostać w kraju. Cały obszar powietrzny dookoła Wielkiej Brytanii uznany został za strefę zamkniętą. Każdy samolot, który próbuje opuścić przestrzeń powietrzną Anglii, jest zestrzeliwany przez niemieckie lub francuskie myśliwce. Z pewnością udałoby się znaleźć ochotników, którzy przetransportowaliby was na miejsce, lecz byłoby to zbyt niebezpieczne. Przestrzeń powietrzna pomiędzy nami a krajem pełna jest młodych chłopców na ponaddzwiękowych myśliwcach, którzy najpierw odpalają rakiety, a dopiero potem zastanawiają się, w którym właściwie kierunku leciał zestrzelony samolot.

— Rozumiem — powiedział powoli Wilson. — A co robią w tej chwili Amerykanie?

— W tej chwili nic. Stosują taktykę wyczekiwania. Ale nie popierają żądań Francuzów, którzy domagają się prowadzenia kwarantanny bardziej drastycznymi środkami. Prawdopodobnie dlatego, że na terytorium Wielkiej Brytanii wciąż pozostaje sporo obywateli amerykańskich. Na przykład wstrzymano ewakuację, drogą powietrzną, personelu baz amerykańskich z obszarów, które nie zostały jeszcze dotknięte bezpośrednio klęską epidemii. Lecz jeżeli szybko nie powstrzymamy rozprzestrzeniania się tych cholernych grzybów, Amerykanie dołączą w końcu do Francuzów, którzy coraz głośniejsze domagają się zrzucenia bomb atomowych na Wielką Brytanię...

Słyszając to ostatnie, Wilson drgnął, lecz nic nie powiedział. Peterson mówił dalej:

— Okręt zabierze was do Hplyhead. Stamtąd polecicie do Bangor, gdzie podacie się testowi na megacrynę. A potem ponownie drogą powietrzną udacie się do Wolverhampton, gdzie będzie na was czekał wasz pojazd i reszta ekwipunku. Na szczęście Wolverhampton jest wciąż jeszcze poza bezpośrednim obszarem infekcji. Stamtąd udacie się na południe, do Londynu.

— W pańskich ustach brzmi to wszystko niezwykle łatwo — stwierdził Wilson. — Lecz wcześniej powiedział mi pan, że pierwszy zespół poszukiwawczy zaatakował tłum. Skąd możemy być pewni, że nas nie spotka coś podobnego?

— Będziecie dobrze uzbrojeni — wtrącił O'Connell. Była to jego pierwsza wypowiedź od chwili rozpoczęcia odprawy. — Wasz pojazd wyposażony jest zarówno w lekki, jak i ciężki karabin maszynowy.

Wilson odwrócił się w jego stronę.

— Dobrze. Ale gdy już dotrzemy do Londynu, będę zmuszony wysiąść z samochodu. Co wtedy?

— Sierżant Slocock jest odpowiedzialny za pańską ochronę — powiedział O'Connell, a po chwili dodał z niesmakiem. — Wydaje się być wybitnym ekspertem w tego typu sprawach.

Wilson obdarzył Slococka krótkim, zaciekawionym spojrzeniem. Ten odpowiedział ironicznym uśmiechem.

— Gdy dotrzecie do śródmieścia — kontynuował Peterson — waszym pierwszym zadaniem będzie odszukanie laboratorium pańskiej żony, panie Wilson. Za wszelką cenę musicie się dowiedzieć, dokąd się udała po zabranii z laboratorium wszystkich notatek.

— Ale nie jesteśmy pewni, że to rzeczywiście była ona — zaproponował Wilson. — Być może winę ponosi któryś z jej asystentów.

Major skinął krótko głową.

— Carter wspominał o nich w swej ostatniej wiadomości radiowej. Powiedział, że było ich troje. Zdobył nazwiska, ale nie udało mu się dotrzeć do adresów. Zapanowało już kompletne rozprzężenie, i zdobycie jakichkolwiek informacji okazało się niemożliwe. Wie pan, gdzie ci ludzie mieszkali?

— Spotkałem kiedyś wszystkich troje, ale adres znam tylko jednej z nich.

— Czyj?

Wilson zastanowił się przez chwilę.

— Hillary Barne-Smith. Ma, albo raczej miała, mieszkanie w Islington. Przy Upper Street.

Slocock dostrzegł dziwny wyraz twarzy Wilsona. Pomyślał, że doktorek musiał bywać w tym mieszkaniu dość często.

— A więc sprawdźcie to także — powiedział Peterson. — Wstał i zebrał rozłożone na stole papiery. — Przepraszam, że was tak poganiam, ale za chwilę wyruszacie do portu. Waszą eskortą będzie kapitan O'Connell. Życzę powodzenia. . .

— Chwileczkę — wtrącił Wilson. — Jest jeszcze pewna istotna sprawa, o której nie wspomniał pan ani słowem. Przypuśćmy, że nam się uda. Ze odnajdę moją żonę lub jej notatki. Co wtedy? W jaki sposób wrócimy?

— Jeszcze nie rozumiesz, Wilson? — roześmiał się niewesoło Slocock. — Nie ma biletu powrotnego. Ta podróż odbędzie się tylko w jedną stronę.

## Rozdział ósmy

Oddział Międzynarodowej Ligi Socjalistycznej z siedzibą w Hastings spotkał się na kolejnym zebraniu. Uczestniczyły w nim trzy osoby. Przewodniczył towarzysz Henderson. Towarzysz Snell protokołował. A towarzyszką Blakey stanowiła reszta oddziału. W innych okolicznościach zebranie takie byłoby dużo liczniejsze, lecz biorąc pod uwagę szczególną, a zarazem dziwną sytuację, ta trójka osób stanowiła liczbę zupełnie wystarczającą.

— Towarzysze — zagaił Geoffrey Henderson. Jego cień podskakiwał na ścianie skalnej, zgodnie z drzeniem płomienia świecy. — Mamy kryzys.

Cała trójka była tego doskonale świadoma, lecz Geoffrey jak zwykle miał zamiar przejść przez wszystkie formalności. Sheena nie zwracała na jego słowa większej uwagi. Częściowo dlatego, iż z góry wiedziała, co powie, a częściowo dlatego, że zastanawiała się właśnie, który z jej dwu towarzyszy zechce dzisiejszej nocy zademonstrować jej swą solidarność.

Poprzedniej nocy zmuszona została do zaspokojenia obydwu. Po krótkiej kłótni — dotyczącej właściwej kolejności — przeforsowali głosowanie, w wyniku którego postanowili zawiesić chwilowo obowiązujący do tej pory system rotacyjny. Sheena przegrała stosunkiem dwóch głosów do jednego. Podejrzewała, że dzisiejszej nocy może odbyć się podobne głosowanie.

Zaczynała powoli żałować, że zgodziła się dzielić z nimi tę jaskinię. Ale na początku wydawało się to znakomitym pomysłem. Gdy pierwsze pogłoski o epidemii dotarły do Hastings, większość ludzi sądziła, że jest to wyłącznie problem Londynu. Pomimo ostrzeżeń w telewizji i w radiu oraz paru nieporadnych prób podjętych przez miejscowe władze, aby zabezpieczyć miasto przed infekcją, wydawało się, że cała ta historia przejdzie obok i zniknie w mgiełce zapomnienia. Stało się jednak inaczej.

Sheena nie była dokładnie pewna, kiedy ludzie wpadli w panikę. Większość starszych mieszkańców próbowała opuścić miasto, z dobytkiem czy bez. Ludzie z pobliskich miast i miasteczek — St. Leonardo, Bexhill, Balverhythe i Crowhurst — zachowywali się podobnie. Na całym obszarze wybuchła panika, rozpoczęły się akty przemocy i gwałtu.

Niektórzy próbowali uciekać łodziami rybackimi lub czymkolwiek, co miało dwa wiosła. Próbowali albo przekupić właścicieli łodzi, albo posuwali się do kradzieży, nierzadko przy użyciu siły. Lecz marynarka francuska szybko położyła temu kres. Rozeszła się potwierdzona pogłoska, że żabojady zatapiają każdą jednostkę, która przekroczy trzymilowy pas bezpieczeństwa. Nie dają w dodatku szansy na próbę powrotu wplaw.

Wtedy właśnie Geoffrey przedstawił im swój plan. Był zadziwiająco prosty. Mieli się po prostu ukryć i żyć w jaskiniach.

Na West Cliff znajdowały się cztery jaskinie. Częściowo uformowane przez naturę, lecz w głównej mierze stworzone przez człowieka. Zdecydowały o tym względy typowo komercyjne — piasek transportowano do hut a dziury w skałach były dodatkową atrakcją dla turystów.

Nie wydobywano już stamtąd piasku od ponad stu lat, a turyści znaleźli ciekawsze atrakcje. Plan Geoffa zakładał, że oddział MLS z Hastings schroni się w tych jaskiniach z dostatecznymi zapasami żywności i wody, by w ciszy i spokoju przeczekać epidemię. Geoffrey traktował ją jako dopust boży, który ma uwolnić Anglię od plagi torysów. Gdy tak się stanie, epidemia się skończy, niczym biblijna powódź, a MLS wynurzy się na powierzchnię, by na gruzach starego świata zaprowadzić nowy porządek.

Zaledwie dwu członków było na tyle przezornych, by podążyć za Geoffem do jaskiń. Pozostała czwórka MLS postanowiła pozostać na zewnątrz. Jednak Sheena zastanawiała się, czy słowo „przezorni” było w tym wypadku właściwym określeniem. Być może pozostała czwórka wykazała większą przytomność umysłu.

Zanim zeszli do jaskiń pod wpływem sugestii Geoffa włamali się do supermarketu i zabrali puszki z żywnością, świece i butelki z wodą. Potem włamali się do sklepu ze sprzętem turystycznym i zabrali śpiwory, niewielki piecyk i parę lamp gazowych. Przez parę pierwszych dni Sheena sądziła, że jest to nawet zabawne. Coś w rodzaju szalonego pikniku. Lecz w ogólnym nastroju szybko zaczęła przeważać nuda. Ściany jaskini skutecznie tłumiły fale radiowe, a książki, na których zabranie nalegał Geoff, okazały się być albo pisane przez Marksa, albo o Marksie.

Nawet gdyby dysponowali liczniejszym zestawem książek, to i tak nie miałyby to większego znaczenia. Baterie wyczerpały się już w pierwszym tygodniu, używali więc lamp naftowych. A w chwili obecnej jedynym źródłem światła był niepewny blask świec, których zapas kurczył się w zastraszająco szybkim tempie.

Geoff i Horace większość czasu spędzali na dyskusjach o teoriach marksizmu-leninizmu a co noc zmieniali się w jej śpiworze. Początkowo, tak wielka ilość seksu była podniecającą nowością, lecz wkrótce cała przyjemność zbladła. W końcu to bezustanne pieprzenie przez dwóch miernej klasy kochanków stało się śmiertelnie nudne. Miała jedynie nadzieję, że znudzą się w końcu seksem heteroseksualnym i zaczną pieprzyć się nawzajem.

Musiała jednak przyznać, że jak do tej pory pomysł Geoffa działał bez zarzutu. Sprawdzali regularnie wszystkie jaskinie, lecz nie natknęli się na żaden ślad grzyba. Geoff twierdził, że grzybom po prostu „nie zechce się” zejść pod ziemię. Gdy o nich wspominał, traktował je prawie jak istoty rozumne. Nic do jedzenia i za zimno, powtarzał. Sheena sądziła jednak, że grzyby nie gustują po prostu w piaskowcu. Ona także nie.

Lecz kryzys narastał. Tak jak i świec, zaczynało im brakować wody. Początkowo chcieli wykorzystywać wody z dość licznie porozmieszczanych toalet, lecz już wstępne oględziny wykazały, że ma ona podejrzenie dziwny kolor. Woda, którą zabrali ze sobą w butelkach, wystarczy zaledwie na parę dni. Nie mieli innego wyjścia, jak szukać jej na powierzchni.

Bieżące zebranie zwołano, by ustalić, kto pójdzie. Sheena wiedziała, że z całą pewnością nie będzie to Geoff. Najprawdopodobniej pójdzie ona. Lecz jeżeli Geoff zadecyduje, że nie chce ryzykować utraty jedynej kobiety w grupie, tym przegrany będzie Horace. Biedny Horace. Horace Snell. Dość dziwne imię dla dwudziestopięcioletniego, marksistowskiego rewolucjonisty. Ale pomimo to wszystko do niego pasowało — on był Horacym.

Jednak bała się, że Geoffowi może bardziej brakować filozoficznych dysput z przyjacielem niż jej ciała. Przecież zajmowały mu długie godziny, podczas gdy seks — dwie minuty, w najlepszym razie. Jego rewolucyjne poglądy nie szły w parze z rewolucyjną erekcją, myślała często. Jednak nigdy nie powiedziała mu tego prosto w oczy.

Nadszedł moment głosowania.

Tak jak się tego spodziewała, przegrała stosunkiem dwa do jednego.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią w milczącym oczekiwaniu.

— No cóż, wypadło na ciebie, Sheena — powiedział wreszcie Geoff. — Jeżeli wyruszysz natychmiast, zdążysz wrócić przed zmrokiem.

— Wypchaj się, Geoff — rzuciła, podejmując nagłą decyzję. — Nigdzie nie idę.

Sprawiali wrażenie głęboko wstrząśniętych.

— Mieliśmy przecież głosowanie — zaprotestował Horace. — Musisz iść.

— Nigdzie nie pójdę. Nawet gdybyście mieli mnie zmuszać.

Przez kilka minut próbowali ją przekonać, ale dziewczyna kręciła jedynie przecząco głową i powtarzała, że nigdzie się nie wybiera.

— Rozczarowałaś mnie, Sheena — powiedział Geoff głosem pełnym źle udawanego żalu. — Zawiodłaś nie tylko nas tutaj, ale także całą Międzynarodową Ligę Socjalistyczną.

— Pieprzę Ligę. Postanowiłam zostać anarchistką.

Geoff zeszywniał.

— Sheena, nie dajesz mi wyboru. Skreślam cię z listy członków Ligi oddziału w Hastings. Zabierz swoje rzeczy i natychmiast opuść to miejsce.

— Powtarzam ci, Geoff, żebyś się wypchał. Nigdzie się stąd nie ruszam.  
Geoffrey westchnął z rezygnacją i spojrzął na Snella.  
— Obawiam się, że ty będziesz musiał pójść, Horace.  
— Ja? — zabrzmiało to jak jęk.  
— No cóż, ja z pewnością nie mogę. Jako koordynator działań Ligi na obszar Hastings jestem zbyt niezbędny dla sprawy, aby wystawiać się na niepotrzebne ryzyko.

Sheena miała wrażenie, że będą nad tym dyskutować w nieskończoność. Jednak Snell po chwili wahania podniósł się niechętnie, wziął jeden z największych ogarków i ruszył powoli w stronę wyjścia z jaskini.

— Postaram się wrócić tak szybko — jak będzie to możliwe — powiedział na pożegnanie.

Był już w połowie drogi do wyjścia, gdy nagle resztkę świeczki zgasła. Nie widział własnej, wyciągniętej do przodu ręki, lecz wiedział gdzie się znajduje. Tuż przed zapadnięciem ciemności dostrzegł parę ogromnych złomów skalnych, które dawno temu oderwały się od stropu jaskini. Było to jedyne miejsce w stropie, przez które przedostawały się do wnętrza korzenie rosnących wyżej drzew.

Szedł dalej, dotykając dłonią wilgotnej ściany. Nagle coś musnęło go po twarzy — zimnego i śliskiego. Podniósł dłoń, by zerwać niewidzialną przeszkodę.

W chwilę później coś na kształt pętli schwytało jego nadgarstek. Zacisnęło się boleśnie i szarpało całą ręką, unosząc ją w stronę stropu.

Z krzykiem strachu złapał za to „coś” drugą ręką, próbując się uwolnić. Natrafił na długą nitkę o grubości i konsystencji makaronu. Wąż, przemknęło mu przez głowę, gdy z całych sił szarpał się z dziwnie mocną nitką.

Cokolwiek to było, nie chciało się poddać i nieubłaganie ciągnęło go w górę.

Wrzasnął znowu, gdy poczuł, jak wokół prawego bicepsu owija się kolejna nitka. Następna pętla zacisnęła się dookoła drugiego nadgarstka.

Chociaż szarpał się i kopał wściekle dookoła — był wciąż unoszony w górę. W końcu zawisł nad ziemią.

Nagle poczuł, jak coś ostrego zaczyna rozdzierać mu ciało w okolicach żołądka. Krzyknął. W chwilę potem nastąpiła eksplozja niewyobrażalnego bólu.

A w parę sekund później był już martwy.

W dolnej jaskini, Sheena i Geoff wyraźnie słyszeli jego krzyki. Geoff spojrzął ze zgrozą na dziewczynę i powiedział:

— Chryste. Sheen. Lepiej idź i zobacz, co się tam dzieje. . .

— Ja? Nie ma mowy. Ty idź. Jesteś przecież mężczyzną.

— No wiesz? To bardzo zachowawcze z twojej strony.

Sheena wrzuciła ramionami.

Krzyki przybrały na sile i zmieniły się. Brzmiały teraz jak przeraźliwe wycie piezonego na wolnym ogniu zwierzęcia.



— Słuchaj, a może pójdziemy tam razem? — zasugerował Geoff, rozglądając się z niepokojem dookoła.

Po chwili namysłu skinęła głową.

— Ale tylko wtedy, jeżeli pójdziesz pierwszy — powiedziała stanowczo.

Lecz zanim ruszyli, przeraźliwe wrzaski umilkły. Po chwili wahania ruszyli naprzód. Powoli przechodzili przez kolejne jaskinie. Często się zatrzymywali, wystraszeni drażniącymi cieniami na ścianach grot. Geoff niósł niewielką siekierkę, która w ostateczności posłużyć mogła jako broń. Sheena trzymała się twardo za jego plecami, pomimo ustawicznych nalegań, aby przysunęła się bliżej.

W końcu dotarli do Horacego.

Wisiał u sklepienia jaskini tuż pod szczeliną, w której widniało kłębowisko korzeni. W górze trzymały go grube, błyszczące nitki, które przypominały ugotowane spaghetti.

Niektóre z nich uformowały ciasne pętle dookoła ciała, a parę zdawało się wrastać do wewnątrz.

Snell był zmieniony nie do rozpoznania. Groteskowo rozdęty, wyglądał, jakby był napompowany powietrzem. Jego szczupła do tej pory twarz stała się doskonale okrągła, a palce przypominały pęczki białej marchwi.

— Boże, co to jest? — szepnął Geoff podchodząc bliżej. — Co mu się stało?

Sheena spojrzała w górę i dostrzegła, że białe „spaghetii” wystaje pomiędzy korzeni drzew.

— Nie podchodź bliżej! — ostrzegła Geoffa.

— Do diabła, nie możemy go przecież tak zostawić. Muszę go odciąć. — Podszedł do wiszącego w powietrzu ciała i podniósł siekierę. . .

— Geoff! — wrzasnęła.

Było już za późno. Białe nitki, doskonale nieruchome, do tej pory obudziły się nagle do życia. Zanim Geoff zdążył zareagować, biała pętla zacisnęła się dookoła dłoni, w której trzymał siekierę. Szarpnął się wściekle do tyłu, lecz już po chwili kolejne pętle unieruchomiły całe lewe ramie.

— Pomóż mi, Sheena!

Lecz ona mogła jedynie stać i patrzeć, jak wokół jego ciała owija się coraz więcej białych nici. Wkrótce unieruchomiły go zupełnie.

Sheena patrzyła właśnie na zmutowaną formę arthrobothrys oligospora w akcji. Jest to jeden z grzybów mięsożernych. W normalnych warunkach ma niewielkie rozmiary, odżywia się dżdżownicami i glistami. Chwyta robaki za pomocą długich nici lepkich strzępek, wstrzykuje do środka toksyny i wprowadza zawiązki strzępek odżywczych, które rozpuszczają narządy robaka i absorbują przetrwoną żywność. Pozostawiają jedynie wysuszoną powłokę.

To właśnie stało się z Horacym Snellem i działo się właśnie z Geoffreyem Hendersonem. . .

Zmutowany arthrobothrys penetrował jego drgające ciało ostrymi wypustkami, usytuowanymi na końcówkach strzępek, i wstrzykiwał toksyny, które miały za zadanie rozpuścić organy wewnętrzne ofiary. Ponieważ toksyną był czysty amoniak, Geoff straszliwie cierpiał.

Sheena czekała, aż ciało Geoffa znieruchomiało i zaczęło pęcznieć. Wtedy odwróciła się i pobięła w stronę ostatniej, najniższej jaskini.

Wyciągnęła się wygodnie w śpiworze i założyła ręce pod głowę.

— Nareszcie spokój — mruknęła i zasnęła.

## Rozdział dziewiąty

Cały rejon portu w Belfaście był pełen żołnierzy.

Gdy zatrzymali się przed kolejną barykadą, Wilsona uderzyła bezskuteczność wszelkich wojskowych poczynań. Co Armia ma właściwie zamiar osiągnąć, stosując taktykę demonstracji siły? Co zdziałają karabiny przeciwko mikroskopijnym cząsteczkom, wynoszonym na brzegi przez fale i wiatr? Ptaki morskie lądujące gdzieś w bezludnych i niedostępnych okolicach także mogą stać się roznosicielami epidemii. Wilson sądził, że ten pokaz wojskowej siły miał bardziej zająć czymś oficerów i żołnierzy, niż służyć jakimkolwiek innym celom. Skupieni w jednym miejscu i odcięci od konkretnych informacji, łudzili się jedynie nadzieją, że sprawują coś w rodzaju kontroli nad sytuacją.

Dyskusja pomiędzy oficerem dowodzącym blokadą a O'Connell'em wydawała się nie mieć końca. Wreszcie oficer zniknął w niewielkim domku usytuowanym po drugiej stronie drogi. Jednak szlaban tuż przed maską ich pojazdu był wciąż opuszczony.

— I po diabła to wszystko? — zapytał zniecierpliwiony Wilson. Zwrócił się w stronę O'Connella. — Nie może pan do kogoś zadzwonić, albo coś w tym guście? Byłoby miło, żeby nasza wyprawa po śmierć rozpoczęła się bez żadnych zgrzytów.

— Takie mają przepisy — wyjaśnił krótko O'Connell. — Robią po prostu to, co do nich należy.

— Naprawdę? — roześmiał się Wilson. — Przypuszczam, że będą sprawdzali jeden drugiego nawet wtedy, gdy zamienią się już w chodzące grzyby.

— To nie jest śmieszne, panie Wilson — zauważył zimno O'Connell.

— I wcale nie miało być.

Na szczęście była to już ostatnia blokada. Po przejechaniu kilkunastu metrów samochód skręcił na nabrzeże, zatrzymując się w końcu przed dziwną jednostką pływającą. Była długa na około 90 stóp i dość kanciasta. Jedyne dziób i kabina przednia miały wyraźnie wyprofilowane, aerodynamiczne kształty. Dostrzegli, że jednostka ma bardzo małe zanurzenie.

— A cóż to za krypa? — wykrzyknął zdumiony Slocock, gdy wysiedli wreszcie z samochodu. — Minie cała wieczność, nim to doholuje nas do Anglii.

— Wprost przeciwnie — powiedział mężczyzna w mundurze oficera marynarki, który schodził właśnie po trapie na nabrzeże. — To HMS „Speedy”, pierwszy wodolot Royal Navy. Ponieważ nie możemy was dostarczyć do celu drogą powietrzną, jest to najlepszy środek, jaki możemy zaproponować — wyciągnął rękę. — Jestem kapitan Barclay. Witam państwa na pokładzie.

Wszyscy wymienili z nim uściski dłoni, za wyjątkiem Slococka, który powiedział:

— Bez obrazy, kapitanie, ale ostatnimi czasy wyrobiłem u siebie dość osobliwy nawyk. Unikam fizycznego kontaktu z kimkolwiek, dopóki nie dowiem się, gdzie ostatnio przebywał.

Kapitan Barclay obdarzył go uśmiechem.

— Z pewnością jest to mądry środek ostrożności w miejscu, do którego się udajemy. A raczej wy się udajecie, nie ja. I muszę przyznać, że podziwiam waszą odwagę. Was wszystkich.

— Odwaga nie ma z tym wszystkim nic wspólnego — mruknął Wilson. — Ale czy pan po dostarczeniu nas do kraju, nie będzie zmuszony tam pozostać?

— Nie. Wysadzimy was pół mili przed Holyhead. Resztę drogi pokonacie tym — wskazał na jeden z dwu pontonów, przymocowany solidnie do dachu kabiny. Oba wyposażone były w doczepiane silniki o wielkiej mocy.

— Czas na was — powiedział O’Connell, spoglądając na zegarek.

— Nie płyńcie pan z nami, kapitanie? — zapytał zdziwiony Slocock. — Myślałem, że zechce się pan upewnić, że rzeczywiście dotrzemy na miejsce.

— Kapitan Barclay zrobi to równie dobrze — odparł sztywno O’Connell. — Do widzenia i życzę powodzenia. Nie muszę wam chyba mówić, jak wiele zależy od wyników waszej misji.

— Nie, nie musi pan — powiedział Wilson. Mruknął coś na pożegnanie i ruszył za resztą na pokład wodolotu. Trap natychmiast wciągnięto na pokład, a załoga okrętu rozpoczęła manewr odcumowania.

Barclay poprowadził ich na przestronny mostek. Było tu już dwu innych oficerów. Jeden z nich siedział wpatrując się uważnie w kontrolki na pulpicie sterowniczym, który bardziej przypominał konsolę wielkiego samolotu pasażerskiego niż okrętu. Barclay skinął oficerowi głową.

— Dobrze, Jim. Zabierz nas stąd — powiedział po prostu. Rzeczywiście dowodził niezwykłym okrętem.

Silniki zastartowały i okręt ruszył. Wilson spojrzął na sztywną, nieruchomą postać O’Connella, stojącego wciąż na nabrzeżu. On jest już martwy, pomyślał gorzko. My zresztą także.

Wodolot wypłynął wolno z portu i dostał się na wody Zatoki Belfaskiej. Tu zaczął nabierać prędkości.

— Obawiam się, że gdy podniesiemy się na płaty, podróż stanie się troszeczkę uciążliwa — ostrzegł Barclay. — Sądzę, że będzie wam o wiele wygodniej pod

pokładem. Co prawda, nie mamy tu typowego pomieszczenia dla pasażerów, ale mogę wam zaoferować drinka, albo trzy.

Twarz Slococka rozjaśniła się.

— Niech Bóg ma w opiece Marynarke! — wykrzyknął.

Barclay odczekał aż HMS „Speedy” podniósł się na swych trzech płatach nośnych. Napędzany dwoma potężnymi silnikami turbinowymi, osiągał prędkość 45 węzłów. Dopiero potem kapitan poprowadził ich pod pokład.

— To niezła łódka — powiedział dumnie, gdy już usadowili się jakoś w niewielkiej kabinie, wyposażonej w parę przysadzistych foteli, kanapkę i karciany stolik. — Miała być pierwszą z flotyli pięciu takich jednostek, ale cięcia budżetowe...

Odwrócił się i wyjął z barku butelkę Johnny Walkera oraz cztery szklaneczki.

Wilson wolno pociągał swoją whisky, jednym uchem słuchając paplaniny kapitana. Nagle doznał dziwnego uczucia nierealności. Przecież jeszcze nie tak dawno siedział sobie jak zwykle w swym niewielkim domku w hrabstwie Wicklow, a teraz znalazł się nagle w samym centrum koszmarnych wydarzeń, które praktycznie zniszczyły Londyn i postawiły każdego człowieka na kuli ziemskiej w obliczu niewyobrażalnej groźby... I oto on, Barry Wilson, kiepski naukowiec i autor kiepskich kryminałów ma uratować świat. Musi odbyć długą podróż przez wrogie terytorium by wraz z podobną dwójką straceńców odszukać własną żonę. — Jeżeli jeszcze żyje — może znajdować się gdziekolwiek w Londynie...

Muszę się obudzić, postanowił w duchu. Zaraz się obudzę i znowu znajdę we własnym, bezpiecznym świecie, gdzie jedynym problemem będzie szukanie sposobów, aby skutecznie unikać wierzycieli.

Lecz nie mógł się obudzić. Wciąż tkwił w ciasnej kabinie niewielkiego stateczku, który trząsał się i chybotał, jak przepełniony autobus, zjeżdżający w dół wąską, krętą ścieżką.

Po raz pierwszy przyjrzał się uważniej dwójce swych towarzyszy podróży. Slocock mu nie zaimponował. Przypominał typowego twardziela. Wyglądał jak ktoś, kto mimo swego niepozornego wzrostu okazać się może niezwykle groźnym przeciwnikiem. Myśl, że przez dłuższy czas zmuszony zostanie do utrzymywania bliższych kontaktów z takim typem, nie przypadła Wilsonowi do smaku.

Lecz z drugiej strony, Kimberley Fairchild była niezwykle atrakcyjna. Właściwie dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo. Wspaniała cera, doskonałe rysy twarzy i interesujące ciało. Zastanawiał się, jak prezentowałaby się po zdjęciu tego niekształtnego ubrania...

Podniósł wzrok i zorientował się, że dziewczyna patrzy prosto na niego.

— Spotkałam kiedyś pańską żonę — mówiła właśnie.

— Naprawdę? Kiedy? — Był pewny, że ona doskonale czuła, o czym przed chwilą myślał.

— Dwa lata temu. Na konferencji mikologicznej w Londynie. Ogromnie mi zaimponowała. Z łatwością uwierzyłam w to, co ludzie o niej mówili — że jest geniuszem w swojej dziedzinie.

— Rzeczywiście — parsknął Slocock.

Wilson nie wiedział, co powiedzieć. Czuł wewnętrzną potrzebę, aby pomimo wszystko bronić Jane, ale sam nie wiedział, jak to właściwie robić. Potworność tego, co się stało, ciążyła nad nim niczym potworna chmura. Grzybowa chmura, pomyślał gorzko. A co gorsza, w pewien sposób czuł się współwinny. Z pewnością było to irracjonalne, lecz nic nie mógł poradzić.

— To musiało być dla niej straszne — powiedziała Kimberley.

— Co pani ma na myśli? — zapytał podejrzliwie Wilson.

— Gdy zdała sobie sprawę z tego, co właściwie zrobiła. Po latach pracy nad wynalezieniem czegoś, co miało być dobrodziejstwem dla całej ludzkości, odkrywa, że stworzyła coś wręcz przeciwnego. To musiało ją zniszczyć.

— Słuchaj, wiem, że to twoja żona, chłopie — wtrącił Slocock. — Ale jeżeli chodzi o mnie... — odwrócił się w stronę Kimberley. — Niestety, nie czuję do niej żadnej sympatii. Jest typowym, cholernym naukowcem, który pieprzy się z rzeczami, o których nie ma najmniejszego pojęcia. A w konsekwencji łąduje nas wszystkich w takie szambo, jak to.

— Może ktoś chce jeszcze jednego drinka? — zapytał dyplomatycznie Barclay. Slocock oczywiście gorąco przyklasnął tej propozycji.

Wilson zapytał, kiedy dotrą do Holyhead.

— Biorąc pod uwagę czekające nas po drodze opóźnienia, powinniśmy dotrzeć tam za dwie i pół godziny — odparł kapitan.

— Jakiego rodzaju opóźnienia?

— No cóż, sądzę, że prędzej czy później natkniemy się na naszych francuskich przyjaciół. Ci z góry, poinformowali ich o celu naszej misji, a więc teoretycznie powinniśmy mieć wolną drogę. Ale wiecie, jak to jest z tymi Francuzami. Być może krzywdzę ich, ale nie mogę pozbyć się podejrzenia, że z utęsknieniem czekali na taką właśnie chwilę od czasu bitwy pod Trafalgarem.

\* \* \*

Pierwszy okręt napotkali już w godzinę po odbiciu od nabrzeża. Interkom, którego Wilson do tej pory nawet nie zauważył, zagwizdał przeraźliwie i w kabinie rozległ się zaniepokojony głos:

— Kapitan pilnie proszony na mostek.

Barclay pośpieszył na górę. Po chwili wahania Wilson postanowił pójść za nim. Kimberley i Slocock podnieśli się także.

Gdy weszli na mostek, wodolot właśnie zwalniał. Wilson był wstrząśnięty widokiem olbrzymiego gejzeru wody, eksplodującego z morza w odległości pięćdziesięciu jardów przed ich dziobem. Z dreszczem przerażenia zdał sobie sprawę, że właśnie do nich strzelano.

Po chwili dostrzegł przeciwnika. Płynął ćwierć mili po ich lewej burcie. Wyglądem przypominał niszczyciela lub fregatę.

Jeden z oficerów wręczył kapitanowi lornetkę.

To „Montcalm”, sir. To już drugi ich wystrzał. Najprawdopodobniej dziobowa setka. Chciałem się z nimi porozumieć, ale te żabojady mówią wyłącznie po francusku. . .

Barclay przez dłuższą chwilę przyglądał się okrętowi przez lornetkę, a potem sięgnął po słuchawki, leżące na obudowie radia i zaczął coś szybko mówić po francusku. Wilson dostrzegł, że nagle przed dziobem francuskiego okrętu wykwiła biały obłok dymu. W chwilę potem z morza wystrzelił kolejny gejzer, lecz tym razem dużo bliżej wodolotu. Do ich uszu dobiegł odgłos stłumionej eksplozji.

Dziób wodolotu opadł w wodę i zatrzymali się.

Następna salwa rozniesie nas na strzępy, pomyślał ponuro Wilson.

Potok francuskich słów, wyrzucanych przez Barclaya z szybkością karabinu maszynowego, stał się jeszcze ostrzejszy. Po chwili odłożył słuchawki i westchnął z ulgą.

— W porządku — powiedział. — Myślę, że udało mi się przekonać ich co do celu naszej misji. Chociaż przyszło mi to z niemałym trudem.

— Skąd mogli wiedzieć, że płyniemy do Anglii? — zapytał Wilson.

— Płyniemy prosto na południe, a najwidoczniej Francuzi nie podejmują już żadnego ryzyka.

HMS „Speedy” ruszył ponownie. Po chwili szybował już na swych płatach. Wilson z obawą spoglądał na francuski okręt, ale nic się nie stało.

Na kolejny okręt natknęli się dopiero, gdy zbliżali się do trzymilowego pasa bezpieczeństwa, chociaż już parę razy przelatowały nad nimi myśliwce i śmigłowce. Tym razem był to o wiele mniejszy okręt, ale za to prawie tak szybki, jak ich wodolot.

— To Combattante — wyjaśnił Barclay. — Jeden z ich najnowszych okrętów pierwszego uderzenia. Wyposażony jest w cztery karabiny maszynowe Exocets, kalibru 38 milimetrów. Podąża za nami, aby upewnić się, że nie podpłyniemy bliżej, niż zapewnialiśmy.

Gdy sunęli w stronę wybrzeża, Barclay w pewnej chwili wskazał na pływające po wodzie szczątki.

— Musieli się tutaj zdrowo napracować — powiedział.

W zasięgu wzroku pojawiało się coraz więcej szczątków i ciał. Spalonych ciał pływających twarzą w dół.

Nagle przepłynęli obok kogoś, kto jeszcze żył. Był to mężczyzna o poczer-  
niałej, spalonej twarzy. Machał słabo ręką. Barclay spojrzął na niego, a potem  
podniósł wzrok i zapatrzył się ponuro w morze przed dziobem.

— Zamierza pan zostawić tak tego nieszczęśnika? — zapytał z wyrzutem Wil-  
son.

— Muszę. Jeżeli zatrzymam się, aby go wyłowić, ci cholerni Francuzi po pro-  
stu wysadzą nas w powietrze.

Wilson spojrzął na rozbitka, który w dalszym ciągu machał w ich stronę ręką.  
Po chwili odwrócił się i spojrzął w morze. Próbował zagłuszyć narastające gdzieś  
w środku poczucie winy, powtarzając sobie, że najgorsze jeszcze przed nimi.

Gdy zatrzymali się wreszcie pół mili od wybrzeża, była już szósta po południu.  
Jednak promienie lipcowego słońca wciąż mocno grzały. Załoga przygotowała  
gumowy ponton. Wilson dostrzegł, że eskortująca ich francuska łódź patrolowa  
także się zatrzymała. Wyglądała złowieszczo.

— Morze jest spokojne, więc nie będziecie mieli kłopotów z dostaniem się na  
brzeg — powiedział Barclay z wymuszoną swobodą. Rozumiem, że ktoś zostanie  
wysłany, aby was powitać. Nadamy przez radio, że jesteście w drodze.

Gdy ponton zakołysał się już na wodzie, pożegnali się z Barclayem i zeszli do  
łodzi. Slocock uruchomił silnik.

Wilson obserwował malejący wodolot ze szczerym uczuciem żalu. Pomimo  
obecności francuskich okrętów i samolotów, czuł się bezpiecznie w towarzystwie  
Barclaya i jego załogi. A teraz musi polegać wyłącznie na własnych siłach. No,  
prawie...

Spojrzął na Kimberley.

— Co pani dla nas planuje na dzisiejszy wieczór, doktorze? To znaczy, gdy  
dotrzemy już do Bangor?

— Już panu mówiłam. Rozpoczynamy serię testów z megacryną.

— No dobrze, ale czy będziemy mieli chociaż parę godzin na odpoczynek?  
Na jakiś przyzwoity posiłek? A może wyskoczmy do jakiegoś pubu? To moja  
słabość.

— Nie sądzę, aby miał pan zbytnią ochotę na jedzenie czy na jakąś popijawę.

— Dlaczego? Czyżby efekty uboczne tego środka były aż tak ostre?

— Z pewnością nie są przyjemne.

— Ale jakie dokładnie?

— Naprawdę chce pan wiedzieć?

— Jasne, doktoru — wtrącił Slocock ze swego miejsca na rufie. — Opowiedz  
nam dobrą nowinę. Zzieleniejemy, czy co?

Kimberley westchnęła i wzruszyła z rezygnacją ramionami.

— No dobrze. Sami tego chcieliście. A więc megacryną powodować może  
jako działanie uboczne: nudności, wymioty, skurcze brzucha, ból głowy, biegun-  
kę, zawroty głowy, nadmierne wydzielanie potu, gorączkę, dreszcze, swędzenie,



bezsenna, bóle mięśni i stawów. A jeżeli dawka jest zbyt silna, może w nieodwracalny sposób zniszczyć skórę, system gastryczno-jelitowy oraz centralny układ nerwowy. W krańcowych wypadkach powoduje śmierć. Zadowoleni?

— Chryste! — mruknął jedynie Wilson.

— Myślę, że już wolałbym się zamienić w grzyba — powiedział Slocock.

## Rozdział dziesiąty

Wilson zacisnął powieki i napiął wszystkie mięśnie czując, że nadchodzi kolejna fala nieprzyjemnych skurczów. Nie mógł powstrzymać wymiotów. Większość z nich ominęła plastikowy pojemnik i wylądowała na podłodze, ale nie miał już sił, by się tym przejmować. Czuł się bliski śmierci.

Leżał na łóżku w jednym z pomieszczeń Uniwersytetu w Bangor. Była prawie czwarta rano i uczeni koledzy Kimberley już od przeszło sześciu godzin wstrzykiwali w niego tę cholerną szczepionkę. Nie miał pojęcia, czy jego reakcja na nią jest zła czy dobra. Nie wiedział także, w jakim stanie są Kimberley i Slocock. Wiedział jedynie, że nigdy w całym swym życiu nie czuł się równie podle.

Dotarli do Holyhead tuż przed siódmą wieczorem. Wilsona natychmiast uderzyło, jak bardzo to miejsce różniło się od Belfastu. Całe miasto było tak samo pełne żołnierzy. Atmosfera w Belfaście była napięta i pełna niepokoju, ale tu było o wiele gorzej. W powietrzu czuło się rozpacz, a co gorsza, bezrozumną panikę. Żołnierze zachowywali się bardzo nerwowo, obrzucając wszystkich i wszystko podejrzliwymi spojrzeniami. Trzymali broń jakby była jakimś magicznym talizmanem, zapewniającym ochronę przed grzybem. Wilson czuł, że wystarczyłaby jedynie iskierka, by ta beczka prochu wybuchła. Gdyby wpadli w amok, powystrzelaliby wszystkich dookoła. . .

Gdy Wilson razem z towarzyszami posuwali się pod zbrojną eskortą wzdłuż nie kończących się kordonów, byli świadomi jawnie wrogich spojrzeń, jakie posyłali im żołnierze. Początkowo zaskoczyło to Wilsona — zastanawiał się, czy to aby nie dlatego, że jest mężem Jane Wilson — ale szybko zorientował się, że działo się tak za sprawą miejsca, z którego przybyli. Uwięzionym w Holyhead tłumom Irlandia wydawać się musiała bliską, lecz zupełnie nieosiągalną oazą bezpieczeństwa i spokoju. Żołnierze czuli się dotknięci i rozdrażnieni myślą, że troje ludzi z własnej woli porzuciło takie miejsce i udaje się w głąb kraju. . .

Nawet członkowie eskorty przedstawiciel MIS i dwaj ludzie z oddziałów specjalnych — byli w stosunku do nich zimni i nieuprzejmi. Wilson parokrotnie już próbował nakłonić ich do udzielenia najnowszych wiadomości z Londynu, lecz uzyskał jedynie parę mało pomocnych, wypowiedzianych najczęściej monosylabami burknięć.

W miarę posuwania się ich pojazdu przez zatłoczone ulice Wilson sam mógł zobaczyć, że sytuacja stała się poważna. Liczba uchodźców dziesięciokrotnie przewyższała liczbę żołnierzy. Szli do przodu pogrążeni w beznadziejnej rozpacz, schwytni w potrzask pomiędzy epidemią a linią uzbrojonego wojska.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie pozwalacie tym biednym durniom przejść i spróbować się z Francuzami — powiedział Slocock, gdy mijali tłum uchodźców, szturmujący zaciekle jedną z barykad.

— Im więcej ludzi spróbuje uciekać morzem, tym bardziej prawdopodobne, że zabójczy rzucą na nas w końcu swoje bomby — wyjaśnił jeden z ochroniarzy, ten z oddziałów specjalnych.

Na grupy uchodźców napotykali na całej drodze do Bangor, a samo miasto było dosłownie zapchane ludźmi.

Na Uniwersytecie w Bangor powitani zostali przez kolegę Kimberley, doktora George Helmana. Był to tęgi mężczyzna o blond wąsach i wypielęgowanych dłoniach. Wilson, obserwując jak się ściskają, poczuł nagłe ukłucie zazdrości. Kto wie, może to dawni kochankowie? Co prawda było dość trudno wyobrazić sobie Kimberley uprawiającą miłość z tym zniewieściałym typem, lecz być może była kobietą, która uważała, że inteligentni mężczyźni są równie sprawni w łóżku. Jeżeli było tak rzeczywiście, to z pewnością będzie miał u niej większe szanse niż taki Slocock. . .

Po zakwaterowaniu i „odświeżeniu”, jak ujął to Helman, doktor zaprowadził ich do laboratorium, w którym poddawano testom różne odmiany grzybów. Przez dwie warstwy grubego szkła przyglądali się ludziom okutanym w niezgrabne, białe kombinezony.

— Troszeczkę to ryzykowne, prawda? — powiedział Wilson. — Wystarczy, aby wydostała się stąd tylko jedna zmutowana komórka, a będziecie tu mieli całym niezłą epidemię.

— Ludzie, których pan tutaj widzi, to wszystko ochotnicy. Nigdy nie wychodzą na zewnątrz. Mają oddzielną przestrzeń mieszkalną odciętą od reszty laboratoriów, a cały ten kompleks jest z kolei zupełnie odcięty od świata. Nic się stąd nie wydostanie. Powietrze krąży w obiegu zamkniętym, wszystkie odpadki są magazynowane. . .

— Jednak wciąż uważam, że to niebezpieczne. A co będzie, jeżeli wydarzy się jakiś wypadek? Wadliwa uszczelka? Albo po prostu zwyczajny, ludzki błąd?

— Musieliśmy podjąć takie ryzyko, doktorze Wilson — odparł Helman. — Jedyne laboratoria, które wciąż jeszcze prowadzą prace badawcze nad tymi grzybami, są zlokalizowane w naszym regionie. Nikt nie chce podjąć ryzyka importu tych próbek do innych krajów, z powodów, które pan właśnie wymienił. A w miarę rozprzestrzeniania się epidemii tracimy coraz więcej laboratoriów i naukowców.

— Czy udało wam się wyizolować czynnik odpowiedzialny za epidemię?

— Nie. Ale dzięki panu rozpoczynamy nową serię badań.

— Dzięki mnie? — zapytał marszcząc czoło Wilson.

— Dzięki pańskim informacjom o enzymach. Dotarły do nas z Belfastu. A także do wszystkich laboratoriów, pracujących jeszcze nad tym problemem. Nie mam wątpliwości, że wcześniej czy później odkryjemy ten tajemniczy czynnik. Choć obawiam się, że na to „później” nie możemy sobie w naszym przypadku pozwolić. Dlatego właśnie musimy jak najszybciej dostać w ręce opis chemiczny tego enzymu...

— Nie musi mi pan o tym przypominać — powiedział ze złością Wilson. Jeżeli jeszcze jedna osoba powie mi, że los całej ludzkości spoczywa na jego barkach, wpadnie w szal.

— A czy udało wam się stworzyć jakiś środek, który zabija te rzeczy? — zapytał.

— Och, samo zabicie grzyba jest proste — odparł Helman. — Lecz prawdziwy problem polega na powstrzymaniu ich przed tak błyskawicznym rozprzestrzenianiem. Armia i lotnictwo zrzucała już na obszary dotknięte infekcją dosłownie wszystko — od środków chwastobójczych po napalm — ale właściwie bez żadnych rezultatów. Początkowe sukcesy okazały się jedynie chwilowe.

Kiedy stało się jasne, że Londyn jest już stracony, utworzono dookoła miasta milowy pierścień bezpieczeństwa. Wszystko w tej strefie zostało wycięte, spalone i obsypane trucizną. Samoloty i śmigłowce zrzucają truciznę właściwie bez przerwy, ale grzyby wciąż się rozprzestrzeniają.

— Jaki jest obecnie zasięg epidemii? — zapytał Slocock.

— Właściwie cała południowa Anglia jest już terytorium skażonym. Infekcja sięga od wybrzeża w Southend aż do Torquay... Cornwall i Devon wciąż są jeszcze obszarami wolnymi od grzyba, ale prawdopodobnie już nie na długo. Na północy epidemia sięga aż do Warwick. Posuwa się zakrzywionym frontem, który rozciąga się od południowej Walii, poprzez Hereford, Worcester, Warwick, Northampton, Cambridgeshire i Suffolk.

Lecz są jeszcze inne, mniejsze ogniska infekcji. W Derby, Yorkshire, jedno jest nawet w Szkocji.

Przez chwilę panowała cisza. Przerwała ją dopiero Kimberley:

— Czy odnieśliście jakieś sukcesy w leczeniu ofiar grzyba?

— Praktycznie żadnych — odparł Helman. — Chodźcie, pokażę wam...

Poprowadził ich do innego pomieszczenia. Tutaj okno obserwacyjne otwierało się na część laboratorium zastawione klatkami. W środku klatek coś się poruszało, lecz Wilson nie był w stanie powiedzieć, co to właściwie było. Przypominało bezkształtne, puszyste kłęby pleśni. Jedno z tych stworzeń było zbitką okrągłych, białych grzybów, objającą się o ścianki klatki.

— Co to jest, do diabła? — zapytał zaskoczony Wilson.

— Koty.

— Żałuję, że mi pan to powiedział.

— Każdy z nich jest nosicielem innego rodzaju grzyba. Próbowaliśmy wszystkiego, ale nie potrafimy pozbyć się grzyba, nie zabijając przy tym organizmu gospodarza.

— A promieniowanie? — wtrąciła Kimberley.

— Tak — Helman pokiwał głową. — Na początku mieliśmy nawet niezłe rezultaty, ale poziom radiacji potrzebny, by całkowicie wyeliminować zakorzenione w ciele strzępki, okazał się fatalny w skutkach dla gospodarza. Nawet gdybyśmy znaleźli jakiś sposób, aby pozbyć się tych grzybów, to i tak cały organizm ofiary będzie wyniszczony. Wyjedzone całe połączenie skóry, obrażenia wewnętrzne wywołane głęboką penetracją strzępków.

Prawdziwy sukces odnieśliśmy jednak na polu prewencji. Megacryna to nasza wschodząca gwiazda. . .

Zabrał ich do kolejnej sekcji laboratorium. Przez grube szkło dostrzegli mężczyznę w średnim wieku, który ubrany w dżinsy i podkoszulek leżał na łóżku i czytał książkę.

— Człowiek ten przez parę dni wystawiony był na infekcję — powiedział Helman. — Lecz jak do tej pory na jego ciele nie pojawiły się żadne oznaki choroby.

— Ale nie wygląda na pełnego życia — zauważył kwaśno Slocock.

— Oprócz ubocznych skutków szczepionki, umiera na raka mózgu. Dlatego właśnie zgodził się poddać temu testowi.

— Zrozumiałem, że straciliście dwóch ochotników na czterech, którym podaście tę szczepionkę — zauważył Wilson.

— No cóż, to prawda. Ale nastąpiło to wtedy, gdy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z olbrzymiej rozpiętości tolerancji poszczególnych organizmów na ten lek. Teraz jestem już pewien, że będziemy mogli go wam zaaplikować, nie powodując zagrożeń dla waszego życia. Jednak efekty uboczne. . . urwał i spojrzał wyczekująco na Kimberley.

— Powiedziałam im, że nie będzie to przyjemne.

— A więc proponuję, żebyśmy przystąpili do rzeczy — powiedział raźnie Helman.

— A może byśmy tak coś zjedli? — zaproponował Slocock. — Jestem głodny jak wilk.

Helman zrobił nieszczęśliwą minę.

— Nie sądzę, aby jakikolwiek posiłek był w tej chwili dobrym pomysłem — uśmiechnął się przepraszająco.

To było niedomówienie dziesięciolecia, pomyślał ponuro Wilson, gdy z wysiłkiem zwłókł się z łóżka i chwiejnym krokiem pomaszerował do łazienki. Jego żołądek wciąż skręcał się z bólu, tak że ledwie mógł utrzymać się na nogach. W ostatniej chwili ściągnął spodnie od pizamy i klapnął ciężko na sedes. Resztki kontroli, które aż do tej pory udało mu się zachować nad zwieraczami, puściły i wypróżnił się, mając wrażenie, że wydziela kwas solny.

Siedział jeszcze przez chwilę drżąc, zbyt słaby, aby się poruszyć. Dudniło mu w głowie i bolały go wszystkie stawy. Umieram, pomyślał. A przynajmniej miał taką nadzieję.

Gdy udało mu się dotrzeć wreszcie do łóżka, otworzyły się drzwi i wszedł Helman.

— I jak się pan czuje? — zapytał wesoło, przykładając zimną końcówkę stetoskopu do zroszonej potem piersi Wilsona.

— Okropnie. Czuję się jeszcze gorzej niż podczas ostatniej pańskiej wizyty. Kiedy to się do cholery skończy?

Helman cmoknął z zadowoleniem.

— No, no, doktorze, powinien się pan uważać za szczęściarza. Pańska reakcja na megacrynę była stosunkowo łagodna. . .

— Łagodna? Ty gruby, zwariowany. . .

— Tak, łagodna. Nieomal straciliśmy biedną Kim.

— Kim? — oszołomiony umysł Wilsona na próżno się wysilał, aby zidentyfikować osobę, o której mowa. Kim do diabła jest ta Kim?

— Kimberley. Ustała u niej akcja serca. Na szczęście w ciągu niecałej minuty udało nam się pobudzić je ponownie. Żadnych poważniejszych dolegliwości dzięki Bogu. Wyjdzie z tego.

— Ustała akcja serca — wyjąkał zaskoczony Wilson.

Helman skinął głową.

— Niewiele brakowało.

— Jezu — szepnął Wilson.

— Reakcja sierżanta na szczepionkę jest także zadowalająca. Efekty uboczne nie były nawet tak ostre, jak u pana.

— To wspaniale — mruknął Wilson. Slocock go nie obchodził. Ale Kimberley. . . Szok, wywołany wiadomością o perypetiach dziewczyny zdziwił go. Jej obecność czyniła całą tę eskapadę znacznie znośniejszą. Gdyby miał wyruszyć jedynie ze Slocockiem. . .

Potrząsnął ze znużeniem głową.

— Jak, do diabła, mamy przebyć całą tę drogę, jadąc w takich warunkach? Jestem tak słaby, że ledwo trzymam się na nogach. A z pańskich słów wnioskuję, że Kimberley ma się o wiele gorzej.

— To tylko wstępna reakcja. Poczuj się pan o wiele lepiej, gdy pański organizm przyzwyczai się już do tego specyfiku. Oczywiście, nie będzie się pan czuł w pełni dobrze, i jeżeli popełni się błąd w dozowaniu ostre efekty mogą wystąpić ponownie, ale sądzę, że do jutra powinien pan już przyjść do siebie. Wtedy wyruszyście.

Wyjął strzykawkę i polecił, aby Wilson podciągnął rękaw.

— Wezmę jeszcze jedną próbkę krwi. Jeżeli test wypadnie dobrze, podam panu coś, co na chwilę zupełnie pana oszołomi. Ale potem będzie się pan czuł o wiele lepiej. . .

Wilson obudził się, czując się w dalszym ciągu fatalnie. To prawda, że nie był już tak chory, jak poprzednio, ale daleko mu było do pełnej formy. Jego stan w tej chwili przypominał połączenie najostrzejszego w życiu kaca i ataku grypy. Sama myśl o przejściu paru kroków napawała go odrazą.

Nacisnął umieszczony tuż przy łóżku przycisk dzwonka. Po chwili do pokoju wkroczył Helman. Jak zwykle sprawiał wrażenie niezwykle z siebie zadowolonego. Wilson przypomniał sobie nagle pokryte grzybami koty.

— Wygląda pan o wiele lepiej. To dobrze — Helman zbadał pobieżnie Wilsona i dodał: — Jeżeli ma pan dość sił, może odwiedzić pozostałych. Już się obudzili.

Odczuwając lekkie zawroty głowy, Wilson poszedł chwiejnym krokiem za Helmanem do pokoju Kimberley. Siedziała podparta poduszkami, gawędząc ze Slocockiem, który przysiadł w nogach jej łóżka.

Irytacja Wilsona spowodowana widokiem tych dwojga, będących ze sobą w tak dobrej komitywie zbladła, gdy spojrzał na twarz Kimberley. Dziewczyna była zmieniona nie do rozpoznania. Rysy twarzy miała ściągnięte i poszarzałe, a zapadnięte oczy otoczone czerwonymi obwódkami.

Kimberley posłała mu słaby uśmiech.

— Witaj, Barry. Jak się czujesz? — zapytała głosem starej, chorej kobiety.

Ignorując ją, Wilson ze złością odwrócił się w stronę Helmana.

— To przecież śmieszne! — wybuchnął. — Ona nie może podróżować w takim stanie!

Helman bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Obawiam się, że niestety musi.

— Nie, nie pozwolę na takie szaleństwo! Sierżant i ja możemy pojechać sami.

— Beze mnie nigdy nie dotrzecie do Londynu — wtrąciła Kimberley. — Bez prawidłowego dozowania megacryny w krótkim czasie staniecie się niezdolni do czegokolwiek.

— To nieważne — odparł krótko Wilson. — I proszę bez dalszych dyskusji. Po prostu nie pozwalam ci jechać.

— Obawiam się, doktorze Wilson, że w tej sprawie nie ma pan już nic do powiedzenia — stwierdził spokojnie Helman.

Pięć godzin później, gdy odpoczęli trochę i zdołali wmusić w siebie po talerzu zupy, wsiedli do wojskowego śmigłowca, który miał ich zabrać do Wolverhamptom. Tym razem towarzyszył im jedynie oficer MI5.

Twarz Kimberley nabrała troszeczkę rumieńców, ale dziewczyna w dalszym ciągu wyglądała przerażająco źle. Siedziała nieruchomo z zaciśniętymi kurczowo powiekami, ze wszystkich sił starając się powstrzymać ogarniające ją nudności.

Gdy śmigłowiec oderwał się od ziemi, Helman pomachał na pożegnanie ręką.  
Wilson nie odwzajemnił tego gestu.



## Rozdział jedenasty

— Co to jest, na Boga? — wykrzyknął zaskoczony Wilson.

— To był Stalwart — powiedział Slocock. — Alvis PV2 Stalwart Mark 3.

Podobnie jak Wilson, Slocock nie ukrywał zaskoczenia widokiem ich pojazdu. Ktoś w krótkim czasie odwalił tu kawał rzeczywiście dobrej roboty.

Stali w jednym z garaży tymczasowego obozu wojskowego, na przedmieściach Wolverhampton. Oglądali ogromny, sześciokołowy samochód pancerny. Unosił się wysoko ponad ziemią zawieszony na masywnych, baniastych oponach, a jego kanciasty przód podobny był do dziobu barki desantowej. Slocock wiedział, że pojazd ten jest jednocześnie amfibią, która płynąc po spokojnej wodzie może osiągnąć prędkość do pięciu węzłów. Slocock co prawda jeździł już czymś takim, ale nigdy jeszcze nie widział takiego Stalwarta, jak ten.

Całą tylną część pojazdu obudowano dodatkowo półcalowym pancierzem, służącym jednocześnie za podstawę ciężkiego karabinu maszynowego. Karabin maszynowy mniejszego kalibru zamontowano na dachu kabiny kierowcy. Jednak gdy major Baxton, pokazał im wewnątrz przedziału mieszkalnego, Slocock stwierdził, że zmiany poczynione wewnątrz pojazdu były jeszcze bardziej zaskakujące.

Aby tam się dostać, należało przejść przez niewielką komorę powietrzną. Mogła pomieścić zaledwie jedną osobę.

— Gdy będziecie przez nią przechodzić — wyjaśniał major — wasze kombinizony poddawane będą natryskowi z bardzo silnego środka dezynfekującego. Upewnijcie się, czy zmyliście z siebie wszystko, zanim przejdziecie do przedziału mieszkalnego. Powiedziano mi, że środek ten jest niezwykle toksyczny. . .

Przykro mi, że przestrzeń mieszkalna jest dość zatłoczona. Musieliśmy umieścić tu sporo dodatkowego ekwipunku na ograniczonej przestrzeni. Te dwie bańki pod kojami — to zapasowe zbiorniki paliwa. Każdy o pojemności 50 galonów.

— Wiszą tylko dwie koje — powiedział Wilson — a jest nas przecież troje.

— Trzecia osoba będzie mogła spać w kabinie kierowcy. Ale nie wydaje mi się rozsądne, abyście wszyscy spali o tej samej porze.

Slocock rzucił swą torbę na jedną z koi. Gdy lądowała na materacu, dobiegł ich wyraźny brzęk butelek. Baxton uniósł znacząco brew, ale powstrzymał się od komentarza. Slocock roztaczał wokół siebie łagodny aromat whisky. Podczas

przelotu wykończył niemal całą butelkę. Nie przyniosło to większej ulgi jego głowie, która wciąż pulsowała tęnym bólem, ale przynajmniej zmniejszyło szarpiące nogami i ramionami dreszcze.

— Powietrze tutaj i w kabinie kierowcy krąży w obiegu zamkniętym, zupełnie jak w niewielkiej łodzi podwodnej. Zainstalowaliśmy dwa niezwykle efektywne filtry, które oczyszczają powietrze z dwutlenku węgla. Co jakiś czas będziecie musieli wypuszczać z cylindrów trochę świeżego powietrza, aby utrzymać ciśnienie w normie — Baxton wskazał na widniejący na jednej ze ścian zawór ciśnieniowy.

Nikt nie zapytał nawet, co się stanie, gdy tlen wreszcie się skończy. Doskonale wiedzieli, że wtedy będą musieli oddychać powietrzem zewnętrznym, a ich jedyną ochroną przed grzybem będzie niesprawdzona do końca megacryna.

W pojeździe znajdowała się jeszcze niewielka, chemiczna toaleta. I to już było wszystko. Nie było kuchenki, lecz zamiast tego mnóstwo puszkowanej żywności i koncentratów. Oraz ogromny zbiornik pitnej wody.

Tuż obok trzech niezgrabnych, podwieszonych u sufitu kombinezonów widniała imponująca kolekcja broni. Cztery karabiny FNL1 kaliber 7.62 mm; dwa karabiny maszynowe Sterling L2A3 oraz dwa rewolwery Smith and Wesson kaliber 38 mm.

— Mamy sporą siłę ognia — zauważył Slocock. — To tutaj i karabiny maszynowe na dachu.

— Na dachu kabiny zamontowany jest ciężki karabin maszynowy, a na dachu kabiny kierowcy minikarabin maszynowy typu GEC. Z obydwu możecie prowadzić ogień zdalnie, ze środka pojazdu. Jedyną niedogodnością będzie zmiana magazynków. Aby to zrobić, jeden z was będzie musiał wyjść na zewnątrz. I obawiam się, iż użycie tego także będzie możliwe jedynie na zewnątrz. . .

Baxton nachylił się i otworzył wąskie, metalowe pudło, które leżało na kilku skrzynkach z amunicją kalibru 7.62.

Slocock zagwizdał z podziwu. W pudle znajdowała się wyrzutnia rakiet przeciwpancernych typu BREDA, która dopiero od niedawna znalazła się w stałym wyposażeniu wojsk NATO.

— Mam nadzieję, że zna się pan na tym, sierżancie?

Slocock skinął głową.

— Ile mamy rakiet?

— Sześć — Baxton dotknął jednej ze skrzyń czubkiem buta. — Tutaj. Każda zawiera stabilizowany kołnierz aerodynamiczny z rozmieszczonym dookoła ładunkiem wybuchowym, zdolnym przebić 320-milimetrowy pancerz przy strzale na wprost lub pancerz 120-milimetrowy przy kącie strzału 65 stopni. Zasięg rażenia wynosi w przybliżeniu 600 metrów.

— Do czego właściwie będzie nam to potrzebne? — zapytał zdziwiony Wilson. — Sądziłem, że jedyne niebezpieczeństwo, oczywiście oprócz samego grzyba, będzie nam grozić ze strony dotkniętych infekcją ludzi.

— Doktorze Wilson, w obszarze kwarantanny zostało całe mnóstwo odciętych ludzi. A także pewna ilość jednostek wojskowych. Wiemy z całą pewnością, że część żołnierzy z tych jednostek zbuntowała się. Już parę razy próbowali przebić się przez zapory otaczające miasto przy użyciu broni. Doprowadziło to do regularnych walk pomiędzy nimi a strzegącymi zapór żołnierzami. Jak do tej pory, udało nam się ich powstrzymać. . .

Wilson spojrzał na Baxtona z niedowierzaniem.

— Chce pan przez to powiedzieć, że będziemy zmuszeni przebijać się przez grupy, a być może przez całe oddziały zbuntowanych żołnierzy? Do diabła, przecież pomysł z całą tą cholerną wyprawą staje się z każdą chwilą coraz bardziej obłądny!

— Na szczęście będziecie mogli uniknąć tego typu konfrontacji. Ten Stalwart jest w stanie przejechać praktycznie wszędzie, wliczając w to rzeki i kanały. Jeżeli napotkacie gdzieś przed sobą jakiś wóz bojowy, to po prostu postarajcie się go ominąć — odparł Baxton.

— Jasne — prychnął Slocock.

— Macie także dwa przenośne miotacze ognia, zainstalowane z tyłu, w bagażniku. W przedziale mieszkalnym nie było już dla nich miejsca, a poza tym strasznie śmierdzą. Wasz system obiegu powietrza nie byłby w stanie sobie z tym poradzić. Mogą być przydatne, gdy dotrzecie już do Londynu. Słyszałem, że w niektórych miejscach ten grzyb jest cholernie gruby. . . — spojrzał na zegarek. — Proponuję, abyście wyruszyli o świcie, czyli mniej więcej za cztery godziny. . .

— Sierżancie Slocock, za chwilę przyślę tu jednego z mechaników, aby mógł pan dokładnie zapoznać się ze sprzętem.

— Nie ma potrzeby, sir — odparł szybko Slocock, niepokojąc się stanem rzuconych na jego butelek. — Zapoznam się z nim po drodze.

Baxton obdarzył go beznamiętnym spojrzeniem i powiedział sucho:

— Myślę, że przegląd wszystkich urządzeń będzie dobrym pomysłem. Zdalne sterowanie bronią jest dość skomplikowane.

Coś w tonie głosu majora sprawiło, że Slocock przestał się spierać. Zresztą i tak nie miał ku temu wystarczająco dużo siły.

— Tak jest!

Baxton odwrócił się w stronę Wilsona:

— Jeżeli chodzi o pana, doktorze, to sądzę, że może się pan jeszcze chwilę przespać.

— Dobrze. Przedtem sprawdzę jednak, jak czuje się Kimberley.

— Tak, niech pan się nią zajmie, doktorku — wtrącił Slocock, nie ukrywając przy tym szydlerczego uśmiechu. Tylko proszę nie zapomnieć zmierzyć jej przy okazji temperatury.

— Starczy, sierżancie — uciął krótko Baxton. — Proszę pozostać tutaj. Zaraz przyślę sierżanta Boardmana. Pomagał w zbudowaniu tej bestii, więc powie panu

o niej wszystko, co powinien pan wiedzieć. I byłbym zobowiązany, aby w jego obecności nie dotykał pan nawet swojej torby. Czy to zrozumiałe?

Gdy major i Wilson odeszli, Slocock skoczył w stronę koi i wyjął opróżnioną w dwóch trzecich butelkę whisky. Pociągnął solidny łyk i zmarszczył czoło, rozmyślając o Wilsonie. Skacze dookoła Kimberley, odkąd opuścili Bangor. A tej głupiej dziwce zdaje się to sprawiać przyjemność. No cóż, w jakiś sposób będzie musiał z tym skończyć...

\* \* \*

— Mam nadzieję, że nie będzie pan miał z nim żadnych kłopotów — powiedział major, gdy wyszli z garażu.

Wilson spojrział prosto na młodą, poważną twarz oficera.

— Ze Slocockiem? A powinienem się ich spodziewać?

— Rozmawiałem z jego dowódcą w Belfaście. Slocock z pewnością jest doskonałym żołnierzem, lecz jest także rekordzistą, jeśli chodzi o sprawianie kłopotów. W paru przypadkach postawiono go nawet w stan oskarżenia.

— A mianowicie?

— Pełniąc służbę trzykrotnie strzelał i zabijał ludzi, o których twierdził, że mieli broń. Lecz odnaleziono ją tylko przy jednej z ofiar. Dwóch pozostałych najprawdopodobniej nie miało żadnego związku z IRA. A ponieważ wszystkie te trzy wypadki wydarzyły się w stosunkowo krótkim czasie, sugerowano, że sierżant po prostu...

— Lubi to robić?

— Właśnie. Nie jest to facet, którego wybrałbym osobiście do takiej roboty jak ta.

— Lecz rozumiem, że zgłosił się na ochotnika?

— Tak. To także jest dość zastanawiające, nie uważa pan?

\* \* \*

Wilson odnalazł Kimberley kompletującą zestaw leków i wyposażenia medycznego. Układała wszystko na pustym łóżku w jednym z baraków. Wyglądała już trochę lepiej, lecz wciąż była niepokojąco blada. Pomimo stosunkowo chłodnej nocy jej koszulka z krótkimi rękawami przesiąknięta była potem.

— Wkrótce pora na kolejny zastrzyk — powiedziała. — Gdzie sierżant?

— Na zewnątrz. Bawi się swoim nowym krążownikiem szos — opowiedział jej wszystko, czego dowiedział się od Baxtona na temat Slococka. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia specjalnie zaskoczonej.

— Ktoś, kto najpierw strzela, a dopiero potem zadaje pytania, jest jak najbardziej odpowiedni w takiej sytuacji, jak nasza — odpowiedziała. — Major żyje przeszłością. Co właściwie robią jego żołnierze tam, na zewnątrz?

Nawiązywała do wystrzałów, które od chwili przybycia słyszeli niezwykle wyraźnie. Obóz położony był blisko milowego pasa bezpieczeństwa. Patrole bez ostrzeżenia strzelały do tych, którzy próbowali wydostać się na zewnątrz. Lecz pomimo wszystko Wilson był zdumiony bezwzględnością kryjącą się za jej słowami. Mimowolnie odkryła przed nim coś, czego nawet nie podejrzewał.

— Major miał rację zastanawiając się, dlaczego Slocock zgłosił się do tej misji na ochotnika. Czy tak rzeczywiście postąpiłby człowiek o zdrowych zmysłach?

— A ty? — uśmiechnęła się słabo.

— Ja, to co innego. Nie miałem właściwie wyboru. Ale Slocock... — urwał i przyjrzał się jej uważniej. — Ty także zgłosiłaś się na ochotnika. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nasze szanse na pomyślny powrót są praktycznie żadne. A więc dlaczego ryzykujesz życiem?

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— To proste. Chcę na własne oczy zobaczyć, jak grzyby zostają pokonane i w końcu zniszczone. Nic więcej.

Czy aby na pewno? — zastanawiał się ponuro.

\* \* \*

Wyruszyli o 5.45 rano. Do ostatniej zapory eskortował ich major Baxter, który jechał przed nimi samochodem pancernym typu Saracen. Zaporę stanowiły podwójne zasieki z drutu kolczastego. Biegły w obu kierunkach, ginąc w oddali. Tuż przed drutami w regularnych odstępach rozmieszczono grupy żołnierzy, a co kilkaset metrów stał samochód pancerny. Po środku jezdni dwa czołgi blokowały dalszy przejazd. Gdy Stalwart podjechał bliżej, drgnęły i zjechały na pobocze.

Saracen także zjechał na pobocze i zatrzymał się. Przestrzeń pomiędzy czołgami kojarzyła się Wilsonowi z rozwartą groźnie paszczą olbrzyma. „Porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy tędy wjeżdżacie...” — pomyślał ponuro.

— No cóż, powodzenia — dobiegł ich przez radio nienaturalnie jowialny głos Baxtera. — Tutaj moja droga się kończy, ale duchem będę cały czas z wami.

— Nawet nie wie pan, ile to dla mnie znaczy — powiedział do mikrofonu Slocock.

Baxton zignorował sarkazm, którym okraszona została ta uwaga.

— Nie zapominajcie meldować się co pół godziny na tej częstotliwości. Informujcie o każdym wypadku zagrożenia. Do widzenia i powodzenia.

— A więc w drogę — powiedział Slocock. Pociągnął łyk z trzymanej między kolanami butelki i włączył bieg. Stalwart ruszył do przodu i przejechał wolno tuż obok czołgów. Tym razem nikt nie machał na pożegnanie.

## Rozdział dwunasty

— Piękny dzień — zauważył Wilson wpatrując się w bezchmurne, błękitne niebo.

— Uważaj na tę cholerną drogę! — warknął Slocock.

Jechali już przeszło pół godziny. Slocock początkowo zamierzał sam prześiedzieć całą drogę za kierownicą, ale doszedł w końcu do wniosku, że Wilson powinien poznać zasady manewrowania Stalwartem. Poinstruował go nawet, jak operować konsolą zdalnego sterowania bronią, chociaż Wilson zastrzegł się, że nikt go nie zmusi by jej dotknął.

Pomimo, że nie była to najkrótsza droga do Londynu, jechali wzdłuż A449 w kierunku Worcester, omijając skupiska chaosu, jakimi z pewnością stały się Birmingham i Coventry. Na północ od Worcester mieli zamiar dostać się na M 5 — jeżeli będzie przejezdna — i ruszyć w stronę Gloucester. Potem, przejeżdżając przez A40 i M40, udaliby się już prosto do Londynu, robiąc przy okazji szeroki objazd dookoła Oxfordu.

Wszystko wyglądałoby zadziwiająco normalnie, gdyby nie dziwny brak ruchu na drodze. Najgorsze okazały się pierwsze mile po drugiej stronie barykady. Na pierwsze ciała natknęli się niemal natychmiast. Były dosłownie wszędzie — leżały w poprzek jezdni, zwisały z okien roztrzaskanych kulami samochodów, widniały w beładnych stosach na poboczach.

Początkowo Slocock starał się je omijać, lecz było ich zbyt dużo. W końcu przestał nawet próbować. Wilson wzdrygał się za każdym razem, gdy koła najeżdżały na coś miękkiego.

Ciała leżące najbliżej drutów kolczastych były poczerniałe i częściowo zwęglone.

— Miotacze ognia — stwierdził ponuro Slocock. — Aby unieszkodliwić grzyby. I dużo im to dało, do cholery!

Na razie Wilson na żadnym z mijanych do tej pory ciał nie dostrzegł śladu grzybów.

Pół mili za barykadą wjechali w „strefę śmierci”, jak to określił Slocock. Był to pas zupełnie spustoszonej ziemi, na której nie rosło już nic. Część była poczerniała i wypalona, a część obsypana białym proszkiem, przypuszczalnie trucizną.

W pewnej chwili dostrzegli lecący tuż nad ziemią samolot, który zostawiał za sobą pióropusz żółtego dymu. A jeszcze później — lecz tym razem na szczęście dużo dalej — spostrzegli myśliwiec, rzucający napalm. . .

Przejechali obok paru wypalonych samochodów, które wciąż mieściły w sobie zastygłych w śmiertelnych pozach pasażerów. Biel zębów w rozwartych do krzyku ustach kontrastowała z czernią spalonego mięsa.

Przy takich okazjach Wilson był rad, że Kimberley nie siedzi tutaj razem z nimi. Gwałtowne ruchy samochodu sprawiły, iż zrobiło jej się nagle niedobrze i poszła się położyć do przedziału mieszkalnego.

Obaj mężczyźni czuli się nieswojo, wjeżdżając coraz głębiej w „strefę śmierci”. Chociaż wiedzieli, że Siły Powietrzne wiedzą o ich przyjeździe, to jednak nie mieli żadnej gwarancji, że jakiś krewki pilot nie pokropi ich napalmem lub nie poczęstuje rakieta.

Sloccock nacisnął pedał gazu. Szybka jazda okazała się jednak nadzwyczaj niebezpieczna, ponieważ gładka nawierzchnia drogi była kompletnie zrujnowana, a w paru miejscach zniknęła zupełnie — zastąpiły ją szerokie leje po bombach. W takich wypadkach Sloccock zmuszony był zwalniać i objeżdżać je ostrożnie dookoła.

Wreszcie dostrzegli przed sobą pas zieleni i z ulgą stwierdzili, że opuszczają już to przynębiające pustkowie.

Po drugiej stronie „strefy śmierci” minęli dużą grupę zrozpaczonych ludzi, którzy siedzieli nieruchomo na ziemi tuż obok zaparkowanych byle gdzie samochodów. Najwidoczniej nie zdecydowali się podjąć ryzyka przekroczenia strefy lub też słyszeli o tym, co ich czeka po drugiej stronie.

Większość wpatrywała się po prostu w mknącego pełną szybkością Stalwarta. Niektórzy wydawali się zaskoczeni faktem, że jedzie on w złym kierunku. Inni widząc symbol znienawidzonego już powszechnie wojska potrzásali gniewnie pięściami.

Po chwili, gdy droga przed nimi wyglądała na nieuszkodzoną, Sloccock zasugerował, a raczej zakomenderował, by Wilson zajął miejsce za kierownicą.

W chwili obecnej Wilson prowadził już od przeszło piętnastu minut i jazda zaczęła mu nawet sprawiać pewną przyjemność. Było to dość absurdalne, zważywszy na okoliczności.

— Dobra, wystarczy — powiedział nagle Sloccock. — Zrób mi miejsce. Dojeżdżamy do Kidderminster.

Gdy Wilson zwolnił miejsce za kierownicą, postanowił sprawdzić, co słychać u Kimberley. W tym celu musiał przejść przez gruby właz, oddzielającyabinę kierowcy od przedziału mieszkalnego. Jednak zdjęcie wszystkich zabezpieczeń okazało się zbyt pracochłonne, więc zamiast tego pstryknął w przełącznik interkomu.

— Cześć, Kimberley! Jak się czujesz?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili, w dodatku z wyraźną irytacją w głosie:

— Właśnie zasypiałam.

— Och — spojrzał na Slococka i dostrzegł wykwitujący na jego wargach szycerczy uśmiech. — Przepraszam. Czujesz się już lepiej?

— Nie. Gdzie jesteśmy?

Powiedział jej, że zbliżają się do Kidderminster. Dziewczyna odparła, iż kładzie się spać i nie życzy sobie, aby ją ponownie budzono. Chyba że wydarzy się coś naprawdę ważnego. Wilson westchnął i wyłączył interkom.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W końcu Wilson wskazał na butelkę, wystającą pomiędzy ud Slococka niby szklany fallus.

— Mogę golnąć sobie drinka?

— Odwał się — warknął Slocock.

Wilson przez chwilę zastanawiał się, czy był to żart.

— A więc tak czy nie? — zapytał w końcu.

— Słuchaj, kolego, zostały mi już tylko cztery butelki.

— To dużo.

— Ale nie dla mnie. Piję sporo, a diabli wiedzą, kiedy uda mi się uzupełnić zapasy. A więc jak na razie nie mam najmniejszego zamiaru marnować na ciebie nawet kropli.

— Nie lubisz mnie, prawda?

Slocock roześmiał się krótko.

— Wy, intelektualści, naprawdę jesteście bystrzy. Tak, masz rację. Nie lubię cię. Moja robota polega na upewnieniu się, że pożyjesz wystarczająco długo, aby wykonać swoją robotę. A potem... no cóż, zobaczymy.

Wilson zszokowany zdał sobie sprawę, że Slocock wypowiedział właśnie coś w rodzaju groźby. Lecz jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że w sumie niewiele go to obchodzi. Było tyle innych rzeczy, nad którymi musiał łamać sobie głowę.

— No cóż, Flannery w takich sytuacjach zwykł był mawiać: „Pieprz się, koleś!”

Slocock chrząknął.

— Kim, do diabła, jest ten Flannery?

— Stary przyjaciel.

— Wygląda na faceta z jajami. Lecz gdziekolwiek on w tej chwili się znajduje, jest to i tak za daleko, aby ci pomóc.

— I tu się mylisz. Jest bliżej, niż ci się wydaje — powiedział uśmiechając się Wilson.

Dla bezpieczeństwa ominęli Kidderminster szerokim łukiem, chociaż samo miasteczko sprawiało wrażenie kompletnie opuszczonego. Slocock zjechał z drogi i ruszył na przełaj przez pola, krusząc po drodze drewniane płotki.

Wilson zamrugał nerwowo, słysząc huk pękającego pod oponami drewna.



— Nie boisz się, że możemy złapać gumę? Zauważyłem, że nie zabraliśmy żadnych zapasowych kół.

— One są odporne na przebicie. Dętka zbudowana jest jak plaster miodu, z mnóstwem oddzielnych przegród wypełnionych azotem.

Bez większych trudności wrócili na A449 i skierowali się na południe, w stronę Worcester, gdy nagle natknęli się na idącą poboczem dziesięcioosobową grupę ludzi. Pięciu mężczyzn, dwie kobiety i trójka dzieci. Wilson spodziewał się, że Slocock przyspieszy i minie tę grupę tak jak pozostałe, lecz zamiast tego Stalwart nieoczekiwanie zaczął zwalniać.

— Dlaczego się zatrzymujesz?

— Spójrz na nich.

Lecz Wilson dostrzegł to, o czym mówił Slocock dopiero, gdy samochód zatrzymał się niespełna 20 jardów od nich.

Wszyscy byli ofiarami grzyba.

W porównaniu z doktorem Carterem nie wyglądało to groźnie, ale i tak było beznadziejne. Ich twarze pokryte były ciemnoniebieskim nalotem. Dzieci także. Taki sam ciemny błękit występował na ich dłoniach.

Wilson poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Cała grupa zatrzymała się, wpatrując w stojący nieruchomo samochód. Stanowili żywy obraz beznadziejnej rozpacz.

— Może moglibyśmy coś dla nich zrobić? — zapytał Wilson.

— Pewnie. Moglibyśmy zastrzelić te biedne pierdoły.

Wilson nie wziął tego poważnie, dopóki nie dostrzegł, że Slocock sięga do kontrolki zdalnego sterowania bronią.

— Oszalałeś!? — wrzasnął chwytając Slococka za ramię. — Nie rób tego! Pozwól im żyć!

— A po co? Oni i tak są już skończeni. A jeżeli przejdą nawet przez „strefę śmierci”, to i tak zginą przy barykadzie Baxtona. Wyświadczymy im tylko przysługę, uwalniając od tego paskudztwa.

— A ja ci mówię, żebyś ich zostawił! — nie dawał za wygraną Wilson.

Slocock spojrział na niego i wzruszył ramionami.

— No dobrze. Nie podniecaj się tak — wrzucił bieg i ruszyli.

— Wiesz frajerze, problem z tobą polega na tym, że jesteś zbyt miękki. Ale wkrótce dojrzejesz.

Gdy pojazd mijał nieruchomą grupę, Wilson przyjrzał się uważniej pleśni, która pokrywała ich twarze i dłonie. Unikał jednak spojrzenia im prosto w oczy.

Dwa tygodnie temu, rozmyślał ponuro, byli normalnymi, zdrowymi ludźmi. Dzięki niewielkiemu błędowi popełnionemu w jednym z laboratoriów w odległym Londynie, ich życie z dnia na dzień stało się przerażającym koszmarem. Byli żywymi śmiertelnymi...

Gdy zbliżali się już do Worcester, Wilson zaczął dostrzegać plamy niespotykanego koloru w tej części Anglii latem. Jaskrawo pomarańczowy, purpura, błękit i czerwień. . . to nie były barwy kwiatów. Pomarańczowy był najjaskrawszy, bardziej niż u nagietek i wydawał się wręcz złowrogo płonąć, a purpura przypominała raczej zgniliznę, niż coś, co w dalszym ciągu rośnie. Jednak najgorsze były szerokie pasy szarości. Przejechali przez pole, pokryte tym nieprzyjemnym kolorem. Cokolwiek tam rośło — żyto czy owies — w całości pokryte było grubą warstwą szarych kłaków.

— Witamy w ojczyźnie magicznego grzyba — mruknął Slocock i pociągnął serdecznie z butelki.

Widok ten uprzytomnił Wilsonowi, iż grzyby oprócz ludzi atakują wszystko, co żywe. Zasiewy i zapasy w całej Anglii zostały zniszczone, a to oznacza, że za parę miesięcy cały kraj stanie przed widmem klęski głodu. Ci, którym uda się przeżyć infekcję grzyba, najprawdopodobniej umrą z głodu. . .

W jakiś czas później ze strony, w której powinno leżeć Worcester, dostrzegli bijące w niebo słupy dymu.

— Wygląda, jakby coś tam płonęło — powiedział Slocock. Po przejechaniu jeszcze paru jardów zatrzymał się i sięgnął po lornetkę.

— Co tam się dzieje? — zapytał z niepokojem Wilson.

Dostrzegł w oddali ciemne punkty, lecz z tej odległości nie mógł ich rozpoznać.

— To konwój wojskowy. Cztery ciężarówki. Na przedzie dwa czołgi. I to te najnowsze, typu „Challenger”. Chyba będą próbować przedrzeć się przez barykadę. No, ale z tymi zabawkami mają spore szansę. Każdy z tych czołgów wyposażony jest w armatę Chobhama. . .

— A może spróbujesz się z nimi skontaktować? Mogą przecież podać nam informacje o warunkach, jakie panują na drogach aż do Londynu.

— Bardziej prawdopodobne, że po prostu rozniosą nas na strzępy. Nie mam zamiaru leżeć im w oczy — burknął Slocock i ponownie zjechał Stalwartem w pole. — Nadłożymy trochę drogi, ale na tym etapie warto zaryzykować.

Gdy samochód zaczął podskakiwać na nierównościach terenu, nagle zabręczał sygnał interkomu. Wilson nacisnął przycisk i usłyszał zaniepokojony głos Kimberley, pytającej, co się stało.

— Nic. Po prostu mały objazd. Wracaj do łóżka.

— Właśnie z niego wypadłam. To przypomina podróż w beczce po wodospadzie Niagara. Wchodzę do was. . .

— Jeszcze jej tylko brakowało — mruknął ze złością Slocock.

Wilson pomógł jej otworzyć ciężką, okrągłą pokrywę wjazdu. Ponieważ przeciskała się nogami do przodu, wylądowała pomiędzy nimi z głuchym łomotem.

— Dzięki — rzuciła. Dziewczyna pachniała potem, lecz był to zapach, który Wilsonowi wydał się dość przyjemny. Z ulgą spostrzegł, że wyglądała dużo lepiej. Była jeszcze troszeczkę blada, lecz przynajmniej przypominała już samą siebie.

— Nie uważam tego za dobry pomysł, abyśmy wszyscy znajdowali się tutaj równocześnie — zauważył Slocock. — Wystarczy maleńki otwór lub pęknięta szyba, a wszyscy natychmiast stajemy się ofiarami infekcji.

— A co mogłabym na to poradzić, będąc całkowicie odciętą w przedziale mieszkalnym? — zapytała Kimberley. — Byłabym tam zupełnie bezsilna.

— Ale przynajmniej czysta i nie zarażona, pani doktor — odparł Slocock, częstując ją jednym ze swych sugestywnych uśmiechów. — I jest sporo rzeczy, które mogłabyś zrobić. Na przykład mogłabyś ubrać się w kombinezon i przynieść nam dwa pozostałe. Co prawda, nam nie sprawiłoby to większej różnicy, ale ty mogłabyś się od nas odizolować...

Wilson stuknął palcem w grubą szybę i zauważył:

— Wydawało mi się, że to specjalne szkło. Kuloodporne i tak dalej...

— Bo jest. Ale to nie znaczy, że może wszystko wytrzymać.

Kimberley spoglądała na przesuwający się za oknami krajobraz.

— Gdzie my właściwie jesteśmy?

— Według mapy to powinno być Fernhill Heath. Jadę na przełaj w stronę szosy M5 — wyjaśnił Slocock.

— Dostrześliśmy zbliżający się w naszą stronę uzbrojony konwój — dodał Wilson. — I sierżant pomyślał, że będzie najrozsądniej, gdy go ominie.

— No cóż — powiedziała spokojnie Kimberley. — A czy to, co widzę właśnie przed nami, nie wygląda na kolejny oddział żołnierzy?

— Cholera, ona ma rację — mruknął Slocock i zwolnił.

Teraz i Wilson spostrzegł linię uzbrojonych mężczyzn, wyłaniających się spośród pobliskich drzew. Nie zauważył ich wcześniej, ponieważ wszyscy nosili stroje maskujące i ukrywali się między gałęziami. Paru z nich machało rękami.

Slocock zatrzymał pojazd i przez kilka chwil siedział nieruchomo, bębniąc jedynie palcami o kierownicę.

— To mi się nie podoba — powiedział w końcu. — Jest ich przeszło trzydzieści i paru z nich uzbrojonych w wyrzutnie rakiet przeciwpancernych. Mogą nam sprawić trochę kłopotów.

— Czego oni właściwie chcą? — zapytał Wilson. — Przecież to żołnierze, a to jest samochód wojskowy. Nie mogą wiedzieć, że przybywamy z zewnątrz.

— Może i nie — zauważył kwaśno Slocock.

Najliczniejsza grupa żołnierzy zatrzymała się 50 stóp przed Stalwartem, lecz czterech z nich szło wciąż do przodu.

Gdy podeszli wystarczająco blisko, Wilson doznał nagłego wstrząsu. To, co brał za pokrywającą ich mundury, twarze i dłonie farbę kamuflującą, w rzeczywistości

stości okazało się grzybem. I nie nosili żadnych mundurów. Zamiast tego ich całe ciało pokryte było zielonymi, czarnymi i brązowymi plackami pleśni.

— Dobry Boże — wyszeptała wstrząśnięta Kimberley.

Czwórka mężczyzn, przez całą drogę machała rękami i była już nie dalej niż 20 jardów od stojącego nieruchomo Stalwarta. Jeden z nich coś krzyczał, lecz kabina była dźwiękoszczelna. Slocock pokręcił głową na znak, że nie rozumie. Jeden z nich gestami nakazał, aby wyszli z pojazdu. Być może się uśmiechał, lecz bogata kolorystyka jego twarzy uniemożliwiała stwierdzenie czy na pewno.

— Pieprz się, koleś — mruknął Slocock i potrząsnął odmownie głową.

Czwórka mężczyzn rzuciła się na ziemię i sięgnęła po broń. W tym samym czasie rząd ludzi za nimi otworzył ogień. Rozległo się parę ostrych trzasków, gdy kule z przeraźliwym wizgiem odbijały się od opancerzonej kabiny Stalwarta. Nagle — ku przerażeniu Wilsona — na przedniej szybie pojawiły się dwie długie, zygzakowate rysy. Osunął się na siedzeniu spodziewając się, że szkło pryśnie lada sekunda. . .

Slocock zaklął i sięgnął do konsoli sterowania ogniem. Nacisnął czerwony guzik. Umieszczony na dachu kabiny GEC zaczął wydawać odgłos przypominający mechaniczną kosiarkę.

Tuż przed czwórką leżących mężczyzn wykwitły niewielkie gejzery piachu. Nagle wszyscy zaczęli rzucać się gwałtownie, gdy pociski z karabinu maszynowego przygoździły ich do ziemi.

— Strzelaj z drugiego karabinu, prędko! — polecił Slocock.

Wilson z wahaniem sięgnął do konsolki kierowniczej ciężkiego karabinu maszynowego. Sama jednostka sterownicza przypominała zmniejszoną wersję peryskopu łodzi podwodnej. Po obu stronach miała wystające uchwyty. Manewrując nimi w górę i w dół regulowało się kątem podniesienia lufy, a obrót całego peryskopu powodował odpowiedni obrót całej podstawy, na której zamontowany został karabin. Podziałka na okularze peryskopu odpowiadała muszce na lufie karabinu.

Wilson spojrzał na okular i dostrzegł przybliżony obraz postrzępionej linii ludzi, którzy do nich strzelali.

— Strzelaj, dupku, strzelaj! — wrzeszczał Slocock. — Zanim nie przypieprzą w nas coś solidniejszym!

Slocock kierował właśnie strumień pocisków ze swego karabinu na kolejnych mężczyzn. Dwu z nich natychmiast upadło, lecz pociski w dalszym ciągu niepokojąco uderzały o pancerz. Brzmiało to jak grad.

Wilson trzymał kciuk tuż nad przyciskiem otwierającym ogień, lecz wciąż nie mógł się zmusić, aby nacisnąć. Nagle usłyszał, że karabin Slococka krztusi się i zapada cisza.

— Chryste, skończyła mi się amunicja! Strzelaj, Wilson, i niech cię diabli porwą!

Lecz Wilson wciąż nie był w stanie nacisnąć spustu.

W następnej chwili poczuł, jak ktoś szarpie go gwałtownie do tyłu. Slocock wychylił się ponad Kimberley, odepchnął Wilsona na bok i przywarł do okularu.

Ciężki karabin maszynowy otworzył ogień.

Wilson dostrzegł, jak ciała kilku mężczyzn podskakują i okręcają się w powietrzu, gdy dosięgnął je strumień pocisków. Pozostali zaczęli wycofywać się za zasłonę drzew.

Slocock nie wstrzymywał ognia, rozsiewał pociski wzdłuż całego rzędu wycofujących się bezładnie mężczyzn. Kilku upadło. I jeszcze kilku. W końcu na nogach nie pozostał żaden. Kilka ciał leżało na ziemi skręcając się w agonii, a paru próbowało odczołgać się na bok.

Slocock nie wstrzymywał ognia.

Wilson odwrócił się chcąc powiedzieć, aby przestał strzelać, ale jedno spojrzenie na twarz Slococka ostrzegło go, by dał sobie z tym spokój.

Nawet gdy wszystkie ciała leżały już zupełnie nieruchomo, Slocock wciąż strzelał. Nie przerwał, dopóki w karabinie nie zabrakło amunicji.

Wilson już wiedział, dlaczego Slocock zgłosił się do tej misji na ochotnika.

## Rozdział trzynasty

— Ty głupi sukinsynu! Prawie nas zabiłeś! Następnym razem, kiedy ci powiem, żebyś strzelał, to strzelaj, rozumiesz!? — pieklił się Slocock. Sprawiał wrażenie, że z przyjemnością dołożyłby Wilsona do sterty leżących przed samochodem ciał.

Wilson także dygotał, chociaż sam nie wiedział, czy było to spowodowane strachem, szokiem czy po prostu odrazą.

— Przepraszam — mruknął. — Ale nie jestem przyzwyczajony do zabijania ludzi z karabinu maszynowego. Nie mam twojej praktyki.

Slocock spojrział na niego zmrużonymi niebezpiecznie oczyma. Po chwili powiedział już dużo spokojniejszym tonem:

— No cóż, frajerze, lepiej się tego naucz, jeżeli chcesz przeżyć.

Wilson spojrział na Kimberley oczekując wsparcia, ale dziewczyna wpatrywała się przed siebie pustym wzrokiem. Wyglądała, jakby była w szoku.

— Wszystko w porządku? — zapytał zaniepokojony. Wolno skinęła głową i spojrzała na Slococka.

— Jak myślisz, dlaczego nas zaatakowali?

— Sądzę, że chodziło im o nasz pojazd. Albo o zapasy żywności. Jednak o cokolwiek im chodziło, nie użyli rakiety, dopóki nie było za późno — obrzucił Wilsona wymownym spojrzeniem.

Ten wskazał na zygzakowatą rysę na szybie.

— Sądziś, że cała pękła?

— Nie. Tylko zewnętrzna warstwa. Mieliśmy szczęście — odwrócił się i zaczął odkręcać właz. — Ubiorę się w skafander i wyjdę uzupełnić amunicję. Sprawdzę też, czy podczas tego ostrzału nie odnieśliśmy jakichś poważniejszych uszkodzeń.

Pokrywa włazu zatrzasnęła się za nim. Wilson odwrócił się do dziewczyny.

— I co z nim zrobimy?

Przez pewien czas nie odpowiadała.

— On jest w porządku — powiedziała wreszcie. — To przez ciebie nieomal zginęliśmy.

Zaskoczony, spojrział na nią szeroko otwartymi oczyma.

— Żartujesz? Po czymś takim bierzesz jego stronę? Kimberley, ten człowiek to czysty psychopata! Powiedziałem ci przecież, co mówił o nim Baxton. Wszystko się sprawdza.

— Przed chwilą uratował nam życie. Jest naszą jedyną szansą na pomyślne dotarcie do Londynu. Potrzebujemy go.

— Ale to było przecież masowe morderstwo!

— Raczej samoobrona. A zresztą nie możemy bez końca przejmować się ludźmi, którzy i tak skazani są już na śmierć.

— I to mówi lekarz!

Westchnęła.

— Nie bądź naiwny. W końcu robimy to wszystko dla dobra ogółu, pamiętasz?

Miała zamiar spierać się dalej, ale nagle na konsolcie rozbłysła czerwona lampka. Wilson przełączył radio na odbiór i usłyszeli głos Slococka, który mówił właśnie do wbudowanego w skafander mikrofonu:

— Jestem już na zewnątrz. Wchodzę na dach. Miejcie oczy otwarte i uważajcie na każdy, najmniejszy nawet ruch. Wołajcie, gdybyście dostrzegli bodaj opadający liść.

Oboje słuchali kroków krzątającego się na dachu Slococka. Przed pojazdem było pusto. Wilson z ulgą stwierdził, że żadne z porozdzieranych kulami ciał nie przejawia już najmniejszych oznak życia.

Slocock skończył wreszcie przeładowywać magazynki. Zszedł na ziemię i obszedł samochód dookoła, ukazując się w końcu tuż przed nimi. Obserwowali jak w białym, niezgrabnym kombinezonie zgina się w pół i znika z pola widzenia, oglądając podwozie.

Po chwili ponownie usłyszeli przez radio głos Slococka:

— Niech jedno z was zapali silnik, dobrze?

Wilson miał już precyzyjnie się obok Kimberley, gdy ta odpowiedziała:

— Ja to zrobię — i zajęła miejsce w fotelu kierowcy. Włączyła zapłon. Silnik zajęczał, ale nie zapalił.

Co się stało? — zapytała Slococka.

— Nie wiem — jego odpowiedź nie brzmiała zbyt optymistycznie. — Mamy tutaj trzy cholerne dziury. Jakiś drań musiał strzelać pociskami wybuchowymi. A pod samym silnikiem jest ogromna kałuża oleju.

Chcesz przez to powiedzieć, że utknęliśmy? — zapytał zaniepokojony Wilson.

— Nie wiem, dopóki nie przyjrę się temu bliżej. Mamy zapasowe części i narzędzia — być może będę mógł to naprawić. Lecz będą kłopoty ze zdjęciem pancernej obudowy silnika.

— Cholera! — zaklął Wilson. Myśl o pieszej wędrówce do Londynu napawała go rozpaczą i grozą. Zajęłaby kilka dni. A zresztą, nigdy by się to nie udało, gdyby mieli na sobie te piekielne kombinezony. . .

— Znasz się na silnikach, Wilson? — zapytał nagle Slocock. — Będę potrzebował pomocy.

— Nie. Jestem zupełnie bezradny przy urządzeniach mechanicznych. Nie potrafię nawet zmienić taśmy w maszynie do pisania bez. . .

— Ja ci pomogę — przerwała Kimberley. — Tam skąd pochodzę, jeżeli nie potrafisz poradzić sobie z własnym samochodem, to możesz utknąć gdzieś na ładnych parę dni.

— Dobra dziewczynka. Wskakuj w kombinezon i wyłaź stamtąd. I przynieś przy okazji skrzynkę z narzędziami. Wilson, karabiny są ponownie naładowane. Jeżeli zobaczysz, że coś się zbliża, to po prostu strzelaj, zrozumiałeś?

— Tak, zrozumiałem — odparł niechętnie Wilson. — Uważaj na siebie — dorzucił pod adresem Kimberley, która otworzyła już właz i zamierzała się w niego wśliznąć.

— Och, daj spokój, Barry — odparła z lekkim grymasem. — Zachowaj te frazesy do swoich książek.

Głęboko dotknięty, przez dobrą chwilę zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu dziewczyna przeszła przez właz i zatrzasnęła za sobą pokrywę.

Prawie godzinę siedział wrząc z gniewu, a Kimberley ubrała się w kombinezon i dołączyła do Slococka. Przez chwilę słuchał ich rozmowy, gdy szarpali się z osłoną pancerną. Gadanie o silnikach spalinowych i pompach wtryskowych znudziło go wkrótce, więc wyłączył radio.

W kabinie stawało się coraz bardziej duszno. Nie było tu żadnego klimatyzatora, a jedyny otwór wentylacyjny znajdował się w przedziale mieszkalnym, który w razie niebezpieczeństwa mógł zostać natychmiast zamknięty. Wilson postanowił pozostawić właz otwarty, aby choć odrobinę poprawić cyrkulację powietrza.

Tęsknił za papierosem, lecz wiedział równocześnie, że w tak zamkniętym środowisku jest to zupełnie wykluczone. A jeszcze te cylindry z czystym tlenem. . .

O 11.30 Slocock i Kimberley wrócili, aby coś wypić i zjeść. Wilson wszedł razem z nimi do przedziału mieszkalnego, aby pomóc im wydostać się z kombinezonów, które silnie pachniały środkiem odkażającym.

— Czy to uszkodzenie jest rzeczywiście poważne? — zapytał.

Slocock usiadł ciężko na koi i otarł twarz z potu.

— Bardzo poważne. Mamy wyciek oleju, a na dodatek nie działa pompa paliwowa. Chłodnica także ma dziurę, ale to już najmniejszy problem.

— Można to naprawić?

— Spróbujemy to jakoś załatwić. Martwi mnie pompa paliwowa. Nie jestem pewien, czy wytrzyma aż do Londynu.

— Jak długo potrwa naprawa?

Slocock wzruszył ramionami i spojrzał na Kimberley.

— Co najmniej cztery godziny — odpowiedziała dziewczyna. — A może więcej.



— A więc nie dotrzemy do Londynu przed nocą.

— Nie — zgodził się z nim Slocock. — Zanocujemy gdzieś po drodze. Nie uśmiecha mi się jazda w zupełnych ciemnościach. Diabli wiedzą, kogo jeszcze możemy spotkać.

W dość ponurych nastrojach posilili się zimną wołowiną z puszki i kawą. Po skończonym posiłku Kimberley dała im kolejny zastrzyk megacryny, a potem wśliznęła się w kombinezon. Wilson powrócił na swe miejsce obserwacyjne w kabinie.

Zanim Slocock wyszedł na zewnątrz, Wilson zapytał go, czy nie powinni powiadomić o wszystkim Baxtona. Slocock zbył ten pomysł pogardliwym wzruszeniem ramion.

— Pieprzyć Baxtona. Po co marnować czas na rozmowy z nim, czy z kimkolwiek, kto jest na zewnątrz. I tak nie są w stanie nam pomóc. Będziemy nadawać wtedy, gdy uzyskamy jakieś naprawdę istotne informacje. Na razie niech siedzą i ogryzają paznokcie. Zasłużyli sobie na to.

W kabinie było cieplej niż poprzednio. Wkrótce cała koszula Wilsona przesiąknęła potem.

Co jakiś czas podnosił do oczu lornetkę i rozglądał się uważnie dookoła. Jednak wszystko pozostawało bez zmian.

Nagle, podczas jednej z takich obserwacji, zauważył coś dziwnego. Spojrzał przypadkowo na jedno z ciał leżące w dość dużej odległości i spostrzegł, że przechodziło właśnie swoistą metamorfozę.

Pokrywał je grzyb już tak gruby, że nie wiadomo było, co właściwie skrywa.

Zaskoczony, przyjrzał się ciałom leżącym bliżej samochodu. One także zmieniły swój kształt. Wyglądały, jakby owinięte były w grube, puszyste koce.

Włączył radio i powiadomił o tym fenomenie swoich towarzyszy na zewnątrz. Do tej pory byli zbyt zajęci, by rozglądać się dookoła, lecz teraz jedna z odzianych białą postaci podeszła w stronę najbliższego ciała i uklękła.

— Fascynujące — dobiegł go wkrótce głos Kimberley. — Wydaje mi się, że grzyb przechodzi właśnie jakąś mutację. Gdy organizm gospodarza jest martwy, zmienia się z formy pasożytniczej w saprofit.

Wilson zamrugał gwałtownie, gdy spostrzegł, że dziewczyna wyciągniętą ręką dotyka lekko leżącego ciała.

— Ostrożnie, na miłość boską! — wrzasnął.

— Spokojnie. Nic złego mi się nie stanie. Powinieneś to zobaczyć, Barry. Tempo absorpcji tkanej jest wprost niesamowite. Niewiele już zostało, za wyjątkiem paru kości...

Wilson westchnął z ulgą, gdy Kimberley podniosła się wreszcie i powróciła do przerwanej pracy.

Czas mijał, Slocock i Kimberley zrobili kolejną przerwę i ponownie wrócili do naprawy. Mówili mu, że warunki pracy w tych kombinezonach są po prostu

fatalne. Było im gorąco, wizjer hełmu wciąż zaparowywał. Grube rękawice nie nadawały się do precyzyjnych czynności manualnych. I w dodatku ta ciągła obawa przed przebicciem, czy rozdarciem skafandra.

O czwartej po południu warunki w kabinie stały się już tak nieznośne, że Wilson ze wszystkich sił musiał walczyć, aby nie zapaść w sen. Dwukrotnie przechodził do przedziału mieszkalnego, by wpuścić do środka więcej tlenu, lecz bez większego efektu.

Właśnie zaczęła mu opadać głowa, gdy nagle kątem oka dostrzegł pomiędzy drzewami jakiś ruch. Rozbudzony, natychmiast sięgnął po konsolę sterowania ogniem ciężkiego karabinu maszynowego.

Przez wizjer zobaczył coś monstrualnego, co szło prosto w kierunku samochodu. Poruszało się na czterech nogach i było bardzo duże. Miało masywną, niekształtną głowę i zdawało się być pokryte futrem, którego całe pasma zwisały z boków jak kiście morskich wodorostów.

Wilson, tym razem nie wahając się ani chwili, nacisnął przycisk otwierający ogień. Początkowo nie wycelował dokładnie i ognisty strumień ominął nadchodzący obiekt, lecz szybko wziął poprawkę i zasypał stwora gradem wielkokalibrowych pocisków.

Dziwaczna postać zaryczała głośno, a po chwili przednie nogi ugięły się i stwór przewrócił się bezwładnie na bok. Przez kilka sekund wierzgał gwałtownie, aż w końcu znieruchomiał. Wilson nie przestawał strzelać.

— W porządku, Wilson, to już nie żyje! — dobiegł go przez radio okrzyk Slococka. — Przestań marnować amunicję!

Wilson zdjął palec z czerwonego guzika i wziął głęboki oddech. Nagle zdał sobie sprawę, że drży.

— Co to było, do diabła?

Kimberley i Slocock podeszli do leżącego stwora. Przez chwilę panowała cisza, aż nagle Slocock roześmiał się i powiedział:

— Moje gratulacje, Wilson. Właśnie zastrzeliłeś krowę.

— Krowę? — przez dłuższą chwilę nie mógł uwierzyć, że ten upiorny stwór okazał się zwykłą krową.

— Jest cała porośnięta jakimś grzybem. Musiało to ją doprowadzać do szaleństwa. Następnym razem, Sokole Oko, nie marnuj tyle amunicji.

Wilson nagle poczuł, jak satysfakcja płynąca z dobrze wykonanego obowiązku opuszcza go. Przez moment wydawało mu się, że uratował im życie, a teraz czuł się po prostu głupio.

Slocock śmiał się z niego, a podejrzewał, że Kimberley także.

Skończyli prace nad silnikiem dobrze po siódmej wieczorem. Gdy weszli do środka i zdjęli wreszcie kombinezony, wyglądali na zupełnie wyczerpanych.

— Mój Boże, ależ śmierdzą — westchnęła Kimberley spoglądając z niesmakiem na swą przepoconą koszulkę.

— Oddałabym wszystko za dobry prysznic. Lub przynajmniej za pełną miskę wody.

Wilson nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić wygłodniałym spojrzeniem na miękki zarys jej piersi. Pod cienkim materiałem jej sutki były doskonale widoczne. Przez chwilę żałował, że Slocock nie pozostał na zewnątrz.

— Nie możemy marnować wody — mruknął Slocock. — Musisz się przyzwyczaić do własnego smrodu.

— A co z silnikiem? — zapytał Wilson.

— Pięćdziesiąt procent szans na pomyślne dotarcie do Londynu — odparł wzruszając ramionami Slocock. — Ale dzisiaj nigdzie już nie jadę. Jestem zbyt zmęczony. Postawię nasz autobus pod tymi drzewami, co powinno zapewnić nam jakąś ochronę, i idę spać. Wyruszamy jutro z samego rana.

Po zaparkowaniu samochodu pod osłoną drzew, zjedli kolejny posiłek, który składał się z konserwowanej wołowiny, sałatki jarzynowej i paru batonów czekolady. Potem Kimberley zaaplikowała im kolejny zastrzyk i zaczęli przygotowywać się do snu.

— Kim i ja zajmujemy koje — powiedział Slocock, wyciągając się na jednej z nich. — Zrobiliśmy najcięższą robotę. Ty odgrywałeś jedynie Buffalo Billa.

Wilson, wściekły, miał właśnie zaprotestować, gdy nagle zdał sobie sprawę, że to bezcelowe. Spojrzał bezradnie na Kimberley, lecz dziewczyna wydawała się nie zwracać żadnej uwagi na deklarację sierżanta. Leżała po prostu nieruchomo, z zamkniętymi oczami, na drugiej koi.

— W porządku, a więc prześpię się w kabinie — powiedział zdawkowo Wilson, starając się nie pokazać, jak bardzo zaboląła go ostatnia uwaga Slococka.

— Nie będziesz spał, Sokole Oko. Będziesz siedział na warcie — powiedział Slocock. — Prześpisz się jutro rano.

Targnęła nim mordercza wściekłość, lecz niemal natychmiast zgasła. Widział, że Slocock ma rację. Ktoś musiał pozostać na warcie, a jasne było, że on jest najbardziej wypoczęty. Mruknął coś na pożegnanie i ruszył do kabiny. Kimberley była pogrążona we śnie.

— I postaraj się nie trzaskać drzwiami — powiedział Slocock, szczerząc zęby w uśmiechu.

Wilson usiadł na jednym z foteli czując absurdalną zazdrość. Był pewien — prawie pewien — że nie ma ku temu żadnych przekonujących powodów, lecz gdzieś w głębi duszy tkwił bolesny cierń.

Wmawiał sobie, że nedorzecznoscą byłoby, gdyby Kimberley pozwoliła się dotknąć takiemu typowi. Widział przecież dzielący tę dwójkę antagonizm. . .

A jednak dzisiejszego wieczoru ten antagonizm wydawał się zanikać. Przypominał sobie, jak broniła Slococka po tej bezsensownej strzelaninie rano.

I całe popołudnie pracowali razem. . .

A teraz nazwał ją „Kim”. . .

Wilson wytrwał godzinę, a potem — nienawidząc samego siebie — wcisnął guzik interkomu.

Prawie natychmiast usłyszał krzyk Kimberley. Brzmiał jak okrzyk bólu.

*Chryste, Slocock ją gwałci!*

Lecz zanim zdążył wstać i ruszyć jej na pomoc, zorientował się, że to nie był gwałt. Wręcz przeciwnie.

Wilson siedział zupełnie nieruchomo, zmrożony dobiegającymi z przedziału mieszkalnego odgłosami. Nie chciał tego słuchać. Każde jej słowo i jęk godziło w niego jak rozgrzany do czerwoności nóż. Ale nie miał też siły, by wyłączyć interkom.

— Och Boże... *tak*... mocniej... mocniej... no dalej, *zrań* mnie... *tak*... ohhhh — jej głos przeszedł w krzyk.

Wilsonowi wydawało się, że ten krzyk wydobywa się z jego własnego gardła.

\* \* \*

Spoceni, leżeli objęci ramionami na koi Slococka, oddychając ciężko. Slocock uśmiechnął się w duchu na myśl, że podczas tych igraszek musieli zużyć co najmniej pół cylindra tlenu. Warto było. I to jeszcze jak.

— Wiesz, doktorku, przed chwilą twoim udziałem stało się bardzo wyjątkowe przeżycie.

Dziewczyna niechętnie otworzyła oczy i spojrzała na niego zasnutym senną mgiełką wzrokiem.

— Mogę przyznać, że było to rzeczywiście dobre, ale z całą pewnością nie wyjątkowe.

— Nie o to mi chodzi. Spójrz — wskazał na swój członek, który wciąż imponująco naprężony spoczywał na jej biodrze. — Od dawna nie byłem w stanie tak go postawić.

Jej oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

— Naprawdę?

— Tak — skinął głową. — To właśnie jeden z powodów, dla którego Margie — moja żona — opuściła mnie. A właściwie główny powód — nie przeszkadzało mu, że opowiada o tym właśnie jej. W tej chwili był zbyt z siebie zadowolony, aby się tym przejmować.

— A więc skąd ta nagła poprawa?

— Sam nie wiem. Częściowo ty. I sytuacja... Po raz pierwszy od dłuższego czasu wzięło mnie naprawdę.

— To znaczy, że podnieca cię po prostu niebezpieczeństwo?

— Właśnie. Coś w tym rodzaju.

— Jesteś pełen niespodzianek, sierzancie.

— Ty także, pani doktor — to ona była tą, która wykonała pierwszy ruch. Przebudził się nagle i zobaczył, że stoi nago tuż obok jego koi. — Nie sędzę, abym był w twoim typie. I nie wydaje mi się, abyś lubiła to robić w taki właśnie sposób.

— W pewnym sensie jestem do ciebie podobna. Lubię być straszona. Lubię mężczyzn, którzy mnie przerażają. Wiem, że tak naprawdę nigdy nie byłiby w stanie wyrządzić mi krzywdy.

— Chcesz się czuć przerażona i bezpieczna jednocześnie?

— Właśnie. Możesz to tak ująć.

— A ja wiem, co ty chciałybyś ująć — położył jej dłoń na swym członku, wciąż wyprężonym w stanie pełnej erekcji. — A skąd możesz być taka pewna, że nie chcę cię właściwie skrzywdzić?

— Jestem pewna w dziewięćdziesięciu procentach. Pozostałe dziesięć czyni całą zabawę bardziej podniecającą.

Zamyślił się na chwilę.

— A wiesz, co mam zamiar z tobą zrobić?

— Nie. Powiedz mi.

Opisał jej całą scenę precyzyjnie i z detalami. Gdy skończył, skinęła głową.

— W mojej lekarskiej torbie znajdziesz pudełko wazeliny kosmetycznej — powiedziała. — Mam nadzieję, że uda ci się zużyć ją całą.

\* \* \*

Wilson wciąż słuchał, niezdolny do przerwania połączenia. Wyobrażenia na podstawie dobiegających z przedziału odgłosów tworzyła obrazy, które prawdopodobnie były i tak o wiele mniej obsceniczne od rzeczywistości.

Dźwięki te zaczęły doprowadzać go do zimnej, morderczej furii. Gdy sądził już, że za chwilę zacznie wrzeszczeć, ustały. Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszał chrapanie Slococka.

Wilson wyłączył interkom i siedział nieruchomo, pustym wzrokiem wpatrując się martwo w ciemność.

## Rozdział czternasty

Sloccock był ponownie w Belfaście.

Razem ze swoją jednostką znajdował się na Falls Road. Wszyscy byli w pełnym rynsztunku bojowym, używanym do walk z tłumem. Tuż za nimi wolno posuwał się samochód pancerny. Przed nimi falował złowrogi tłum. Głównie dzieciaki, zaledwie paru dorosłych mężczyzn. Wszyscy uzbrojeni w kamienie, cegły, kawałki płyt chodnikowych. . .

Ulewa pocisków uderzających o opancerzone boki Saracena stała się ogłuszającym grzmiotem. Co chwilę któryś z żołnierzy pomimo ochraniającego go hełmu otrzymywał bezpośrednie trafienie i zalany krwią odciągany był na tyły.

Sloccock spoglądał na wrogi tłum przez szczeliny w podniesionej wysoko tarczy. Zaciśnięty na spuście palec swędział go coraz bardziej. Gdyby można było otworzyć po prostu ogień. . .

Nagle od strony tłumy wzbił się w niebo pocisk odmiennego typu. Sloccock dostrzegł go, gdy wirował w powietrzu. Kątem oka zauważył złociste iskierki pożerające łapczywie krótki lont i poczuł, jak oblewa go fala zimnego strachu.

*Bomba zapalająca.*

Zawsze bał się ognia. To była jego słabość.

Sparaliżowany grozą nie mógł się poruszyć. Butelka z głośnym brzękiem roztrzaskała się tuż pod jego nogami. Oblał go strumień płonącej benzyny, zamieniając w żywą pochodnię. Krzyknął. . .

Obudził się, próbując dłońmi zdusić ogarniające ciało płomienie. Nagle spostrzegł, że jest nagi i leży na koi. . .

*Wciąż słyszał kamienie walące o pancierz samochodu!*

Gdy poderwał się gwałtownie, zapłonęło światło. Kimberley, także naga, wpatrywała się w niego ze strachem w oczach.

— Co się dzieje?

— Nie wiem — chwycił leżące na podłodze spodnie i zaczął je z pośpiechem wciągać.

Nagle pokrywa wjazdu uniosła się i zobaczyli twarz Wilsona. Jeżeli był zdziwiony, widząc Kimberley zupełnie naga, nie dał tego po sobie poznać.

— Jesteśmy otoczeni! — krzyknął. — Rzucają w nas ze wszystkich kierunków na raz, ale na zewnątrz nikogo nie widzę!

Sloccock podbiegł do wjazdu, odepchnął Wilsona i wśliznął się do kabiny. Zauważył, że Wilson pozapalał wszystkie światła. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Sadowił się na fotelu kierowcy, i wciąż widział niezliczoną ilość okrągłych obiektów, nadlatujących w ich kierunku gdzieś pomiędzy drzew. Dach i boki pojazdu wciąż rozbrzmiewały miękkimi pacnięciami. W końcu jeden z pocisków uderzył prosto w szybę. Rozprysnął się natychmiast, pozostawiając na szkle ogromną czerwoną plamę. Po chwili o szybę uderzył kolejny pocisk, a potem jeszcze jeden. Czerwona plama powiększała się szybko.

— Owoce! — krzyknął Sloccock. — Rzucają w nas jakimiś cholernymi owocami!

Chwycił konsolę mniejszego karabinu i zaczął dookoła siać pociskami. Lecz kanonada czerwonych, podobnych do przejrzałych pomarańczy „pocisków” nie ustawała.

Gdy skończyła się amunicja, zaczął strzelać z ciężkiego karabinu maszynowego.

— Czy nie możemy się stąd po prostu wynieść, do cholery? — wrzasnął Wilson.

To właśnie powinniśmy byli zrobić, pomyślał z goryczą Sloccock. Teraz było już na to za późno. Wskazał palcem na przednią szybę. Była prawie całkowicie pokryta czerwoną cieczą.

— Władujemy się na jakieś drzewo i utkniemy tu na dobre.

Strzelał, dopóki w drugim karabinie także nie zabrakło amunicji. Ostatnią serię wystrzelał, obracając lufą o pełne 360 stopni. Przecież paru z nich powinno zostać trafionych, a jednak ulewa pocisków nie ustawała. To go irytowało.

Nieoczekiwanie Wilson zaczął się uśmiechać. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozprysniętą na szybie rzecz i nagle parsknął śmiechem. Odwrócił się do Sloccocka.

— Wychodzę na zewnątrz.

— Zwariowałeś? Tam musi być cała armia.

— Cała armia — powtórzył uśmiechając się wciąż Wilson. — Ale nie ludzi. Nie ma tu ani jednego człowieka.

— O czym ty pieprzysz?

Wilson nie powiedział już niczego więcej. Zaciekawiony i rozdrażniony równocześnie, Sloccock poszedł za nim do przedziału mieszkalnego. Kimberley — już całkowicie ubrana — zapytała, co się dzieje.

— Na zewnątrz mamy parę setek ludzi, którzy rzucają w nas kulami pełnymi jakiegoś czerwonego świństwa. Nasz Buffalo Bill twierdzi, że to tylko iluzja.

Wilson kończył zakładać kombinezon. Zanim założył hełm, zapytał:

— Idziesz ze mną, sierzancie, czy będziesz się krył przez resztę nocy?

Sloccock niechętnie ubrał się w kombinezon. Gdy zdjął ze stojaka z bronią jeden z karabinów, Wilson pokręcił przecząco głową.

— Nie będzie ci to potrzebne.

— O tym już ja zadecyduję, jeżeli pozwolisz — odparł Sloccock sprawdzając, czy magazynek jest pełny.

Wilson wyszedł pierwszy, ściskając w dłoni jedynie potężną latarkę.

Gdy Sloccock pokonał wreszcie służę powietrzną i wyszedł na zewnątrz, dostrzegł, że Wilson stoi parę metrów dalej i kieruje snop światła na coś leżącego na ziemi. W tej samej chwili poczuł silne uderzenie w żołądek. Zaskoczony jęknął i zgiął się w pół.

— Odsuń się od samochodu! — przytłumiony głos Wilsona dobiegł go z zamontowanego w skafandrze odbiornika. — Myślę, że przyciąga je ciepło. Uważaj na wizjer w hełmie.

Zgięty w pół, osłaniając jedną ręką wizjer, Sloccock podszedł wolno do stojącego nieruchomo Wilsona.

— Spójrz! — w głosie pisarza brzmiała wyraźna nuta ekscytacji.

Sloccock spozrywał w dół i spostrzegł, że grunt pomiędzy drzewami pokryty jest grubym, żółtym dywanem. Nagle na jego oczach fragment porostu wybrzuszył się i ze środka wystrzelił jeden z obłych pocisków. Po chwili dostrzegł jeszcze jeden... I jeszcze...

— Co to jest, do diabła? — zapytał z niepokojem.

— *Sphaerobolus* — odparł Wilson z jakimś dziwnym zadowoleniem w głosie. Sloccock zaczął się zastanawiać, czy Wilson nie dostaje przypadkiem fioła.

— To grzyb, którego owocnia działa jak katapulta — ciągnął uszczęśliwiony Wilson. — Wewnątrz każdego owocnika znajduje się niewielki twór, zwany zarodnią. W tym wypadku jednak nie jest wcale taki niewielki. W tym okazy muszą mieć co najmniej pięć cali — uchylił się, gdy jeden z okrągłych pocisków wystrzelił prosto w jego kierunku. Wewnątrz owocnika zarodnia pływa w czymś w rodzaju cieczy. Znajduje się pod dużym ciśnieniem. Ciśnienie rośnie ze wzrostem owocnika i w końcu wewnętrzne ścianki pękają, z dużą siłą wyrzucając zarodnie na zewnątrz. W normalnych warunkach zarodnia jest w stanie pokonać dystans paru jardów, lecz te tutaj lecą dziesięć razy dalej. To fascynujące!

— Jak dla kogo! — warknął Sloccock. Nagłym ruchem podrzucił lufę karabinu i wystrzelił w grzyb długą serię pocisków. Wszedł głębiej i, gdy żółty porost zaczął sięgać mu nieomal kolan, odwrócił karabin i używając kolby jako maczugi rozpoczął dzieło niszczenia. Kolba zagłębiała się w gruby dywan z nieprzyjemnymi, głośnymi młaśnięciami. Wkrótce wokół nich zaczęły fruwać żółte fragmenty grzyba.

— Marnujesz tylko czas, Sloccock! Jest tego zbyt dużo! Musimy się stąd wynosić! — krzyknął Wilson.



Sloccock, waląc karabinem z furją godną szaleńca, szybko się zmęczył i pozwolił Wilsonowi odprowadzić się z powrotem do samochodu. Wilson uparł się, że pozostaną w komorze dezynfekcyjnej dopóty, dopóki nie upewnią się, że ich skafandry zostały całkowicie wyjałowione.

W przedziale mieszkalnym wyjaśnił całą sytuację Kimberley.

— Sądziłam, że zmutowane grzyby nie wydzielają zarodników — powiedziała w końcu.

— Być może ta odmiana jest wyjątkiem. Albo może nagle wszystkie zaczęły to robić. Jeżeli to prawda, to już przegraliśmy. Ale miejmy raczej nadzieję, że mechanizm katapultujący zarodnie uaktywnia się automatycznie, mimo że zarodniki nie są jeszcze w pełni uformowane.

— Ale dlaczego te cholerne rzeczy celują akurat w nasz samochód? — zapytał Sloccock.

— Być może promieniujące z samochodu ciepło uaktywniło mechanizm katapultujący. Dla grzyba ciepło w nocy oznacza gnijącą materię organiczną — po prostu żywność — a więc wysłała swe zarodniki w kierunku źródła ciepła.

— Bardzo to inteligentne — skrzywił się Sloccock.

— Konwencjonalne odmiany *sphearobolus* nie mają systemu celującego, prawda? — zapytała Kimberley.

— Nie. Rozsiewają zarodniki zupełnie przypadkowo. To, tutaj, jest zupełnym mutantem.

Gdy w samochód uderzył kolejny pocisk, dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Rośnie nieprawdopodobnie szybko — zauważyła. — O zmierzchu nie było nawet śladu tego grzyba.

— A więc co robimy? — zapytał Sloccock.

Wilson ze zdumieniem zauważył, że tym razem Sloccock pyta jego o zdanie. Ukrywając starannie płynące z tego faktu zadowolenie, odparł:

— Przypuszczam, że moglibyśmy oczyścić jakoś szybę, i spróbować odjechać dalej. Ale obszar pokryty tym grzybem jest całkiem spory. A więc sugeruję, abyśmy poczekali tutaj aż do rana. Być może ten reagujący na ciepło mechanizm uaktywnia się tylko w nocy.

Okazało się, że miał rację. Po dwóch kolejnych, szarpiących nerwy godzinach kanonada zaczęła ustawać, a w końcu ucichła całkowicie. Wilson i Sloccock ponownie ubrali się w kombinezony i wyszli na zewnątrz, by oczyścić przednią szybę i załadować magazynki karabinów. Stalwart sprawiał wrażenie, jakby obłany był czerwoną melasą. Jednak po bliższych oględzinach z ulgą stwierdzili, że tym razem nie odniósł żadnych poważniejszych uszkodzeń.

Po posiłku ponownie wyruszyli w drogę. Przejechali przez pozostałości Fernhill Heath i skręcili na południe, na M5. Autostrada wyglądała jak wymarła.

Po godzinie szybkiej jazdy skręcili na A40 w kierunku Cheltenham.

Gdy tam dojeżdżali po raz pierwszy dostrzegli w pełnej krasie zgubny wpływ grzyba na cywilizację. Chociaż nie wjechali jeszcze daleko w głąb obszaru zamkniętego, to jednak Wilsonowi wydawało się, że grzyby są dosłownie wszędzie. Pokrywały wiele domów. Z okien i dachów zwisały groteskowe żółte i brunatne kaskady, przypominające upiorne sople lodu.

Na ulicach nie było żadnych ludzi. Jednak Wilson dostrzegł ukryte w oknach twarze, wpatrujące się nieruchomo w przejeżdżający wolno samochód. Nie był w stanie przyjrzeć im się na tyle dokładnie, by stwierdzić, czy są ofiarami grzyba.

W miarę zbliżania się do centrum Cheltenham grzyba było coraz więcej. Z ła-twością rozprzestrzeniał się pomiędzy ciasną zabudową śródmieścia. Na niektórych budynkach jeden typ grzyba wydawał się dominujący. Budynki biurowe, pokryte jaskrawymi czapami muchomorów, sprawiały wrażenie żywcem przeniesionych z dziecięcych ksiązek z bajkami. Na innych widniały regularne pasy białej pleśni, a jeszcze inne wyglądały jak wytwór chorej wyobraźni szalonego plastyka.

Na ulicach zaczęli pojawiać się ludzie. Niektórzy usiłowali ukryć się widząc nadjeżdżający samochód, lecz większość po prostu przystawała i patrzyła. Wszyscy byli ofiarami grzyba. I to w o wiele większym stopniu niż ci, których widzieli poprzednio. Paru przypominało doktora Cartera — pokryci byli niby pancerzem, brunatnymi płytkami. . .

Slocock prawie stracił kontrolę nad samochodem na widok mężczyzny, który wydawał się mieć dwie głowy. Wilson spostrzegł, że ta druga „głowa” była gigantyczną, mechatą kulą, która wyrastała wprost z ramion.

Pojawienie się ich pojazdu wywołało niewielkie zainteresowanie. Tylko grupa nie wiadomo — mężczyzn czy kobiet — obrzuciła ich butelkami. Wilson zastanawiał się dlaczego? Czyżby drażnił ich widok wojskowego samochodu? A może świadomość, że gdzieś istnieli jeszcze ludzie, którzy nie są zaatakowani przez wszechobecnego tutaj grzyba? Pomyślał, że chyba to drugie.

Czasami nawierzchnię jezdni pokrywał żółty dywan. W niektórych miejscach warstwa grzyba była tak gruba, że wydawał się przyklejać do opon.

Nagle zobaczyli, że dalsza droga jest zablokowana przez gruzy budynku, który runął na ulicę. Slocock zatrzymał samochód i bez słowa wpatrywali się w pokryte zielonym kozuchem rumowisko.

To wygląda, jakby cegły i beton zostały po prostu wyjedzone. Ale jaki grzyb mógłby dokonać czegoś takiego? — zastanawiała się głośno Kimberley.

— Strzępki serpula lacrymans w poszukiwaniu wilgoci potrafią przebić się przez zaprawę murarską. Ta zmutowana wersja musiała robić to samo w tak szybkim tempie, że całe fundamenty po prostu rozsypały się. . .

Zalegające ulicę zwały gruzu nie stanowiły jednak poważniejszej przeszkody dla szerokich opon Stalwarta. Slocock ruszył i już po chwili znaleźli się po drugiej stronie rumowiska. Parę minut później mijali przedmieścia Cheltenham. Szosa przed nimi zdawała się już „czysta”.

Wilson ziewnął.

— Jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu, pójdę się teraz troszeczkę zdrzemnąć. Przez całą noc nie zmrużyłem oka.

— My także nie spaliśmy zbyt wiele — powiedział Slocock.

— Ale chyba trochę odpoczęliście — odparł Wilson uśmiechając się do Kimberley.

Przeszedł do przedziału mieszkalnego i zamknął za sobą włącznik. Kimberley powiedziała:

— Wydaje mi się, że on wie.

— A kogo to obchodzi? — parsknął Slocock. — Mnie wcale. A ciebie?

— Po prostu byłoby o wiele prościej, gdyby nie wiedział.

— Zależy ci na nim? — zapytał Slocock zerkając na nią z ukosa.

— Nie. Nie jest w moim typie.

Slocock wyciągnął dłoń i położył na jej kroczu. Ścisnął mocno. Dziewczyna syknęła z bólu i z rozdrażnieniem go odepchnęła.

— Nie rób tego.

— O, widzę, że nasza pani doktor jest dzisiaj nie w sosie — powiedział z rozbawieniem Slocock. — Nie chce już pamiętać, co robiła zaledwie parę godzin temu.

— To był jednorazowy kaprys. Nie wyobrażaj sobie, że to się jeszcze powtórzy.

Slocock szybkim ruchem chwycił ją za włosy. Jęknęła i usiłowała się uwolnić, ale bez skutku. Bez większego wysiłku przyciągnął jej głowę do swoich kolan. Ponieważ wciąż się opierała, szarpnął ją mocniej. Krzyknęła.

— Wiesz, co masz robić. I zrób to łagodnie. Jeżeli choć raz mnie ugryziesz, to cię oskalpuję.

Rozpięła zamek u spodni, wydobyła jego sterczącą w pełnej gotowości męskość. Gdy dotknęła go, zadrżał i powiedział chrapliwie:

— Muszę przyznać, że jesteś w tym prawdziwym ekspertem.

Jego słowa znalazły pełne potwierdzenie w ciągu kolejnych piętnastu minut. Parokrotnie doprowadzała go aż na sam skraj ekstazy, lecz gdy czuła, że za chwilę wybuchnie, wycofywała się i pozwalała mu ochłonać. Gdy doszedł w końcu do finału, spazm rozkoszy był tak wielki, że prawie zjechał samochodem do rowu.

Puścił ją. Wyprostowała się, rozpięła własne spodnie i zrzuciła je z nadspodziewaną gwałtownością. Okręcając się na fotelu, lewą nogę położyła mu w poprzek kolan, a prawą zarzuciła za szyję.

Spojrzał w dół.

— Nienasycona wiedźma — mruknął i zanurzył palce w miękki, wilgotny otwór.

Patrząc, jak ciałem wygiętej w łuk Kimberley zaczynają wstrząsać pierwsze, niekontrolowane spazmy, Slocock pomyślał, że jedyną dobrą rzeczą w całym tym kryzysie jest zupełny brak policyjnych patroli na drogach.

Wreszcie skończyli. Jechali w zupełnym milczeniu przez dłuższą chwilę. Slocock rzucał jej rozbawione spojrzenia. Obserwował, jak ponownie przybiera swą zwykłą, wyniosłą i chłodną pozę. Jedynym świadectwem tego, co wydarzyło się przed chwilą był lekki rumieniec na jej policzkach.

— Idę do tyłu — powiedziała w końcu. — Muszę skorzystać z toalety.

— Nie obudź Buffalo Billa. Im mniej go oglądam, tym lepiej.

Kimberley odsunęła właz i jęknęła:

— Och, mój Boże...

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Slocock odwrócił głowę.

Po drugiej stronie otwartego włazu widniała zbita masa żółtego grzyba.

## Rozdział piętnasty

Wilson był zupełnie nieświadomy, że jest właśnie konsumowany przez grzyb. Spał, gdy dywan żółtego mchu zaczął pokrywać przedział mieszkalny.

Wkrótce grzyb pochłoniął Wilsona całkowicie. Na szczęście jego struktura była na tyle porowata, że pisarz nie miał trudności z oddychaniem. Wciąż spał, gdy grzyb przyswajał jego ubranie i koc, którym był okryty. To samo stało się z pozostałymi substancjami organicznymi, których sporo było w przedziale mieszkalnym.

Gdy ubranie Wilsona stało się już jedynie wspomnieniem, bezustannie rosnące strzępki usunęły każdy włos z jego ciała i wsunęły się we wszystkie naturalne otwory. W ustach cienkie, podobne do nitki, strzępki wyczyściły zęby z resztek jedzenia; wtargnęły w odbytnicę i zaczęły posuwać się w górę jelita grubego, absorbując po drodze wydaliny; oczyściły uszy z wosku i usunęły z nozdrzy zaschnięty śluz.

Gdy grzyb rozpoczął proces absorpcji martwego naskórka, Wilson obudził się.

Jego pierwszym, w pełni świadomym wrażeniem było nieznośne swędzenie całego ciała.

Otworzył oczy, lecz ze zdumieniem stwierdził, że pomieszczenie pozostało ciemne. Najwidoczniej był czymś okryty. Ale to coś było wszędzie — w jego uszach, nosie. . .

Wpadł w zwierzęcą panikę. Wierzgnął nogą i spróbował rozłożyć ramiona, ale przypominało to pływanie w gęstym syropie. Napinając rozpaczliwie wszystkie mięśnie zaczął się dziko szarpać, usiłując zerwać z siebie tę miękką, lecz krępującą go niezwykle skutecznie substancję.

Nagle poraził go snop światła. W chwilę potem usłyszał zdumiony głos:

— Chryste, on ciągle żyje!

Tuż nad nim stał Slocock, ściskając w garści ręcznik. — Po chwili do przedziału weszła Kimberley i pomogła Wilsonowi zdjąć okrywającą go warstwę grzyba.

— Spójrz na niego! — parsknął śmiechem Slocock. — Wygląda jak niemowlę! Cały różowy i nigdzie ani jednego włosa!

Wilson usiłował wypluć coś wstrętnego, co zalegało mu w ustach. Chciał zwymiotować, lecz zakrztusił się i zaczął kaszleć. Żółty grzyb wydawał się być wszędzie. Co się stało? Jak on właściwie zdołał się tutaj przedostać?

— Grzyb strawił jego cały martwy naskórek — wyjaśniła Kimberley. — Lecz nasuwa się pytanie, dlaczego nie zjadł go całego? Wygląda na to, że oprócz niego pochłonął tutaj wszystko — odwróciła się do Wilsona i zapytała:

— Jak się czujesz? Możesz mówić?

— Wyciągnijcie mnie stąd — wyszeptał.

Chwycili go pod ramiona i z wysiłkiem uwolnili od krępującej go masy. W chwilę później siedział już na drodze i mrużył oczy przed oślepiającym słońcem. Spojrzał w dół, na swoje ciało. Slocock miał rację. Jego skóra była miękka i różowa, zupełnie jakby poddana została niezwykle intensywnemu masażowi. Włosy na podbrzuszu, tak samo jak i na nogach, zniknęły. Dotknął dłonią głowy. Skóra na niej była gładka i kompletnie łysa.

— Chryste Panie — mruknął zaskoczony.

Slocock wytaszczył z żółtej masy jeden z kombinezonów i zaczął go nakładać.

— Troszeczkę na to za późno, nie sądzisz? — zapytała cierpko Kimberley.

— Przynajmniej ochroni mnie przed rozpuszczalnikiem, który zaraz tam rozpył — wyjaśnił krótko Slocock. — Musimy spróbować zniszczyć to całkowicie. A może chcesz, abyśmy podrzucili to do Londynu?

Otworzył bagażnik z tyłu samochodu i wyjął ręczną pompę. Potrząsnął zbiornikiem i zaczął rozpylać białą ciecz na całą powierzchnię grzyba. Wszędzie tam, gdzie padały krople, żółty dywan z sykiem zwijał się i czerniał.

Kimberley obserwowała to przez chwilę bez słowa, a potem odwróciła się i obrzuciła Wilsona krytycznym spojrzeniem. Nagle zdał sobie sprawę z własnej nagości, nienaturalnej w dodatku z powodu braku owłosienia. Jej zainteresowanie jednak wydawało się czysto zawodowe. Obejrzała dokładnie jego ramiona i plecy, sprawdziła puls, zajrzała do uszu i ust.

— Fascynujące — mruknęła, oglądając z uwagą te ostatnie. — Twoje zęby prawdopodobnie nigdy jeszcze nie były takie czyste. Grzyb wypolerował nawet szkliwo.

— Ale nic na mnie nie rośnie, prawda? — zapytał z niepokojem.

Nic nie widzę — powiedziała po uważnym obejrzeniu reszty ciała. — Na szczęście oznacza to, że megacryna daje nam pełną ochronę przed tym paskudstwem. Lub też jesteś jednym z tych rzadkich szczęściarzy, którzy są na niego całkowicie odporni w sposób naturalny. Chociaż osobiście wolałabym, aby prawdą było to pierwsze — spojrzała z niepokojem na własne przedramiona.

\* \* \*

Oczyszczenie całego przedziału mieszkalnego z grzyba zajęło Slocockowi przeszło godzinę. Potem dokonali przeglądu tego, co jeszcze pozostało. Grzyb pożarł wszystko, co choć w części składało się z substancji organicznych. Z koi pozostały jedynie ramy. Zniknął worek z ubraniami Slococka. Ze zdumieniem zauważyli, że zniknęły nawet nalepki z puszek z żywnością.

Slocock podniósł leżącą na podłodze butelkę whisky. Ona także pozbawiona była swej czarnej nalepki. Otarł ją z żółtego, nieprzyjemnie pachnącego nalotu i otworzył.

— Dzięki ci, Boże, za tę odrobinę miłosierdzia — mruknął i jednym łykiem opróżnił butelkę o dobrą ćwiartkę.

Chociaż lekarska torba Kimberley także padła ofiarą grzyba, dziewczynie udało się uratować część porzucanego bezładnie na podłodze wyposażenia. Podniosła niewielką buteleczkę, pozbawioną jakiegokolwiek nalepki, podobnie jak pozostałe i zmarszczyła brwi usiłując przypomnieć sobie, co właściwie zawierała. W końcu rozejrzała się bezradnie dookoła i westchnęła.

— Niech to cholera — mruknęła. — Żadnych ubrań. Cały czas będę musiała chodzić w tych śmierdzących ciuchach, które mam na sobie. Nawet chusteczki higieniczne... — pochyliła się nad chemiczną toaletką. — ... Wyżarło nawet papier toaletowy. To już zakrawa na dowcip.

Slocock wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Przez chwilę Kimberley spoglądała na niego w zdumieniu, a potem roześmiała się także.

Wilson obserwował całą tę scenę z kompletnym brakiem zrozumienia. Gdy ich histeryczny śmiech opadł do poziomu nerwowego chichotu, powiedział ponuro:

— Cieszę się, że to wydaje się wam zabawne. Nie dość, że o mało nie zginąłem, to teraz wszyscy wystawieni zostaliśmy na bezpośrednie ryzyko infekcji... A wszystko przez idiotyczne niedbalstwo Slococka.

— Co takiego? — zapytał poważnie natychmiast Slocock. — Ja jestem winien? O czym ty gadasz, człowieku?

— To ty przyniosłeś ze sobą tego grzyba. Na tym — Wilson podszedł do stojaka z bronią i wskazał na jeden z karabinów, którego kolba została prawie na wylot przeżarta przez grzyb. — Ta twoja bezmyślna, nocna walka z grzybem. Cząsteczki strzępek musiały przylgnąć do kolby w takim miejscu, gdzie nie dosięgnął ich środek dezynfekcyjny. To wystarczyło. A więc to ty, Kapitanie Przyszłość, spieprzyłeś wszystko.

Oczy Slococka zwęziły się niebezpiecznie.

— Odpieprz się, ty mizerna lebiego! — warknął wściekle. — I zamknij się, bo zaraz wyrwę tę nędzną imitację zwisającą ci pomiędzy nogami i wsadzę ci ją w dupę!

Wilson postąpił krok do przodu i szybkim ruchem uderzył Slococka w twarz kolbą karabinu. Zaskoczony ciosem sierżant zwałił się na podłogę. Brzęknęło tłuczone szkło butelki.

Było to potężne uderzenie, lecz Slocock był twardy. Jak sprężyna odbił się plecami od ziemi i zerwał na nogi. W wyciągniętej przed siebie dłoni trzymał szyjkę rozbitej butelki.

I zamarł.

Wilson wycelował lufę karabinu prosto w jego brzuch.

— Rzuć to, sierżancie, albo strzelam.

Slocock, któremu z rozbitego nosa i warg ciekła krew, uśmiechnął się szyderczo.

— Nie masz naboji.

— Chcesz się przekonać? Liczę do pięciu. Jeżeli nie rzucisz tej butelki, zastrzelę cię. Raz... dwa... trzy... cztery...

Odłamek butelki wypadł z dłoni Slococka i z brzękiem rozbił się na podłodze.

— Jesteś już martwy, Wilson.

— Wszyscy jesteśmy martwi, nie pamiętasz już?

Kimberley, która przyglądała się całej tej scenie pełnymi grozy oczyma, powiedziała:

— Obaj jesteście śmieszni. Nie możemy sobie pozwolić na walkę pomiędzy sobą.

— Już skończyliśmy walczyć. Teraz rozmawiamy — odparł Wilson. — A raczej to ja mówię, a wy słuchacie. Od tej chwili ja jestem szefem. Zrobicie, co powiem.

— A jeżeli nie? — ponownie uśmiechnął się Slocock.

Zamiast odpowiedzi Wilson zdzielił go kolbą w żołądek. Slocock wydał z siebie dźwięk, jaki wydaje uchodzące z opony powietrze, i upadł na kolana.

— To było ostatnie ostrzeżenie — warknął Wilson. — Następnym razem nacisnę na spust. — Odwrócił się w stronę Kimberley. — A ty znajdź mi coś do ubrania, jeżeli nie chcesz, żebym ściągnął gacie z twojego kochasia.

Kimberley spojrzała z niepokojem na Slococka, który wciąż na kolanach ze zboląłą miną obejmował ramionami żołądek. Usiłował wciągnąć powietrze, lecz widać było, że przepona nie pracuje.

— Chyba zrobiłeś mi krzywdę — powiedziała z wyrzutem w głosie dziewczyna.

— Przyznaję, że tak zamierzałem. Zajmiesz się nim później. A teraz poszukaj mi jakiegoś ubrania.

Podczas gdy przeszukiwała szafki, Wilson zamienił karabin na poręczniejszy rewolwer kaliber 38. Sprawdził, czy jest załadowany, zarepetował i wymierzył w Slococka.



Kimberley znalazła w skrzynce na narzędzia powalany smarami kombinezon. Wilson założył go, ani na chwilę nie zdejmując z muszki Slococka.

— Sprawdź, czy zapasowe radio nadaje się do użytku — polecił dziewczynie.

Otworzyła metalowy pojemnik z drugim awaryjnym radiem. Po krótkich oględzinach stwierdziła, że wszystko jest chyba w porządku.

— Dobrze. Teraz możesz nim się zająć — wskazał na Slococka, który zdołał już wstać, ale sprawiał wrażenie uległego. Miał twarz koloru trupa, który jeszcze nie ostygł. Z nosa wciąż płynęła mu krew. Kimberley próbowała zatamować mu krwotok koszulą.

— Chyba złamałeś mu nos — powiedziała cierpko.

— On już wyglądał na złamany.

Wilson czekał niecierpliwie, dopóki krwawienie nie ustało. Oszołomiony Slocock pokręcił powoli głową. Gorączka walki wydawała się go opuszczać, lecz Wilson nie mógł być tego pewien. Wiedział, że Slocock celuje we wszelkich brudnych sztuczkach, ani na chwilę nie stracił czujności.

— Możesz prowadzić, sierzancie?

Slocock wciąż trzymał się za podbrzusze.

— Chryste, mam wrażenie, że mam flaki rozdarte na strzępy.

Wilson bez ostrzeżenia wypalił z rewolweru. Kimberley krzyknęła, gdy kula minęła o cal głowę Slococka i rykosztując od włazu ze świstem przemknęła tuż obok.

— Pozabijasz nas wszystkich, ty głupku! — wykrzyknął Slocock, spoglądając na niego ze strachem pomieszanym z odrazą.

Wilson skinął spokojnie głową.

— To możliwe. Nie jestem dobry w tych sprawach. Nie dotykałem broni od czasu szkolenia wojskowego na studiach. — Ponownie zarepetował rewolwer i wycelował go prosto w czoło Slococka. — A więc możesz prowadzić?

— Tak.

— Jedziemy — odwrócił się do Kimberley. — Ty zostaniesz tutaj. Wiem, że będzie ci trochę niewygodnie, ale nie mogę ryzykować. Gdybyś była z przodu, a nasz przyjaciel zacząłby nagle sprawiać jakieś kłopoty, możesz przypadkowo oberwać. Nie ufam mu — obrzucił zamyślonym spojrzeniem stojak z bronią. Podszedł bliżej i wyjął jeden ze Sterlingów. Pozostałą broń wyrzucił przez otwartą, bezużyteczną już komorę powietrzną.

— To szaleństwo! — wykrzyknął Slocock. — Będziemy tego potrzebowali.

— Zapalaj silnik — polecił Wilson. Przewiesił karabin maszynowy przez ramię i skierował się za Slocockiem do kabiny. Po drodze zauważył coś na podłodze. Schylił się i podał Kimberley jakiś okrągły przedmiot.

— Nie sądzę, abyś podczas tej podróży potrzebowała tego ponownie.

Bez słowa wpatrywała się w opróżniony do połowy pojemnik z wazeliną.

\* \* \*

W kabinie Wilson odsunął się od Slococka na tyle, na ile pozwalała na to dość ograniczona przestrzeń. Nie wypuszczając z dłoni rewolweru, oparł karabin o drzwi.

Slocock rozgrzewał już potężny, ośmiocylindrowy silnik Rolls-Royce'a, gdy nagle Wilson polecił, aby go wyłączył.

— Zdecyduj się wreszcie, do cholery! — warknął sierżant, ale wykonał posłusznie polecenie. — Co teraz?

— Wywołaj przez radio Baxtona. Chcę z nim porozmawiać.

Połączenie z bazą w Wolverharrington i odnalezienie Baxtona zajęło parę minut. Wilson czekał niecierpliwie na połączenie i nagle wydało mu się, że słyszy dobiegające z głośnika echa odległych wystrzałów.

Gdy Baxton wreszcie odezwał się, sprawiał wrażenie rozdrażnionego:

— Wilson? To ty? Dlaczego nie utrzymywaliście z nami kontaktu? Jakie warunki w Londynie? Odnalazłeś już swoją żonę?

— Obawiam się, że wciąż jesteśmy jeszcze na zachód od Oxfordu — powiedział Wilson zastanawiając się, co — u licha — dzieje się z Baxtonem. — Mieliśmy tu pewne problemy, które nas opóźniły. Utraciliśmy sterylność pojazdu. Ale na razie wszystko w porządku i pchamy się dalej. Do Londynu powinniśmy dotrzeć późnym popołudniem.

— Chryste — powiedział jedynie Baxton. Strzały w tle były coraz głośniejsze.

— Co się tam u was dzieje? Co to za strzały?

— Zostaliśmy odcięci. To paskudztwo otoczyło nas, zanim zdążyliśmy się wycofać. Kilku moich ludzi jest zarażonych. Chcą połączyć się z innymi zbuntowanymi jednostkami i przebić się na wybrzeże. Najprawdopodobniej to im się uda. Rebeliantów jest wielu i dysponują doskonałym uzbrojeniem. Mają nawet parę czołgów typu Challenger. Jeżeli pojawią się w takiej liczbie na wybrzeżu, Francuzi z pewnością dotrzymają słowa i zrzucą na nas bomby atomowe. Nie będą już mogli ryzykować.

— Słuchaj, jeszcze mamy szansę na wykonanie naszego zadania do końca — powiedział do mikrofonu Wilson. — Pojazd wciąż może się poruszać i czujemy się nieźle. Chociaż jesteśmy odsonięci, megacryna wydaje się spełniać swoje zadanie.

Przez chwilę na drugim końcu panowała cisza. Gdy Baxton odezwał się ponownie, w jego głosie brzmiało wyraźne znużenie:

— Dostaliśmy właśnie wiadomość z Bangor. Wkrótce po waszym wyjeździe dwaj pozostali przy życiu testowani ochotnicy zmarli na skutek infekcji.

\* \* \*

Kimberley przyjęła tę wiadomość najgorzej.

Gdy Wilson opowiedział jej przez interkom to, czego dowiedział się właśnie od Baxtona, dziewczyna wpadła w histerię.

— Boże, a więc wszystko skończone! — krzyknęła dziko. — Nic nas już nie ochrania! Skończymy wyglądając tak, jak ci ludzie na ulicach. . . Musimy wracać!

— Uspokój się. Ten środek musi dawać nam pewną ochronę, choć być może przez ograniczony czas. Wciąż możemy jeszcze dotrzeć do Londynu i odnaleźć Jane.

— Do diabła z Londynem i Jane. Wracajmy! Szybko, zanim ta potworna rzecz zacznie nas pożerać!

— Kimberley, gdzieś tam powinny być butelki sierżanta. Napij się i spróbuj się uspokoić. Niepotrzebnie wpadasz w panikę. Jeżeli chcesz, załóż jeden z kombinizonów.

— A co to teraz pomoże? Już za późno! Jesteśmy. . .

Zniecierpliwiony Wilson wyłączył interkom.

— Zaczyna się rozsypywać.

— Ale ma rację — powiedział Slocock. — Zgadza się z nią. Musimy wracać. Te zbuntowane jednostki przebiją sobie drogę do wybrzeża, a my moglibyśmy pojechać ich śladem.

Wilson zademonstrował mu trzymany w dłoni rewolwer.

— W tej sprawie nie masz już głosu, sierżancie. Ona także nie. Ruszaj albo strzele ci w łeb i pojedę do Londynu sam. Pokazywałeś mi przecież, jak się to prowadzi, pamiętasz?

Zrezygnowany Slocock uruchomił silnik.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

## Rozdział pierwszy

Ominęli Oxford od południa, dojeżdżając prawie do Abingdon. Potem pojechali prosto przed siebie, by wyjechać w końcu na M40, na północ od High Wycombe. Podczas całej tej trasy zrobili tylko jeden postój. Zbliżając się coraz bardziej do Londynu prawie przyzwyczajali się do dziwacznych, koszmarnych widoków. Były to czerwone, podobne do poskręcanych sopli grzybnie, zwisające z gałęzi prawie wszystkich drzew, które mijali, muchomory i purchawki mierzące przeszło 20 stóp wysokości. Gdy przejeżdżali na ukos, przez pole, Slocock nagle zaklął i zahamował.

— A cóż to takiego, do diabła? — zapytał wskazując na dziwny kształt wyrastający z ziemi parę jardów przed nimi. Podobny był do olbrzymiego penisa śpiącego giganta. Mierzył sześć stóp wysokości, a jego głowa, czy raczej kapelusz, pokryty był czarnym, błyszczącym śluzem. Siedziało tam kilka ptaków, schwytych najwidoczniej w pułapkę. Parę trzepotało się szaleńczo, lecz reszta, ze sklejonymi śluzem piórami, tkwiła nieruchomo.

— Wygląda to na wynaturzoną wersję phallus impudicus — powiedział Wilson. — Bardziej znany jako sromotnik cuchnący. Normalnie osiąga wielkość w przedziale od sześciu do dziewięciu cali.

Slocock przez chwilę wpatrywał się w to bez słowa.

— Niedobrze mi — powiedział w końcu. — Muszę się czegoś napić. Przynieś mi butelczynę, dobrze? Obiecuję, że nie będę robił żadnych kawałów.

— Jasne. Ale natychmiast, gdy się odwrócę rąbniesz mnie po prostu w głowę. — Wilson machnął mu przed nosem rewolwerem.

— Jedziemy.

Gdy wjechali na M40 Wilson postanowił sprawdzić, co słychać u Kimberley. Włączył interkom i zapytał, jak się czuje. Jednak jej odpowiedź zaskoczyła go zupełnie.

— Przyjdź tutaj, Barry! Proszę! — wykrzyknęła głosem na pograniczu paniki. — Szybko!

Wilson doszedł do wniosku, że w kabinie nie ma nic, co mogłoby posłużyć Slocockowi jako broń. Otworzył właz i przedostał się do pomieszczenia mieszkalnego.

Kimberley stała zupełnie naga, trzymając w dłoni niewielkie lusterko. Sprawiała wrażenie zupełnie rozhisteryzowanej.

— Musisz mi pomóc, Barry! Próbowałam sprawdzić wszędzie, ale są z pewnością miejsca, których nie mogę dostrzec nawet przy pomocy lusterka — odwróciła się do niego plecami. — Czy coś tam rośnie? Sprawdź dokładnie, bardzo cię proszę. . .

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, o czym ona właściwie mówi. Zaskoczył go stan, w jakim się znajdowała. Uważał ją za twardą stal i teraz podwójnie go drażniła ta nagła utrata zimnej krwi.

Obejrzał jej plecy i oświadczył, że nigdzie nie ma śladu grzyba.

— A tam? — zapytała nachylając się. Klęczał, a więc nieoczekiwanie jej wypięte pośladki znalazły się na poziomie jego twarzy. Przemknęło mu przez myśl, że to, na co w tej chwili patrzy, w innych okolicznościach byłoby ogromnie podniecające. W tej chwili jej panika zaczęła udzielać się i jemu. Nagle wydało mu się, że czuje na swym ciele kilka swędzących miejsc. Powiedział jej, że nic złego nie widzi.

Dziewczyna jednak nie dawała mu spokoju. Zmusiła go, aby sprawdził jeszcze jej kark i głowę.

— Posłuchaj — powiedział przeglądając jej włosy. — Jeżeli znajdziemy na sobie ślady infekcji, będzie już za późno. Spróbuj się uspokoić. I tak nic nie możemy na razie zrobić. . .

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego płonącymi złością oczyma.

— Nie pozwolę, aby to zmieniło mnie w jedną z tych rzeczy! Spójrz na mnie! Jestem piękna, prawda? Myślisz, że pozwolę, aby ten przeklęty grzyb rósł na mnie? Wewnątrz mnie?

— A jak zamierzasz go przed tym powstrzymać?

Wskazała na bańkę z rozpuszczalnikiem.

— Spalę go. A jeżeli to nie pomoże, zabiję się. Przynajmniej umrę czysta.

Wilson instynktownie wiedział, że to robi. Jeżeli dłużej pozostanie w tym stanie. . .

— Trzeba było pomyśleć o tym, zanim zgłosiłaś się do tej misji — powiedział brutalnie.

— Ale byłam pewna, że megacryna nas ochroni! Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zawiodła!

— Być może ten drugi środek, który w nas wpompowali na początku, ma istotniejsze znaczenie — powiedział, próbując ją uspokoić. Wiedział jednak, że zabrzmiało to blado. Nie potrafił tym przekonać nawet siebie samego.

— Ten. . . — urwał, usiłując odszukać w pamięci nazwę medykamentu.

— Pranobex? — pokręciła przecząco głową. — Tym dwóm ochotnikom także podano, lecz niewiele to pomogło. . .

— Ale oni i tak już umierali. Obaj mieli raka. Ich system immunologiczny nie pracował już prawidłowo. A my jesteśmy zdrowi. Być może nasze organizmy, nie obciążone walką z chorobą działają inaczej niż tych biedaków.

Z satysfakcją dostrzegł w jej oczach pierwszy przebłysk nadziei.

— To możliwe — powiedziała powoli. — Ich komórki limfatyczne pomimo zwiększonej ilości skoncentrowały się dookoła ognisk rakowych. Z pewnością nie były w stanie poradzić sobie równocześnie z inwazją komórek grzyba. . .

— Właśnie — powiedział to z większą pewnością, niż czuł. — A teraz uspokój się i ubierz. — Znalazł jedną z butelek Slococka i otworzył. Pociągnął parę solidnych łyków i wręczył ją dziewczynie. — Napij się trochę. To polecenie lekarza.

Gdy brała od niego butelkę, przez jej pobladłe wargi przemknął cień uśmiechu.

Ubierała się, gdy wychodził. Wyglądała spokojnie lecz wiedział, że kryzys minął tylko chwilowo.

W kabinie wręczył Slocockowi kubek pełen whisky. Ostatecznie niech wszyscy czują się szczęśliwi.

Slocock przyjął kubek bez słowa podziękowania i opróżnił go jednym łykiem. Czknął z satysfakcją i powiedział:

— Co to była za panika?

— Właściwie nic. Dostała ataku hysterii. Myślała, że już coś na niej rośnie — odparł Wilson.

— Zdołałeś ją pocieszyć, prawda?

— Tak, coś w tym rodzaju — podrapał się w swędzące miejsce na klatce piersiowej.

— Posunąłeś sobie?

— Co? — przez chwilę spoglądał na Slococka w zdumieniu. — Ach, to. Nie, oczywiście, że nie.

— A powinieneś. Masz teraz władzę. Ona ci da, jeżeli mocniej się postawisz. Lubi to. Ale przypuszczam, że sam już się tego domyśliłeś. Założę się, że zeszłej nocy podsłuchiwałeś przez interkom.

— Mój stary przyjaciel Flannery powiedział kiedyś: „Życie podobne jest do basenu pełnego gówna, a więc rozsądne jest pływanie w nim z zamkniętymi ustami”.

Rozpiął kombinezon i obejrzał troskliwie swędzące miejsce na piersi. Skóra wciąż była zaróżowiona, nie było na niej żadnego śladu. Przez chwilę zastanawiał się nad swoją reakcją, gdyby rzeczywiście coś znalazł.

\* \* \*

W miarę zbliżania się do Londynu krajobraz za oknem stawał się coraz bardziej groteskowy. Obszary zabudowane zmieniły się nie do poznania, całkowi-

cie pokryte surrealistycznymi formami różnokolorowych grzybów. Z najwyższym trudem dostrzegli znak oznajmiający wjazd do Denham, co pozwoliło im wreszcie stwierdzić, gdzie się właściwie znajdują.

Domy były niekształtnymi bryłami pleśni. Pomiędzy budynkami rozpychały się gigantyczne muchomory, a parokrotnie zauważyli też białe głowy purchawek, których średnice przekraczały talerze anten satelitarnych. Z każdym kolejnym kilometrem stawało się coraz bardziej jasne, że grzyby są zwycięzcami w tej krótkiej wojnie pomiędzy nimi a ludzkością. Wkrótce nie pozostanie już żaden ślad po jakimkolwiek wytworze pracy rąk Człowieka. I po samym Człowieku.

Na razie Wilson dostrzegał od czasu do czasu przemykających ulicami lub stojących w obramowanych grzybem oknach ludzi. Chociaż nie, oni nie przypominali już ludzi. Wszyscy w różnym stopniu stali się ofiarami grzyba. Jeżeli był pośród nich jakiś niewielki ułamek procentu tych, którzy posiadali tę cudowną, naturalną odporność na infekcję, zapewne byli w ukryciu.

Na poważniejsze trudności natknęli się tuż za rogatkami Denham. Gruby dywan porastał całą asfaltową nawierzchnię jezdni, a w paru miejscach napotkali na wiszące w poprzek ulicy nici strzępek grubości męskiego ramienia.

Parokrotnie udało im się przerwać tę żywą zaporę, lecz w końcu wjechali w kłębowisko nici tak gęstych, że samochód musiał się zatrzymać.

— Utknęliśmy! — wykrzyknął rozglądając się dookoła Wilson. — To przypomina gigantyczną pajęczynę z tłustą muchą, czyli z nami po środku!

— Moglibyśmy spalić to świństwo — powiedział Slocock. — Przed nami nie ma już tego tak dużo. Ale... — zawahał się nieoczekiwanie i zamilkł.

— Ale co?

— Ale ty będziesz musiał to zrobić. Nie lubię... — z wysiłkiem przełknął ślinę i mówił dalej — ... nie lubię operować miotaczem ognia. Pokażę ci, jak to draństwo należy obsługiwać.

Wilson zawahał się. A jeżeli to podstęp? Sposób na uzyskanie chwilowej przewagi? Ale z drugiej strony, Slocock wydawał się mówić szczerze. Widać było, że jest zakłopotany, przyznając się do tej słabostki.

Wilson w końcu zdecydował się dać mu szansę.

— No dobrze. Chodźmy na zewnątrz.

W drodze przez przedział mieszkalny Wilson wyjaśnił Kimberley powód ich niespodziewanego postoju. Wymogła, aby pozwolił jej założyć jeden z kombinezonów. Irytowała go zwłoka, wiedział bowiem, że taka ochrona jest już czysto iluzoryczna. Lecz jeżeli ma to jej poprawić humor, to proszę bardzo.

Po wyjściu z samochodu znaleźli się w nierealnym, baśniowym świecie pełnym ostrych kolorów i miękkich, puszystych powierzchni. Nawet głos brzmiał obco w tym nowym środowisku. Wszechobecny grzyb absorbował wszelką wibrację. Wokół panowała przeraźliwa, przytłaczająca cisza.



Wilson stał niezdecydowanie na sprężystej substancji pokrywającej asfalt, podczas gdy Slocock wyciągał z bagażnika jeden z miotaczy płomieni. Wilson spoglądał na niego podejrzliwym okiem, próbując obserwować równocześnie niewyraźne figurki ludzi, którzy tkwili przyczajeni w domach po obu stronach ulicy.

W końcu Slocock wręczył mu miotacz i teraz Wilson całą uwagę musiał skupić na tym nieporęcznym urządzeniu. Slocock wyjaśnił mu, jak zapalać dyszę i manewrować zaworem sprężonego powietrza, który rzygał jęzorami płynnego ognia na odległość 20 stóp.

— Krótki płomień, pamiętaj — ostrzegł Slocock, spoglądając na miotacz z wyraźnym wstrętem.

Gdy Wilson zmagał się z uprzężą, Slocock zaproponował uprzejmie, że potrzyma jego Sterlinga. Barry uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Przełożył rewolwer do przedniej kieszeni kombinezonu, tak aby w każdej chwili był pod ręką, i sięgnął po końcówkę dyszy.

Slocock cofnął się aż za samochód. Gdy Wilson wyzwolił wreszcie ryczący strumień ognia, zrozumiał niechęć Slococka do tej broni. To rzeczywiście było piekielne urządzenie...

Na szczęście grzyb nie przejawiał żadnej odporności na ogień. Grube nici czerniały, skręcały się i topiły, pozostawiając w powietrzu jedynie obrzydliwy smród. Wkrótce Wilson spalił większość z blokujących dalszą drogę strzępek.

Ostrzegawczy krzyk Slococka, który dobiegł go pomiędzy wybuchami płomieni, sprawił, że rozejrzał się dookoła. Dostrzegł biegnące w ich stronę cztery zdeformowane figury. Wszystkie były uzbrojone w pałki. Jedna miała dodatkowo siekiere. Za nimi, po drugiej stronie ulicy, tłoczyła się większa ciżba niekształtnych postaci.

Wilson zadziałał instynktownie. Zatoczył końcówką dyszy szeroki hak i oblał cztery najbliższe postacie strumieniem ognia.

Jedna z nich, trafiona bezpośrednio, przewróciła się natychmiast. Potoczyła się wzdłuż pokrytej grzybem nawierzchni, rozsiewając wokół płonące strzępki i iskry. Pozostała trójka, która nie przyjęła na siebie pełnej siły ognistego strumienia, zataczała się teraz bezradnie wymachując ramionami, podczas gdy ich grzyb stał się masą trzaskających płomieni. Postacie krzyczały cienkimi, nieludzkimi głosami, które przejęły Wilsona nagłym dreszczem.

Sparaliżowany grozą tego, co przed chwilą uczynił, stał nieruchomo i patrzył, nie zdając sobie nawet sprawy, że opuszczona w dół dysza wciąż pluje ogniem na gąbczasty dywan. Był ledwie świadomy obecności innych postaci, które wydawały się nadciągać ze wszystkich stron.

— Pospiesz się, do cholery! — dobiegł go nagle krzyk Slococka. — Zanim spróbują jeszcze raz!

Wyrwany z odrętwienia Wilson pospieszył za Slocockiem do Stalwarta. Slocock wyłączył miotacz i pomógł mu uwolnić się z opasującej go uprzęży. Wilson

wrzucił broń do bagażnika i wszedł do środka pojazdu, zamykając za sobą właz. Kimberley, ubrana wciąż w kombinezon, wymachiwała bezradnie rękami, lecz zignorowali ją, przepychając się do kabiny. Zresztą Wilson nie był w tej chwili w nastroju do udzielania jakichkolwiek informacji.

W kabinie, z przerażeniem stwierdził, że dwie z jego ofiar wciąż skręcają się groteskowo, pożerane łąpczywie przez ogień. Dwie pozostałe były nieruchomymi, poczerniałymi kształtami.

Sloccock zapalał silnik, a Wilson przysunął się do konsoli sterowania ogniem lekkiego karabinu maszynowego i zaczął strzelać na ślepo. W końcu udało mu się trafić w cel. Płonące postacie przestały się poruszać.

— Nie marnuj amunicji — ostrzegł go Sloccock, gdy ruszyli. Stalwart nabierał stopniowo szybkości, krusząc oponami poczerniałe pozostałości grzybni.

— Ale dlaczego nas zaatakowali? — wykrztusił Wilson przez ściśnięte groźną gardło. Wciąż nie mógł pozbyć się wspomnienia czterech, zdeformowanych pokrywających je grzybem postaci. A potem to piekło płomieni. . .

— Nie chciałem tego zrobić — powiedział słabo.

— I dobrze, że zrobiłeś. W przeciwnym razie bylibyśmy już martwi.

— Ale dlaczego oni nas zaatakowali? Przecież nie stanowiliśmy dla nich żadnego zagrożenia.

— Stanowiliśmy zagrożenie dla ich umiłowanego grzyba.

— Powiedziałeś u m i ł o w a n e g o. Co masz na myśli?

— Kto wie, co tym biednym durniom chodziło po łepetynach. Lecz dla mnie wyglądało to na starą zasadę: „jeżeli nie możesz czegoś pokonać, przyłącz się do tego”. Ludzie, których grzyb do tej pory nie zabił, czują dla niego pewnego rodzaju wdzięczność, pomimo, że pozamieniali się w chodzące muchomory.

\* \* \*

Podróż w kierunku centrum Londynu stawała się coraz wolniejsza. Ulice bywały często zablokowane i żeby znaleźć inną trasę robili szerokie objazdy. Raz, jadąc przez coś, co jak zgadywali mogło być Wembley, natknęli się na grzyb, który sam tarasował całą arterię. Jego pień — był bowiem zbyt gruby, aby nazywać go nóżką — mierzył dobre 15 stóp średnicy, a olbrzymi kapelusz pokrywał dachy domów po obu stronach ulicy.

Później, gdy przedzierali się wzdłuż Harrow Road za Kersal Green, znowu zaatakował ich tłum. Tym razem był on dużo większy, składał się z co najmniej kilku setek napastników. Bez słowa, jak stwory z nocnego koszmaru wychynęli nagle z otaczającej ich lepkiej szarości. Ogromni, powolni i pozbawieni wszelkich ludzkich kształtów. Uzbrojeni w żelazne pręty, cegły i butelki. Tuż przed frontem samochodu uformowali solidną, żywą ścianę. Sloccock nawet nie zwolnił.

O szyby zaczęły walić pociski — jedne odbijały się, inne rozpryskiwały.

Stalwart wpadł na masę powolnych ciał. Żołądek podszedł Wilsonowi do gardła, gdy usłyszał nagle mokre plaśnięcia rozgniatanych oponami. . .

Rozległo się parę zduszonych okrzyków. Przednią szybę zalał strumień zielonej cieczy. Wilson szarpnął się do tyłu.

Po chwili samochód zaczął zwalniać. Koła ślizgały się bezradnie, nie mogły poradzić sobie z masą bezkształtnych, piętzących się wokół ciał.

— Strzelaj, na miłość boską, strzelaj! — wrzasnął Slocock, usiłując przepchnąć do przodu zarzucający wóz.

Tym razem Wilson wahał się tylko przez chwilę. Wiedział, że te stwory na zewnątrz już nie były ludźmi. Grzyb pozamieniał ich w monstra. Wrogie.

Otworzył ogień z lekkiego karabinu maszynowego, a po chwili z ciężkiego. Strumień pocisków wystrzeliwanych z obu luf i z tak bliskiej odległości odrzucał ciała na boki, rozrywał, unicestwiał. W końcu tłum zaczął się rozpraszać.

Silnik zawył, gdy buksujące wściekle koła usiłowały wspiać się na miękki, śliski pagórek.

Nagle kabina zakołysała się, opadła do przodu i . . . byli wolni.

Slocock nacisnął pedał gazu i runął w dół Harrow Road, niszcząc po drodze wszystko.

— Obojętnie, kim lub czym było.

I nagle stało się.

Przejeżdżali właśnie przez skrzyżowanie, które Wilson po chwili rozpoznał jako pierwsze z Ladbroke Grove, gdy nagle tuż przed pojazdem ponownie pojawiła się uzbrojona kreatura. Lecz tym razem dzierżyła butelkę, której szyjka zatkana była płonąca szmatą.

Jednak stwór rzucił bombę ogniową zbyt szybko. Butelka zamiast roztrzaskać się o samochód, z brzękiem rozbiła się o asfalt. Slocock na widok powiększającej się szybko kałuży ognia wrzasnął i skręcił dziko kierownicą.

Stalwart wpadł w poślizg. Zjechał z ulicy i z pełną szybkością uderzył w sam róg pokrytego grzybem budynku.

Wilson poczuł jeszcze, jak jakaś potworna siła pcha go na przednie okno, a potem zapadła ciemność.

## Rozdział drugi

Chaos. Ból. Dezorientacja.

Wilson czuł wszystko to na raz, gdy po chwili nieświadomości jako tako odzyskał zmysły. Głowa pulsowała tęnym bólem a w ustach czuł słony smak krwi. Co się właściwie stało? I skąd się bierze ten przeraźliwy dźwięk?

Otworzył oczy próbując rozeznąć się w sytuacji. Jednak dopiero po paru sekundach zorientował się, że Stalwart leży przewrócony na bok, a on opiera się plecami o drzwi.

Nigdzie nie widział Slococka. Właz awaryjny był wciąż zamknięty, a więc musiał wyjść przez przedział mieszkalny.

Nagle cała kabina zawibrowała pod wpływem dzikiego uderzenia. Zupełnie jakby ktoś usiłował ją rozbić, używając młota kowalskiego. Po chwili usłyszał także ochryple okrzyki i wrzaski.

Nie był w stanie niczego dostrzec przez przednią szybę — podczas zderzenia pokryła się siateczką pęknięć a poprzez okienko w drzwiach, które teraz znajdowało się nad nim, widział jedynie niebo.

Wilson napiął wszystkie mięśnie i spróbował uwolnić się z tej niewygodnej pozycji. Usiłował odnaleźć karabin maszynowy, ale nie było po nim śladu. Tak samo, jak po rewolwerze, Slocock, ty sukinsynu. . . !

Na szybie ponad nim zamajaczył jakiś cień. Spojrzał w górę i zadrżał. Okno wypełniała głowa przypominająca maskę, jaką dzieci wykonują z dyni na zaduszki. Syknęła coś. W tej samej chwili przednia szyba pękła, rozsypując się na kawałki. Wilson zamknął oczy i zasłonił się wolnym ramieniem, próbując ochronić twarz przed odłamkami szkła.

Owiał go strumień ciepłego, wilgotnego powietrza i po chwili poczuł na sobie dotyk dłoni. Dłoni w grubych, miękkich rękawiczkach. . .

Zdjęty nagłym obrzydzeniem usiłował je z siebie strząsnąć, lecz bezskutecznie. Było ich zbyt dużo. Pomimo rozpaczliwej próby oporu powoli wyciągały go na zewnątrz przez strzaskane okna. Jak ślimaka, którego wyciągają ze skorupki, pomyślał. Jestem w tej chwili zupełnie bezbronny. Mają mnie. . .

„Oni” byli wszędzie, gdziekolwiek spojrzeł. Karykatury istot ludzkich. Stwory z sennego koszmaru. Część z nich powiększona była nieomal dwukrotnie, dźwiga-

jąc na sobie zwały porastającego ich grzyba. Inni byli nienaturalnie chudzi (Wilson z przerażeniem dostrzegł, że byli częściowo zjedzeni) i pokryci jedynie cienkim nalotem zielonego mchu. A jeszcze inni byli zdeformowani. Czasem trudno się było domyśleć, że kiedykolwiek byli istotami ludzkimi.

Wrzeszcząc, wywlekli Wilsona na zewnątrz. Kątem oka dostrzegł pośrodku zbiorowiska groteskowych stworów biały kombinezon, a potem czarne włosy i bladą, wykrzywioną przerażeniem twarz. Wykrzyknął imię dziewczyny i usłyszał w odpowiedzi swoje. Lecz już w następnej chwili Kimberley pochłonęła masa miękkich, porośniętych grzybem ciał. . .

Przynajmniej jest jeszcze żywa, pomyślał, gdy był na poły niesiony, na poły wleczony Harrow Road w kierunku, z którego właśnie przybyli. Ale co stało się ze Slocockiem? Gdzie jest?

\* \* \*

Slocock walczył, by opanować narastającą w nim panikę. Najbardziej obawiał się kolejnej bomby zapalającej, która tym razem mogła uderzyć bezpośrednio w samochód. Początkowo zamierzał otworzyć właz awaryjny w kabinie i wyczołgać się z tej śmiertelnej pułapki, ale wojskowa natura powstrzymała go przed tak nierozważnym krokiem. Wiedział, że wyjście stąd bez broni byłoby kompletnym szaleństwem.

Wziął głęboki oddech i zaczął gorączkowo macać dłońmi dookoła skurczonego ciała Wilsona w poszukiwaniu broni. Dotknął go i usłyszał jęk. Zdziwił się, gdyż sądził, że pozbył się go na dobre. No cóż, pomyślał ironicznie Slocock, co ma wisieć, nie utonie. Odnalazł Sterlinga, a po chwili rewolwer. Przez kilka sekund walczył z narastającą pokusą wpakowania kuli prosto w głowę Wilsona, ale w końcu dał spokój. Po co marnować amunicję?

Amunicja. Ta myśl powstrzymała go przed odkręceniem włazu. Po chwili zmagani udało mu się odsunąć właz do przedziału mieszkalnego.

Gdy wczołgał się do środka zobaczył, że cały przedział znajduje się w opłakanym stanie. Kimberley, wciąż w swym białym kombinezonie, poruszała się niemrawo częściowo przygnieciona wyrwanym z uchwytów cylindrem z tlenem.

Uwolnił ją spod tego niewygodnego ciężaru i otworzył skrzynkę z amunicją. Wyjął z niej kilka magazynków do Sterlinga i wepchnął je za pas. Miał już otwierać drzwi, gdy nagle przypomniał sobie jeszcze o czymś ważnym.

Jego bezgłośna modlitwa została wysłuchana. Jedna z butelek wyszła z kraksy bez szwanku. Podniósł ją i uśmiechnął się do niej czule, zupełnie jakby witał najdroższego przyjaciela.

Tymczasem Kimberley zdjęła hełm i bezskutecznie próbowała podnieść się na nogi.

— Co się stało? — zapytała z wysiłkiem.

— Niewielki wypadek. Uderzyłem w narożnik budynku — odpowiedział, otwierając drzwi komory powietrznej. — Lepiej się pospiesz, mała, jeżeli chcesz się stąd wydostać razem ze mną.

Dziewczyna stanęła, lecz jej lewa noga ugięła się niespodziewanie. Kimberley krzyknęła z bólu i upadła.

— Moja noga! — jęknęła. — Musisz mi pomóc!

— Przykro mi, kochanie. Każdy musi dbać o siebie. A w takim stanie tylko byś mnie opóźniła — podciągnął się na rękach w górę ciemnego otworu dbając, by nie upuścić butelki.

— Nie możesz mnie tak zostawić!

— Naprawdę? — pchnął właz i wyczołgał się na zewnątrz. Pośliznął się na śliskim podłożu, ale udało mu się utrzymać równowagę. Na całe szczęście. Zbliżały się trzy postacie, ściskające w dłoniach pałki. Byli nie dalej niż pięć jardów.

Operując Sterlingiem jedną ręką — w drugiej ściskał wciąż drogocenną butelkę — skosił ich jedną serią. Przewrócili się na ziemię, lecz w mdłym świetle zmierzchu dostrzegł innych, którzy nadbiegali Harrow Road w stronę rozbitego pojazdu.

Przebiegł przez skrzyżowanie i wpadł w Ladborke Grove. Śliska powierzchnia utrudniała ucieczkę, ale przekonał się, że stosując krok łyżwowy może zachować całkiem niezłe tempo.

Przeszedł przez most, który spinał oba brzegi kanału Grand Union. Sam kanał był jednak niewidoczny. Pokrywały go różne gatunki grzybów, niektóre o olbrzymiej wręcz średnicy. Obfite zapasy wody pozwoliły najwidoczniej na większy rozrost. Gigantyczne, jaskrawe muchomory ciągnęły się w niekończących się szeregach po obu stronach mostu, zupełnie jakby ktoś celowo ustawiał je w takiej właśnie formacji.

Sloccock pobiegł dalej i wkrótce znalazł schronienie w cieniu porosłego grzybem budynku, o którym instynktownie wiedział, że kiedyś musiał być pubem. Usiadł, umieścił butelkę troskliwie pomiędzy skrzyżowanymi nogami i czekał. Nie musiał czekać długo.

Nadbiegli ulicą stosując ten sam posuwisty krok co on. Było ich przeszło tuzin. Sloccock miał jedynie nadzieję, że reszta tłumu skoncentrowała się dookoła samochodu. Przez chwilę poczuł do siebie żal, że musiał pozostawić Kimberley samą. Jednak szybko się usprawiedliwił. I tak nie byłby w stanie jej teraz pomóc.

Gdy grupa minęła już jego kryjówkę, Sloccock wyszedł na ulicę i otworzył ogień. Większość zabił jedną, długą serią, lecz gdy opróżnił magazynek, dwu jeszcze stało.

Nie spiesząc się, wyjął pusty magazynek, odrzucił go na bok i załadował nowy. Dwa stwory zawahały się, lecz po chwili ruszyły w jego kierunku. Sloccock czuł się dziwnie spokojny i obojętny, zupełnie jakby patrzył na całą tę scenę z boku. Nawet

gdy jedna z postaci przemówiła czystym, kobiecym głosem, nie był zaskoczony. Od pewnego czasu wiedział, że nic go już nie potrafi zadziwić.

— Nie strzelaj — powiedziała „kobieta”. — Chcielibyśmy tylko z tobą porozmawiać.

Pozwolił im podejść bliżej. Jedna z postaci dźwigała ciężki łom. Gdy byli już na tyle blisko, że był w stanie dostrzec każdy szczegół ich koszmarnego pancerza, zaczął strzelać.

Strumień pocisków odrzucił ich ciała do tyłu, lecz ten, który dźwigał łom, zdołał nim jeszcze rzucić. Slocock nie był pewien, czy była to kobieta, czy mężczyzna. Uchylił się, a łom odbijając się od pokrytej grzybem ściany uderzył w butelkę whisky.

Slocock w niemym przerażeniu wpatrywał się w powiększającą się kałużę. Chciało mu się płakać ze złości.

Podszedł do leżących bezwładnie ofiar i kopnął jedną z nich w bok. Jego but przebił roślinną skorupę i zagłębił się na dobrych kilka cali w ciało. Gdy wyszarpanął nogę zauważył, że z uczynionej przez niego dziury zaczyna sączyć się jakiś gęsty, zielony płyn.

Obojętnie obejrzał drugie ciało. Leżało w kałuży zwykłej, czerwonej krwi. Zastanawiał się, czy to była kobieta. Zastanawiał się także, czy gdyby zerwał z niej ten ohydny pancerz, pod spodem ukazałoby się zwykłe, kobiece ciało.

Wątpił w to, lecz nakazało mu to powrócić myślami do swojej żony, Margie. Przecież początkowo układało im się całkiem nieźle. Potem dopiero okazało się, że ich pożycie małżeńskie stało się czystą fikcją. Nigdy nie uważał się za impotentą, lecz dzięki niej czuł się nim coraz częściej. Chciała, aby kochał się z nią co noc, nieważne jak. A gdy nie był w stanie temu podołać, a przynajmniej nie potrafił ukryć wysiłku, jaki go to kosztowało, drwiła z niego i szydziła, co pogarszało jedynie sprawę. Potem wszystko się nagle rozsypało. . .

Zastanawiał się zimno, co się z nią teraz dzieje. Wiedział, że przeprowadziła się do Londynu, lecz nigdy nie podała mu swojego nowego adresu. Czy jeszcze żyła? A jeżeli tak, to czy wyglądała jak jedna z tych rzeczy, leżących nieruchomo na chodniku?

Powrócił myślami do Kimberley i do ich wspólnej nocy. Ponownie poczuł lekkie ukłucie żalu, że pozostawił ją w tym samochodzie. Przez krótką chwilę zastanawiał się nad możliwością powrotu, lecz wkrótce zarzucił tę myśl jako zdecydowanie samobójczą. Po ulicach szwędą się zbyt dużo ludzi-grzybów, a zresztą na pewno jest już i tak za późno.

Myśl, że nigdy już nie zobaczy ciała zdrowej, nagiej kobiety przyprawiła go o nagłą depresję.

— Chryste, potrzebuję drinka. . . — mruknął i kopnął z wściekłością resztki butelki.

Podszedł do budynku i zajrzał przez zasłonięte pasami grzyba okna. To był pub, pomyślał, wzdychając z ulgą.

Podniósł łom i zaczął rozwalać drzwi. Drewno przeżarte przez pleśń rozsypało się w pył i wszedł w ponury, ciemny korytarz. W nozdrza uderzył go obrzydliwy smród. Zacisnął palcami nos i czekał, aż oczy przyzwyczają się do panujących wokół ciemności.

Po przejściu paru kroków znalazł się w sali, której podłoga, ściany, a także sufit pokryte były gąbczastymi naroślami, które przypominały gigantyczne żółtka. Slocock zorientował się, że znajduje się w pomieszczeniu barowym. A bezkształtny zwal pleśni pod jedną ze ścian musiał być kontuarem. . .

Ruszył w jego stronę, omijając z obawą mechate naroślą. Znajdował się zaledwie parę kroków od baru, gdy nagle czyjaś dłoń złapała go za kostkę.

Spojrzał w dół i zobaczył wychudzone ramię, wyrastające bezpośrednio z niekształtnej, obrzydliwie porowatej kuli pleśni. Wyrwał nogę i odskoczył do tyłu, zaciskając palce na spuście gotowego do strzału Sterlinga.

— Pomóż mi... proszę, pomóż mi... — dobiegł go niewyraźny, zduszony szept.

Dopiero po chwili Slocock zorientował się, że ten leżący na podłodze kształt był człowiekiem. A raczej resztką człowieka. Jego ciało wydawało się być integralną częścią wyrastającego z podłogi grzyba, chociaż oprócz głowy, torsu i jednego ramienia nic z niego nie pozostało.

— Pomóż mi... — ponownie szepnęło to „coś”.

— Jasne — odparł Slocock z uśmiechem i nacisnął spust. — Żegnaj, chłopie.

Wszedł za bar i zaczął ścierać wszechobecną pleśń, która grubym dywanem pokrywała butelki i szklanki. Nalepki na butelkach były wyjedzone, lecz po chwili poszukiwań znalazł znajomą butelkę scotcha. Otworzył ją i pociągnął długi łyk. Canadian Club, mruknął uszczęśliwiony.

Przeszedł na drugą stronę baru i usadowił się na wysokim, udrapowanym fantazyjnie grzybem stołku. Co prawda samo siedzenie zniknęło, ale pozostał okrągły, metalowy stelaż.

Położył Sterlinga na mechatym kontuarze a tuż obok rozłożył magazynki. Zostały jeszcze cztery. W każdym po trzydzieści dwa naboje. W sumie 128 pocisków plus to, co pozostało jeszcze w magazynku karabinu maszynowego. I jeszcze cztery kule w rewolwerze. Uśmiechnął się i ponownie pociągnął z butelki. Taką ilością amunicji mógł pozabijać jeszcze mnóstwo stworów, pod warunkiem, że będzie używał jej oszczędnie.

Zapowiadała się wspaniała noc.



\* \* \*

Wilson zrezygnował już ze wszelkich prób oporu. Szedł apatycznie przed siebie, popychany i poszturchiwany przez wrogi tłum. Ledwie zdawał sobie sprawę, że on i Kimberley (przez chwilę dostrzegł ją na czele pochodu) są prowadzeni z powrotem wzdłuż Harrow Road, do miejsca, w którym po raz pierwszy natknęli się na te kreatury.

Wepchnięto go w jakąś bramę i powleczono zwirową alejką. W mdłym świetle zmierzchu dostrzegł, że znajdowali się w obrębie starego, zapuszczonego cmentarza. Pomiędzy grzybami wciąż jeszcze widoczne były marmurowe płyty grobowców. Był zaskoczony — przejeżdżał Harrow Road wiele razy, ale nawet nie podejrzewał istnienia tutaj takiego miejsca.

Horda stworów wydawała się szybko powiększać. Wilson pomyślał, że miejsce to musiało być idealnym wręcz źródłem pokarmu dla grzybów. . .

Alejka stawała się coraz szersza. Wilson ze zdumieniem spostrzegł, że zbliża się do czegoś, co wygląda jak wiktoriański wizerunek greckiej lub rzymskiej świątyni. Pomimo porastającego ją grzyba wciąż było widać rzędy kolumn, tworzące kwadrat.

Najdziwniejszym zjawiskiem na cmentarzu był największy grzyb, jaki Wilson widział w życiu. Rósł pośrodku zamkniętego kolumnami kwadratu tuż obok głównego budynku, który wyglądał przy nim wręcz karłowate. Muchomor mierzył 50 stóp wysokości.

Gdy podeszli bliżej zauważył kilka klęczących przed grzybem postaci. Ze zgrozą zrozumiał, że się do niego modlą.

Tłum uformował wokół grzyba krąg. Kimberley wypchnięto w środek okręgu. Zataczając się przebiegła parę stóp i upadła. Widać było, że ma trudności z chodzeniem. Wilson szarpnął się w uścisku trzymających go dłoni, lecz mimo wysiłków nie mógł się uwolnić. Patrzył bezradnie, jak kilka bezkształtnych postaci zbliża się powoli w stronę leżącej dziewczyny.

Zerwali z niej kombinezon, a potem resztę ubrania. Po chwili, zupełnie naga rozciągnęli na ziemi.

Co oni zamierzają zrobić? — zastanawiał się gorączkowo Wilson. Zgwałcić ją?

Wkrótce zdał sobie sprawę, że ich poczynania niewiele mają wspólnego z agresją seksualną.

Jeden ze stworów wystąpił do przodu, dzierżąc w dłoniach naręcze różnokolorowych grzybów. Ukłął obok Kimberley i zaczął wcierać kawałki grzybni w jej ciało.

Dziewczyna krzycząc szarpała się szaleńczo, lecz wkrótce, pomimo jej wysiłków, całą pokryto ohydny zielonym sokiem.

Na koniec kawałek grzyba wtłoczyli jej do gardła.

Odstąpili do tyłu i obserwowali w milczeniu, jak dziewczyna wije się na ziemi, krztusi i kaszle.

Wilson poczuł, że dłonie popychają go do przodu.

Nadeszła jego kolej.

## Rozdział trzeci

Wilsona bolały ramiona. Od paru godzin tkwił przywiązany do jednej z kolumn. Nadgarstki skrępowane miał grubymi nićmi strzępek. Parę stóp dalej słabo majaczył blady kształt ciała Kimberley, przywiązanej do kolumny w podobny sposób. Próbował się z nią porozumieć, ale dziewczyna nie przejawiała żadnej ochoty do rozmów. Sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokiej apatii.

Z pragnienia zaschło mu w gardle. Noc była gorąca, a powietrze wilgotne i przesycone nieprzyjemnym zapachem grzybów.

Śmierdział nimi cały. Jego ciało wysmarowane zostało zielonym sokiem, którego smak wciąż jeszcze wyczuwał w ustach. Tak jak Kimberley, zmuszono go do przełknięcia kawałka ohydneho mięszu.

Po zakończeniu „ceremonii” przywiązano ich do kolumn, a prześladowcy usiedli wkoło. Wilson szybko zdał sobie sprawę, na co właściwie czekają. Kimberley, sądząc po jej pełnych rozpaczyc pochlipywaniach, także musiała się tego domyślać.

Co chwilę jeden ze stworów podchodził bliżej i oglądał uważnie ich ciała. Na razie wszystkie te oględziny kończyły się wynikiem negatywnym. Wilson wiedział jednak, że za kilka godzin wystąpią nieodwracalne zmiany. Co stanie się potem, nie miał najmniejszego pojęcia. Prawdopodobnie zostaną uwolnieni i uznani za pełnoprawnych członków tego miłującego grzyby społeczeństwa.

Co za fatalna wpadka, wyrzucał sobie gorzko Wilson. Jeszcze nie zaczął nawet szukać Jane, a już skończył w takiej oto sytuacji. Bez środka transportu, bez broni, nawet bez ubrania. . . bez cienia nadziei na pomyślne zakończenie misji. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że ta nieszczęsna wyprawa od samego początku była jednym, wielkim nieporozumieniem, desperacką grą.

Nagle usłyszał szelest. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł niewyraźny zarys zbliżającej się postaci. Większość ich prześladowców usnęła, ale jeden czy dwu pozostało najwyraźniej na straży, czekając na wynik ponurego eksperymentu.

Bulwiasty stwór zbliżył się o parę kroków i Wilson dostrzegł w jego dłoni błysk metalu.

Było to ostrze noża.

Po co? Czyżby zmęczeni się już czuwaniem? A może był to rodzaj rytualnego morderstwa? Wilson spróbował przesunąć się na drugą stronę kolumny, lecz więzy krępowały go zbyt mocno.

Stwór zatrzymał się wreszcie tuż przed nim, a Wilson zacisnął kurczowo powieki i napiął wszystkie mięśnie, czekając na straszliwy ból zagłębiającego się w ciele ostrza.

— Doktor Wilson, jak sędzę? — zapytał cichy, miękki szept.

Wilson był tak zaskoczony, że przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Doktor Wilson? — powtórzył szept. — Doktor Barry Wilson?

— Tak — odparł wreszcie przez ściśnięte przerażeniem gardło. — Kim pan jest?

— Wielbicielem pańskich książek o Flannerym, doktorze Wilson. Uważam, że ta ostatnia była po prostu wspaniała.

— No cóż, dziękuję... — Wilson pojął nagle absurdalność tej konwersacji. Czyżby to była jakaś halucynacja, wynik zatrucia grzybem?

Stwór wydał dziwny, trzeszczący dźwięk, który Wilsonowi wydał się zdumiewająco znajomy. Z pewnością już go gdzieś słyszał. Tylko gdzie? Po chwili usłyszał wymawiane z trudem słowa.

— Przepraszam, doktorze Wilson. Nie mogłem powstrzymać się od tego małego żartu. Na szczęście nie opuszcza mnie jeszcze humor, chociaż jest to już ostatnia rzecz, jaką posiadam. Nazywam się Carter. Doktor Bruce Carter. Czekalem na pana — zaczął rozcinać krępujące Wilsona więzy.

Wilson przypomniał sobie seans video w Irlandii. Poczł nagły przypływ nadziei.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Jak pan zdołał nas odnaleźć?

— Ciszej, bo obudzi pan naszych przyjaciół. Wyjaśnię wszystko później. Teraz muszę uwolnić pańską towarzyszkę.

Podeszli bliżej, a Kimberley podniosła głowę i zapytała głuchym, bezbarwnym tonem:

— Co robicie?

— Uciekamy — odparł Wilson i przedstawił jej Cartera. Jej jedyną reakcją był apatyczny szept:

— Po co? Równie dobrze możemy zostać tutaj. Przegraliśmy. Czuję, jak to na mnie rośnie.

Gdy Carter przecinał jej więzy, Wilson szybko przesunął dłońmi po jej twarzy, korpuse i biodrach. Skóra w dotyku była gładka i jędrna.

— Nic ci nie jest — powiedział. — Ruszaj się. Wynosimy się stąd.

Pomógł jej dźwignąć się na nogi. Nieoczekiwanie zatoczyła się na niego i jęknęła z bólu.

— Moja noga. Podczas wypadku musiałam skręcić sobie kostkę. Chyba nie mogę chodzić...

— Postaraj się — przerwał ostro Wilson. — Z pewnością nie będę cię niósł całą drogę.

Z Carterem na przedzie i posykaną z bólu Kimberley przeszli ostrożnie przez masę śpiących czcicieli grzyba. I chociaż Wilson wiedział, że pod tą roślinną pokrywą kryją się istoty ludzkie, nie mógł już dłużej uważać ich za normalnych ludzi. Dziękował w duchu niebiosom, że ciemności nie pozwalają mu bliżej się przyjrzeć Carterowi...

Dotarli w końcu do alejki, prowadzącej do wyjścia z cmentarza. Chociaż posuwanie się w miarę szybko było niemożliwe z powodu zranionej nogi Kimberley, to jednak Wilson zaczął się powoli odprężyć. Ponownie zapytał Cartera, jak ich odnalazł.

— Wiedziałem... że nadjeżdżacie — wyszeptał z wysiłkiem. — Przechwytyłem waszą wiadomość radiową. Wystawiłem czujki na wszystkich większych drogach, prowadzących do Londynu... Jest jeszcze parę osób, które potrafią myśleć rozsądnie, chociaż nie wiem, jak długo to potrwa. Moje własne myśli od jakiegoś już czasu stają się coraz bardziej dziwaczne... A to oznacza, że grzyb przejmuje kontrolę nad moim umysłem w coraz większym stopniu...

Przerwał na chwilę, by wciągnąć ze świstem powietrze.

— Zmiany w psychice ofiar grzyba są w skali nauki czymś zupełnie wyjątkowym — kontynuował powoli. — Efektów tych zmian jest wiele i różnią się pomiędzy sobą, lecz już teraz możemy stwierdzić, że zmutowane grzyby w specyficzny sposób starają się ujarzmić ludzką inteligencję. Tak zapewniają sobie własne przetrwanie...

Miałem powiedzieć, jak was tutaj odnalazłem. Obserwator, którego wystawiłem na Westway, usłyszał strzelaninę i domyślił się, kto to może być. Powiadomił mnie, i wyruszyłem w drogę. Niestety, moja obecna postać nie pozwala na zbyt szybki marsz. Gdy dotarłem na miejsce, odnalazłem jedynie wasz porzucony samochód...

— Ale skąd wiedział pan, że będziemy w tej dziwacznej świątyni?

— Tam właśnie prowadzą wszystkie swoje ofiary. Polują na ludzi, którzy nie mają żadnych objawów choroby. Jest jeszcze paru takich w okolicy (sądzę, że w grę wchodzi naturalna odporność organizmu). A nasi przyjaciele ze świątyni wyłapują takich nieszczęśników, poddają testowi, a następnie zabijają jako hereetyków. Jak za dawnych procesów czarownic — są dwa wyjścia, a każde z nich kończy się śmiercią...

Dalsze słowa Cartera zagłuszył przeraźliwy okrzyk Kimberley. Wilson odwrócił się i dostrzegł niewyraźny zarys postaci, która szybko zbliżała się w ich kierunku. Odepchnął Kimberley na bok.

Poczuł, że jego zaciśnięta pięść trafia w coś kruchego. Rozległ się nieprzyjemny, suchy trzask, a równocześnie coś uderzyło go mocno w lewy bark.

Oszołomiony nagłym bólem ponownie zamachnął się szeroko, lecz tym razem jego pięść rozcięła bezsilnie powietrze. Spojrzał w dół i ze zdumieniem stwierdził, że przeciwnik leży nieruchomo na ziemi.

Wilson uklęknął i koniuszkami palców dotknął leżącego stwora.

— Do licha, złamałem mu kark — mruknął. — Przecież nie uderzyłem go aż tak mocno. . .

— Wielu z nich jest już w tak wielkim stopniu zaabsorbowanych przez grzyb, że ich ciała stały się niezwykle kruche — powiedział Carter. — Jest w nich więcej grzyba niż szkieletu i mięśni. Prawdopodobnie coś takiego stanie się wkrótce ze mną. . . och, proszę posłuchać!

Z oddali dobiegał szmer niewyraźnych głosów — rodzaj gniewnego brzęczenia, zupełnie jakby gdzieś w pobliżu budził się do życia ul pełen pszczół.

— Obawiam się, że pani krzyk poniósł dość daleko — powiedział Carter. — Idą za nami. . .

Wilson wstał. W dłoni trzymał metalowy pręt, którym ugodził go stwór. Złapał Kimberley za ramię i pociągnął za sobą.

Wyjście z cmentarza nie zajęło im dużo czasu. Gdy znaleźli się na Harrow Road, Wilson zawahał się i przystanął.

— Jak daleko stąd znajduje się nasz samochód? — zapytał niecierpliwie.

— Około pół mili.

Szmer rozłoszczonych głosów stawał się coraz bliższy.

— Musimy do niego dotrzeć. Pospieszcie się!

Nie było to łatwe. Tym razem droga prowadziła z góry. Wilson szybko zorientował się, że prześladowcy dościgną ich na długo, nim uda im się dotrzeć do samochodu.

Powiedział o tym Carterowi, który w miarę pokonywanych metrów oddychał z coraz większym trudem.

— Może. . . będę. . . w stanie. . . ich. . . powstrzymać — wysapał z trudem Carter. — Zauważyłem. . . niezwykle grzyby. . . niedaleko. . .

50 jardów dalej skręcił w stronę wysokiej ściany okalającej cmentarz. Wilson podążył za nim i spostrzegł, że mur pokrywa niezliczona ilość białych, podobnych do trąbek grzybów.

— Gigantyczny *cyathus* — stwierdził Wilson, przyglądając się niezwyklej naroślom. Odwrócił się i zauważył, że ich pierwsi prześladowcy znacznie się zbliżyli, chociaż tłum pozostawał jeszcze z tyłu. Zgadywał, że ci, którzy wysforowali się do przodu są w mniejszym stopniu porośnięci grzybem i mogą się sprawniej poruszać.

Gdy dobiegli do końca pokrytego grzybem muru, Carter zatrzymał się i powiedział:

— Niech pan uderzy mocno w tę ścianę. Najlepiej tym prętem. . .

Wilson zrozumiał natychmiast. Zamachnął się i z całych sił uderzył o ścianę. Od impetu zdrętwiało mu ramię. Uderzył jeszcze raz.

Z najbliższego grzyba wystrzeliło nagle coś, podobnego do piłki krykietowej na sprężynie i z niezwykłą szybkością przeleciało na drugą stronę ulicy.

Uderzył w ścianę jeszcze kilkakrotnie i wkrótce jego wysiłki nagrodzone zostały sukcesem. Wzdłuż całego rzędu grzyba nastąpiła gwałtowna erupcja dziwnych kul. Jeden ze ścigających ich stworów wrzasnął. Wilson z łatwością mógł sobie wyobrazić, co się z nim stało. . .

W konwencjonalnym grzybie z gatunku *cyathus* znajduje się tuzin lub więcej kulek, zawierających zarodniki. Spoczywają one na zwiniętych na kształt sprężyny strzępkach. Gdy grzyb jest już w pełni dojrzały, nawet upadek kropli deszczu może uaktywnić cały mechanizm. Kule z zarodnikami wylatują z grzyba, ciągnąc za sobą długie nici strzępek, które przyklejają się i oplatają wszystko, w co trafiają.

W grzybie takich rozmiarów musiało panować ogromne ciśnienie. . .

Okrzyki trafionych wydawały się to potwierdzać.

— Niezły pomysł — mruknął Wilson, odwracając się w stronę Cartera. Miał zamiar klepnąć go w ramię, lecz w ostatniej chwili powstrzymał uniesioną już do góry dłoń. Przypominał sobie, z czego to ramię było obecnie zbudowane.

— To tylko taktyczny manewr opóźniający — syknął Carter. — Paru zginie, z pewnością, lecz nie powstrzyma to reszty. Co ma pan zamiar zrobić, gdy dotrzemy do samochodu?

— Będzie to zależało od tego, co w nim znajdziemy. Lecz jeżeli się nie mylę. . .

Przed nimi majaczył niewyraźny zarys leżącego na boku Stalwarta. Wilson przeskoczył rury budynku i z niepokojem obejrzał bagażnik, mieszczący miotacze ognia. Na szczęście wyglądał na nietknięty. Co prawda było parę śladów wskazujących na próby otwarcia bagażnika siłą, lecz pancerna płyta okazała się wystarczająco solidna.

Wilson obejrzał się z trwogą. Gniewne głosy nadciągającego tłumu stawały się coraz bliższe.

Z wściekłością zaatakował prętem zamek bagażnika.

Starł się ignorować ból, którym po każdym uderzeniu pulsowały mu całe ramiona. W końcu coś trzasnęło. Wrzasnął z radości, chwycił pokrywę bagażnika i podniósł ją w górę.

Szybko wyciągnął jeden z miotaczy, starając przypomnieć sobie równocześnie instrukcje Slococka.

— Boże. . . ! — wykrzyknęła nagle przestraszona Kimberley.

Z ciemności ukazał się nagle wysoki kształt pokryty czymś, co wyglądało jak białe piłki tenisowe. Wilson, wciąż nie mógł poradzić sobie z uruchomieniem

miotacza. Końcówką dyszy uderzył stwora na odlew w twarz. Rozległ się cichy trzask i napastnik runął na ziemię. Lecz już zbliżało się kilku następnych.

Nareszcie! Udało mu się odnaleźć przycisk, który uruchamiał zapłon. Teraz należało tylko przekręcić zawór — syk ulatniającego się gazu wydał mu się wręcz rozkoszny...

Płomień wystrzelił z ogłuszającym rykiem. Strumień ognia w panujących ciemnościach był tak jaskrawy, że Wilson musiał zmrużyć oczy.

W jego blasku ujrzeli scenę, jakby żywcem przeniesioną z koszmarnych mallowideł Hieronima Boscha — całą ulicę, zmienioną w surrealistyczny krajobraz, zapełniała masa stworów, których rodowód sięgać musiał najgłębszych czeluści piekieł.

Wilson, polewając strumieniem płynnego ognia wrzeszczące postacie, pomyślał nagle, że być może rzeczywiście znalazł się w piekle. Być może zmarł na atak serca w swym domku w Irlandii, a to wszystko, co wydarzyło się od tej pory było jedynie jego osobistą impresją jazdy w dół...

W końcu, przypominając sobie wskazówki Slococka, zmniejszył płomień.

Parę stworów płonęło. Biegały w kółko wyjąc i wymachując dziko ramionami, a okrywająca je skorupa zwijała się od żaru i kurczyła. Wilson spoglądał na to wszystko bez żadnych emocji. Czuł się zupełnie odrętwiały.

Ponownie zwiększył płomień.

Masa wrzeszczących postaci pękła, rozbiegając się we wszystkich kierunkach. Paru przypominało żywe pochodnie, siejące w mrok snopy iskier...

Ruszył do przodu. Końcówką dyszy zakreślał szeroki łuk, rozpylając przed sobą ścianę ognia. W końcu wyłączył miotacz i rozejrzał się dookoła.

Za wyjątkiem leżących już nieruchomo lub drgających spazmatycznie i dopalających się ciał nie dostrzegł nikogo. Powietrze wokół śmierdziało.

Wilson odwrócił się i podszedł do samochodu. Kimberley i Carter stali zupełnie nieruchomo, oświetleni zwodniczym blaskiem pełzających obok płomieni.

Wilson z dreszczem przerażenia stwierdził, że Carter niewiele różni się wyglądem od stworów, które właśnie spalił. Kimberley także w niewielkim stopniu przypominała człowieka. Ze sklejonymi włosami, ciałem poplamionym gęstym sokiem, oświetlona czerwonym blaskiem wyglądała jak kobieta-demon.

Zastanawiał się, jak sam wygląda — nagi i uzbrojony w miotacz płomieni...

Usłyszał niski, zawodzący jęk.

Wilson nawet się nie obejrzał. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

— I co teraz? — zapytał bezradnie Cartera.

— Teraz pójdziemy zobaczyć się z pańską żoną — odparł spokojnie naukowiec.

— Z moją żoną? — powtórzył zaskoczony Wilson. — Wie pan, gdzie jest Jane?

— Wiem to już od paru dni.



— A więc ona wciąż żyje! Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknął uszczęśliwiony Wilson. — A co z moimi dziećmi? Synem i córką? Czy są razem z nią?

— Przykro mi — syknął Carter — ale nie wiem. Muszę sprostować też nieporozumienie. Nie widziałem pańskiej żony. Wiem, gdzie przebywa, ale nie udało mi się do niej dotrzeć. Jej wyznawcy strzegą dostępu zbyt dobrze.

— Co takiego? Jej wyznawcy? O czym pan mówi?

— Pańska żona jest w tej chwili bardzo ważną osobistością, panie Wilson — odparł Carter i wydał z siebie ten suchy, trzeszczący dźwięk ekwiwalent śmiechu. Właściwie mógłbym powiedzieć, że zajmuje najwyższą pozycję w tym świecie. I to nie tylko w przerośni. . .

## Rozdział czwarty

Sloccock był kompletnie pijany. Skończył właśnie jedną butelkę whisky i otwierał drugą. Wiedział, że kto inny leżałby już na podłodze w kałuży własnych wymiocin, ale on miał pojemność czołgu Chieftain.

— Nie ma dwóch zdań! — wykrzyknął zataczając się po pokrytym grzybem pomieszczeniu i ściskając w dłoni kolejną butelkę. — Mogę wlać w siebie... — nagle urwał, gdy coś nieprzyjemnie zachrząściło mu pod butem. Z trudem utrzymując równowagę spojrzął w dół i zobaczył, że nadepnął na pozostałości człowieka, którego zastrzelił. But Sloccocka miażdżył mu właśnie czaszkę.

Przepraszam, koleś — burknął sierżant i powrócił na stołek. Wgramolił się na niego niezgrabnie i pociągnął serdecznie z butelki. Po chwili nagłym ruchem podrzucił Sterlinga w górę i wypalił długą serię w sufit, rozsiewając wokół szczątki grzyba i fragmenty tynku.

— Czas, panowie, czas! — wrzasnął. — Mogę prosić o wasze szklaneczki? — wybuchnął szalonym śmiechem, lecz nagle urwał, czując w okolicy czoła dotkliwy ból. Czyżby kac? Ale przecież nie skończył jeszcze pić. Przesunął dłonią po spoconym czole i, zaskoczony, zrobił to jeszcze raz. Nie mógł w to uwierzyć. Włosy! Jego rzednące już wyraźnie włosy zaczynały rosnać od nowa! Grube i gęste!

— To trzeba oblać — mruknął uszczęśliwiony i podniósł butelkę. Był zbyt pijany, aby zastanawiać się głębiej nad tym zjawiskiem. Żyli przecież w tak dziwacznych czasach...

Włożył butelkę do kieszeni bluzy, zebrał porozrzucone na blacie magazynki i ześliznął się ze stołka. Postanowił znaleźć sobie kobietę. Taką, która nie będzie pokryta tym świństwem. W całej okolicy musi być przecież jedna lub dwie...

Wytoczył się ze zrujnowanego pubu i ruszył w dół Ladbroke Grove. Czuł się szczęśliwy. Miał trzy najważniejsze rzeczy — butelkę whisky, broń i gotową do działań męskość. Czego mężczyzna może potrzebować więcej oprócz chętnej kobiety?

Idąc w dół ulicy, dostrzegł parę skulonych, przemykających wzdłuż ścian sylwetek. Jakby nie chciały, aby ktokolwiek je zobaczył, pomyślał z rozbawieniem Sloccock. Któż zresztą mógłby je za to winić? W pewnej chwili natknął się na

stworu, który wyglądał, jakby cały pokryty był nadymanymi prezerwatywami. Choć Sloccock był pijany, zrobiło mu się na ten widok niedobrze i natychmiast go zastrzelił.

Zabił jeszcze czterech innych ludzi-rzeczy, którzy tkwili razem, okręceni grubymi strzępkami grzyba. Robię wam tylko grzeczność, pomyślał otwierając ogień, podczas gdy oni próbowali uciekać we wszystkie cztery strony jednocześnie.

Podczas tej wędrówki zupełnie stracił poczucie czasu. A w dodatku orientację i zupełnie nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje. Te pokryte grzybem ulice wyglądały zupełnie jednakowo.

Nagle, gdy zaczynało mu już brakować zarówno whisky, jak i amunicji, bo po drodze pozabijał mnóstwo stworów dostrzegł wreszcie to, czego szukał. Kobieta. Kobieta o czystej, białej skórze. I cała była jego.

Jedynie co musiał zrobić, to pozbyć się tych dwóch puszystych frajerów, którzy usiłovali ją zgwałcić.

\* \* \*

Reflektory samochodu wciąż działały. Wilson zapalił je i pomógł Carterowi wspiąć się do przedziału mieszkalnego, przewyciężając wreszcie niechęć do dotykania odrażającego roślinnego pancerza. Po raz pierwszy spoglądał na Cartera w pełnym świetle i wydało mu się nieprawdopodobne, aby pod tą niekształną, pokrytą brodawkami skorupą, kryła się jeszcze istota ludzka.

Carter wydawał się czytać w jego myślach. Spojrzał swym jedynym, widocznym jeszcze okiem i powiedział:

— Niezbyt przyjemny widok, prawda? Sądzi pan, że zarost coś by tu pomógł? Na przykład broda? — ponownie zaniósł się tym dziwnym, imitującym śmiech dźwiękiem.

Zakłopotany Wilson odwrócił się. Kimberley polewała się właśnie resztkami pitnej wody, bezskutecznie usiłując zmyć z siebie plamy soku. Oglądała się uważnie w lusterku, szukając śladów infekcji. Wilson zrobił to samo. Jednak mimo pokrywającej go warstwy żółto-zielonej mazi i płatów sadzy, jego ciało wydawało się wolne od grzyba.

Obserwując ich, Carter stwierdził:

— To zadziwiające, że do tej pory udało wam się uniknąć infekcji. A przecież wystawieni byliście na bezpośrednie działanie grzyba przez dość długi czas.

Wilson powiedział mu o specyfiku, który wstrzykiwała im Kimberley.

— Ale niestety to koniec — powiedziała gorzko dziewczyna, pokazując porzucane fiołki z lekarstwami. Ich prześladowcy zniszczyli wszystko, co tylko wpadło im w ręce.

Wilsona poraziło nagle straszliwe podejrzenie. Otworzył skrytkę, w której było zapasowe radio i z przerażeniem zobaczył, że jest kompletnie zniszczone.

— A więc to rzeczywiście koniec — powiedział załamującym się głosem. — Nawet jeżeli odnajdziemy Jane i zmusimy ją do mówienia, nie będziemy mogli przekazać wiadomości. . .

— Sądzę, że akurat z tym da się coś zrobić — powiedział Carter. — Jestem wręcz fanatykiem sprzętu radiowego. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, kosztowało to mojego ojca fortunę. Lecz dzięki temu nie ma w tej chwili zbyt wielu rzeczy, których bym nie wiedział o radiu. W budynku Telekomunikacji udało mi się wyprzedzić inwazję grzyba i zbudować tam coś w rodzaju stacji nasłuchowej. W ten właśnie sposób dowiedziałem się o waszej ekspedycji. Jestem pewien, że uda mi się zbudować nadajnik. W wieży budynku Poczty wciąż jeszcze znajduje się sporo części zapasowych.

— Gdzie jest Jane? Także w tej wieży?

Carter skinął powoli głową.

— Na samym szczycie. A jej wyznawcy strzegą jedynej prowadzącej tam drogi.

Wilson zmarszczył brwi. Nie mógł wciąż jeszcze pojąć tej nieprawdopodobnej historii, jaką uraczył go Carter.

— Powiedział pan, że ci ludzie ją c z c z a. Ale dlaczego, na Boga?

— Najwidoczniej wierzą jej, gdy mówi, że to ona stworzyła te grzyby i ma nad nimi pełną kontrolę. Jej wyznawcami są wyłącznie kobiety. Nie wiem, dlaczego.

— Ale co ona właściwie robi na szczycie tej wieży?

— Doszło do mnie parę pogłosek, jakoby stworzyła tam pewnego rodzaju laboratorium.

— Myśli pan, że może pracować nad sposobami powstrzymania grzyba?

— Z tego, co o niej słyszałem, wątpię.

Wilson westchnął z rezygnacją.

— No cóż, przynajmniej jest żywa i zachowuje się na tyle racjonalnie, aby odtworzyć laboratorium. A to oznacza, że prawdopodobnie wciąż jeszcze jest zdolna do opieki nad dziećmi — odwrócił się w stronę Kimberley, która wciąż zawzięcie polewała się wodą. — Przestań marnować naszą ostatnią wodę — polecił ostro.

— Muszę być pewna, że to rzeczywiście ja! — wykrzyknęła, odwracając się do niego plecami. — Widzisz coś? Powiedz mi prawdę. . .

— Wyglądasz prześlicznie — powiedział po uważnym obejrzeniu jej pośladków i pleców. Po chwili ze szczytków zaścielających kabinę wyłowił filiżankę. Przesuń się, chce mi się pić!

— Ty wcale o mnie nie dbasz! — wykrzyknęła oskarżycielsko, gdy napełniał filiżankę wodą. — Niedługo będziemy wyglądać jak t o, a ty masz wszystko gdzieś!

Wilson spostrzegł, że wskazywała na Cartera.

Nic nie odpowiedział. Zamiast tego ponownie napełnił filiżankę i wręczył ją Carterowi.

Kimberley mruknęła coś pod nosem i podeszła do drzwi komory powietrznej.

— Dokąd idziesz? — powstrzymał ją Wilson.

— Wysiusiać się. Nie będę się przecież tutaj kładła.

Miała rację. Pomieszczenie z chemiczną toaletką znajdowało się teraz w pozycji horyzontalnej.

— Nie odchodź daleko od samochodu — polecił Wilson. — I uważaj na wszystko, co się rusza. . .

Obserwował, jak wysuwa się przez właz na zewnątrz. Dziewczyna wydawała się być zupełnie nieświadoma własnej nagości i Wilson patrząc na nią poczuł, że narasta w nim pożądanie.

— Bardzo atrakcyjna kobieta — zauważył Carter.

— Tak — zgodził się z nim Wilson boleśnie świadomy, że jego pożądanie stało się w pełni widoczne. — Jednak wolałbym, aby coś na siebie założyła. I abym ja mógł coś na siebie założyć.

Carter ponownie roześmiał się swym zgrzytliwym śmiechem.

— Nie wzięliście ze sobą żadnych ubrań?

Wilson opowiedział mu o ataku grzyba, który pożarł wszystko, co wykonane było z materii organicznej.

— No cóż — powiedział Carter po wysłuchaniu wyjaśnień Wilsona. — Jeżeli chodzi o klimat panujący w tej chwili w Londynie, to nie będziecie potrzebowali żadnych ubrań. Grzyby podniosły średnią temperaturę co najmniej o pięć stopni. Wilgotność także wzrosła. . .

— A w końcu i tak garnitur z grzyba stanie się obowiązującym strojem wieczorowym zauważył gorzko Wilson.

— Właśnie. Ale wy mieliście szczęście. Być może szczepionki zapewniły wam jednak odporność.

— Być może — Wilson nie wierzył w to ani trochę.

— Dziwny skład jak na taką ekspedycję — powiedział po chwili milczenia Carter. — Chodzi mi o pańską towarzyszkę podróży.

— Kimberley? Początkowo sprawiała wrażenie twardej i zdecydowanej na wszystko. Lecz gdy dowiedziała się, że testy z megacryną zakończyły się niepowodzeniem, załamała się kompletnie. Wierzyła, że ta szczepionka zapewni jej stuprocentową odporność na infekcję. W przeciwnym wypadku nigdy by nie pojechała. . .

— Ale dlaczego właściwie pojechała?

— To, doktorze Carter, jest bardzo dobre pytanie.

\* \* \*

Kimberley oddalała się od samochodu uważając, by omijać wciąż jeszcze dymiące ofiary miotacza Wilsona. Strach, który ścisnął jej żołądek był jak trudny

do przewyciężenia ból. Czuła się przerażona i bezradna. Nie miała jednak dokąd uciekać, gdzie się skryć przed nieuniknioną infekcją. Najprawdopodobniej już coś w niej rośło. . .

Na początku to wszystko wydawało się jedynie podniecającą przygodą, a teraz. . .

Kucnęła pośród rumowiska. Przynajmniej kostka nie bolała ją już tak bardzo. . . Nagle tuż za sobą usłyszała jakiś szelest. Odwracała właśnie głowę, gdy czyjaś dłoń zatkała jej brutalnie usta i pociągnęła do tyłu.

Próbowała krzyżeć, lecz nie mogła wydać z siebie nawet jęku. Po chwili krępijąca ją ręka cofnęła się. Jednak gdy otworzyła usta, ktoś włożył w nie coś śliskiego, ponownie pozbawiając ją tchu. Rozpoznała ohydny smak grzyba.

Jak przez mgłę czuła, że ktoś chwyta ją za kostki u nóg i ciągnie. Próbowała walczyć wbijając paznokcie w ziemię, ale gąbczaste podłoże było zbyt elastyczne. . .

W końcu udało jej się podnieść głowę na tyle wysoko, że była w stanie dojrzeć swych napastników. Było ich dwóch — każdy trzymał jedną nogę — a obydwaj bardzo wychudzeni. W niewyraźnym świetle księżyca widziała jedynie ich plecy, gęsto upstrzone kraterami brodawek.

Nie miała pojęcia, jak daleko oddalili się od samochodu. Nagle oba stwory zatrzymały się i puściły ją. Oszołomiona, dopiero po chwili usłyszała miękkie, szepczące głosy:

— Idź. . . pierwszy. . .

— Nie. . . zaczekam. . . ten bieg. . . muszę złapać. . . oddech. . .

Te głosy brzmiały jak u ludzi cierpiących na ostre zapalenie krtani. Zastanawiała się, o czym właściwie rozmawiają.

— Boisz się. . . że już nie możesz. . . tego robić?

— Mogę. Potrzebuję trochę czasu. Ty idź. Rozgrzej ją dla mnie.

Z dreszczem obrzydzenia stwierdziła, że rozmawiają o niej. Chryste, pomyślała. Oni chcą mnie zgwałcić. Przebyłam całą tę drogę tylko po to, aby zgwałciły mnie te dwa ohydne, zdychające potwory. . .

Spróbowała usiąść, lecz silne uderzenie w twarz ponownie rozciągnęło ją na ziemi.

Brutalnie rozchylili jej nogi.

Poczuła na sobie ciężar gorącego i lepkiego ciała, a równocześnie coś wielkiego wtargnęło w nią boleśnie.

Przerażenie i wstręt dodały jej sił. Przekręciła się szybko na bok, odpychając przy tym gwałciela do tyłu. . .

Rozległ się suchy trzask, a po chwili wysoki, zawodzący krzyk. Spojrzała w górę i spostrzegła, że jej niedoszły partner klęczy tuż obok niej trzymając się za krocze. Spomiędzy zaciśniętych kurczowo palców wypływały czerwone strużki krwi.

— Co się stało? — wykrzyknął jego kompan pełnym niepokoju głosem. — Co ona ci zrobiła?

Ten pierwszy jednak nie przestawał wrzeszczeć. Kimberley dopiero teraz zorientowała się, że jego członek wciąż znajdował się w niej. Był do tego stopnia wypełniony grzybem, że podczas szamotaniny po prostu się odłamał. . .

Fala nagłego obrzydzenia sprawiła, że zwymiotowała. Długo krztusiła się i kaszłała, próbując wypluć resztki grzyba. A potem sięgnęła w dół, by wyjąć. . .

Nagle czyjaś dłoń chwyciła ją za włosy i brutalnym szarpnięciem odchyliła głowę do tyłu. Zorientowała się, że wpatruje się w coś, co kiedyś było twarzą. Widziała już takie twarze. W Afryce. W kolonii trędowatych.

— Zabiję cię za to, co mu zrobiłaś — zaskrzeczała pozbawiona warg twarz.

W tej samej chwili rozległo się bardzo głośne, zwierzęce wycie i górna część twarzy potwora przestała istnieć. Przewrócił się na nią, opryskując krwią. Wrzasnęła i odepchnęła go na bok.

Jego kompan najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Kompletnie zaskoczony rozglądał się nerwowo dookoła. Niewidoczne zwierzę zawyło ponownie, tym razem dłużej. Ciało stwora podskoczyło i zadrżało, zupełnie jakby zamierzało rozsypać się w kawałki. Potem upadło.

Cisza.

Z cienia budynku wyszła jakaś postać. Po chwili Kimberley usłyszała znajomy, pijacki bełkot:

— Niezwyciężona Armia Brytyjska nadciąga na pomoc, doktorku. Nieźle strzelanko, nie chwaląc się.

Był to Slocock. Ulga była tak silna, że nieomal zemdląca.

— Dzięki Bogu — wyszeptwała.

A potem zobaczyła jego twarz i zaczęła krzyczeć.

## Rozdział piąty

Sloccock był zły i rozgoryczony. Uratował ją przed tymi śmierdzącymi palantami, a ona zachowuje się, jakby był żądnym jej krwi hrabią Dracula.

— Kim, to przecież ja! Stary sierżant Sloccock! Człowiek o magicznych palcach — klęknął tuż obok niej i wierzchem dłoni odgarnął opadające na oczy włosy. To zadziwiające, jak szybko odrastały. Dziewczyna nie przestawała krzyżeć. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi przerażeniem oczyma i niezgrabnie, na łokciach i piętach, odsuwała się do tyłu.

Włosy! To dlatego nie mogła go rozpoznać. Wszystko przez te włosy. Musiały sprawiać, że wyglądał o dziesięć lat młodziej.

Posuwał się w ślad za nią, powtarzając:

— Kim, ty głupia suko! To ja! Mam tylko więcej włosów, to wszystko. . .

Nieporadnie podniosła się na nogi, odwróciła i gnana paniką pobiegła przed siebie, potykając się i ślizgając po nierównej powierzchni. Zaklął pod nosem i ruszył za nią. Nie wiadomo, w jakie jeszcze kłopoty gotowa się wpakować, jeżeli jej nie złapie.

Ponownie wykrzyknął jej imię, lecz dziewczyna zniknęła już za rogiem. Pobiegł za nią prosto w jedną z bram piekieł.

Dostrzegł jedynie pędzącą wprost na niego ścianę ognia. Zamknęła go w swym rozżarzonego uścisku. W następnej sekundzie oczy utraciły już zdolność widzenia. Upodobniły się do dwóch białych, ugotowanych na twardo jajek. . . Choć słyszał, jak jego całe ciało trzeszczy i pęka pod wpływem piekielnego żaru, to jednak system nerwowy nie zdołał jeszcze zareagować odpowiednimi bodźcami. Przez kilka straszliwych sekund Sloccock był w pełni świadomy tego, co się z nim dzieje, gdy nagle eksplodowały umieszczone przy pasku magazynki z amunicją. Jeden z pocisków wtargnął miłosiernie w głęb mózgu. . .

Wilson wyłączył miotacz płomieni i podszedł powoli w stronę poczerńałego, nieruchomego kształtu. Zaskoczył go odgłos eksplodującej amunicji. Nie przypuszczał, że stwór mógł być uzbrojony.

Westchnął i spojrzął na trzymaną w dłoniach końcówkę miotacza. Niedobrze, że używanie tej potwornej broni przeciwko tym nieszczęśliwym istotom stawało się coraz łatwiejsze. To zły znak.



Rozejrzał się w poszukiwaniu Kimberley. W końcu dostrzegł ją klęczącą na podłodze parę metrów dalej. Tkwiła nieruchomo, dotykając niemal czołem ziemi.

— Wszystko w porządku, Kimberley? — zapytał zdziwiony i postąpił krok do przodu.

— Nie zbliżaj się — krzyknęła histerycznie.

Zatrzymał się i wzruszając ramionami spojrzął wymownie w stronę Cartera.

Kimberley udało się wreszcie wyciągnąć pozostałość złamanego członka. Z grymasem obrzydzenia odrzuciła go najdalej, jak tylko mogła i zwymiotowała ponownie. Po drugim ataku szarpiących jej wnętrza torsji wstała i podeszła chwiejnie w stronę Wilsona i Cartera.

— Dobrze się czujesz? — zapytał z troską w głosie Wilson.

— Już nigdy nie będę się czuła dobrze — odparła. Przed oczami wciąż miała twarz Slococka — a przynajmniej to, co z niej pozostało. Te grube macki, wystające z jego czaszki jak tłuste robaki...

W tej twarzy dostrzegła swoją własną przyszłość.

— Wiesz, kogo właśnie przed chwilą spaliłeś? — zapytała Wilsona, wskazując na poczerńiałe, dymiące zwłoki.

— O czym ty mówisz? Skąd mam wiedzieć? Gonił cię...

— A zresztą, to i tak już nieważne... — powiedziała cicho.

— Uważam, że powinniśmy ruszać — wtrącił Carter. — Mamy przed sobą długą drogę.

— Możesz iść, Kimberley? — zapytał Wilson. — Czy może chciałabyś przez chwilę odpocząć?

— Nic mi nie jest. Chodźmy stąd — odparła słabo.

— Proponuję, abyśmy skierowali się w stronę Bayswater Road — powiedział Carter. — Przejście przez Paddington jest zupełnie niemożliwe. Mosty na Westway i Marylebone załamały się. Wydaje się, że jeden ze zmutowanych grzybów jako proces uboczny swego metabolizmu powoduje chemiczne zmiany w betonie. Obawiam się, że za parę miesięcy w Londynie nie będzie ani jednego, całego budynku.

Wyruszyli w drogę. Za nimi pozostało zapomniane przez wszystkich — nawet przez Kimberley — ciało Slococka. Zaczynało już stygnąć.

Zbliżał się świt, gdy dotarli do Bayswater Road. Wilson zgadywał, że musi być co najmniej piąta rano — i świat grzyba zaczął prezentować się w swej przeraźliwej okazałości.

Hyde Park stał się nieprzeniknionym gąszczem gigantycznych grzybów. Wiele z nich posiadało jaskrawo kolorowe kapelusze, co w efekcie przypominało scenę ze starych kreskówek Disneya.

Budynki po drugiej stronie ulicy w całości pokryte były warstwą puszystej szaroburej pleśni. Swój kształt zachowały jedynie najwyższe budynki — warstwa

grzyba w miarę posuwania się ku górze stawała się coraz rzadsza, ukazując całe partie nietkniętego na razie szkła, betonu lub stali.

Kilkakrotnie widzieli przemykające ulicą stwory — ludzi — jak nie przestawał powtarzać sobie Wilson. Raz musieli użyć całej, niszczycielskiej siły ognia, by powstrzymać gromadzący się tłum. Wilson wiedział, że przedmiotem tej niezdrowej sensacji były ich nietknięte jeszcze infekcją ciała. Zaczynał poważnie obawiać się, że zabraknie benzyny w zbiorniku miotacza, zanim dotrą wreszcie do wieży Poczty.

Wilson spostrzegł, że Kimberley bezustannie i obsesyjnie ogląda własne ciało. Było to w dodatku zaraźliwe — coraz częściej łapał się na tym, że sam ogląda nerwowo swoje przedramiona i klatkę piersiową lub przesuwając palcami po twarzy i plecach.

— W dalszym ciągu nie widzę u pana ani śladu infekcji — powiedział Carter, gdy Wilson oglądał się już chyba po raz setny. Zakłopotany posłał mu blade uśmiech.

— Przepraszam, ale nie potrafię się powstrzymać. To prawdopodobnie przez to czekanie. Gdy coś wreszcie na sobie znajdę, poczuję prawdziwą ulgę.

— Wątpię.

— Pan się przecież przyzwyczaił. Nie wygląda na to, by ten grzyb sprawiał panu jakiś większy kłopot.

— No cóż, nie miałem wyboru.

— Jednak ta infekcja nieodmiennie kończy się śmiercią — powiedział Wilson ścisząc głos. — Mówiąc szczerze, obawiam się jej reakcji, gdy uświadomi to sobie w pełni — ruchem głowy wskazał na Kimberley, która szła parę kroków przed nimi. — Przepraszam, że o to pytam, ale gdy zorientował się pan, że jest ofiarą infekcji, nie myślał pan o samobójstwie?

— Istotnie rozważałem taką możliwość — przyznał spokojnie Carter. — Ale nie jestem wystarczająco odważny. Śmierć wciąż mnie przeraża. Chciałbym żyć tak długo, jak tylko będzie to możliwe. I nawet w takim stanie, jak teraz.

Przechodzili właśnie przez Marble Arch. Sam łuk był jednak niewidoczny, skryty całkowicie pod okrywającym go szczelnie grzybem. Tuż za nim zaczynała się Oxford Street — dziwny, puszysty kanion.

Wilson zasugerował, by udać się do wieży najkrótszą drogą, lecz Carter był zdecydowanie przeciwny. Twierdził, że większość mniejszych ulic jest zablokowana.

— Zrobimy najlepiej, gdy pójdziemy wzdłuż Oxford Street aż do Centrepoint, a potem wyjdziemy na Tottenham Court Road — mówił.

Kilkadziesiąt kroków dalej Wilson zatrzymał się nagle i w zdumieniu wpatrywał się w istne Ogrody Babilonu przegniłego grzyba, który w całości zasłaniał front jakiegoś dużego budynku. Rozpoznanie przyprawiło go o dreszcz podniecenia.

— Dobry Boże, to przecież musi być Selfridger! Rozejrzę się na chwilę w środku.

— Nie wiem, czy powinniśmy. . . — zaczął Carter z wahaniem w głosie.

Lecz Wilson odsuwał już włóknistą kurtynę na bok. Kimberley i Carter nie mieli innego wyjścia, jak podążyć za nim.

Weszli do środka przez strzaskane okno wystawowe. Wewnątrz sklepu nie było jednak jednolitej masy grzyba. Zamiast tego wszędzie kłębiła się różnorodność kształtów i kolorów. Wszystko pokrywał jaskrawy dywan. Powietrze było ciężkie od zapachu rozkładu.

Wilson rozglądał się wokół z niedowierzaniem.

— Razem z Jane przychodziliśmy tutaj na zakupy. Dawno temu, gdy byliśmy jeszcze. . . — zająknął się i urwał. W jakiś tajemniczy sposób to zrujnowane wnętrze znanego mu pomieszczenia zrobiło na nim większe wrażenie, niż przypuszczał. Nawet jeżeli przezwyciężą inwazję grzyba, nic nie będzie już takie, jak dawniej. Ani Londyn, ani tym bardziej on. . .

— Chodźmy stąd — powiedział nieswoim głosem.

Ruszyli dalej Oxford Street. Na jej końcu wznosił się

Centrepoint, którego najwyższe dwa lub trzy piętra zdawały się być zupełnie wolne od grzyba. Wilson wiedział jednak, że wkrótce porośnie on nawet dach budynku.

Skręcili w Tottenham Court Road. W tej samej chwili usłyszeli odległy rumor, dobiegający gdzieś od strony śródmieścia.

— Wala się domy — odpowiedział Carter na nieme pytanie zawarte w spojrzeniu Wilsona. — W miarę wyjadania przez grzyby betonu dzieje się tak niestety coraz częściej.

Wilson ponownie spojrzął na Centrepoint zastanawiając się, co się stanie, gdy i ten budynek w końcu runie. Na pewno — za żadne skarby nie chciałby znajdować się w pobliżu miejsca jego upadku.

W końcu doszli do wieży budynku Poczty. Przypominała ogromny muchomor.

Gdzieś tam powinna być Jane i miał nadzieję, że także dwójka ich dzieci. Jak oni teraz wyglądają? Jak te potwory, które co krok spotykali na ulicach?

Ta myśl sprawiła, że zrobiło mu się nagle niedobrze. Uświadomił sobie jak bardzo jest głodny. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czym pan się właściwie odżywia? — spytał Cartera.

— Tym samym, czym ten biedny nieszczęśnik — Carter pokazał stwora po drugiej stronie ulicy. Przypominał nadmiernie rozdętą reklamę opon Michelin. — Po prostu jem grzyby. Niektóre są nawet całkiem niezłe. Zawsze lubiłem zupę grzybową — parsknął swym zgrzytliwym śmiechem.

Roślinna warstwa sprawiała, że wieża wydawała się wyższa, niż była w istocie. Gdy podeszli bliżej, przytłoczyła ich ciężarem, ponurym ogromem.

Wilson przypomniał sobie, że kiedyś był tu na szczycie. Było to dawno temu, zanim IRA nie dokonała zamachu bombowego w siedemdziesiątym trzecim, była tam doskonała restauracja i taras widokowy...

Zbliżyli się do podstawy wieży.

— Gdzie jest pański sprzęt? — zapytał Wilson.

— W przyległym do wieży budynku Telekomunikacji. W stacji telewizyjnej w wieży jest chyba jeszcze coś, co może mi się przydać. Oczywiście, o ile uda się nam tam dostać. I będę musiał umieścić antenę tak wysoko, jak to tylko możliwe. Nie mogę nadawać z parteru. Grzyby wydają się absorbować fale radiowe.

— Skąd będzie pan czerpał prąd?

— W podziemiach jest awaryjny generator diesla. Wciąż utrzymują go w ruchu ludzie pańskiej żony.

— Po co? — Wilson nie potrafił ukryć zdziwienia.

— Najwidoczniej potrzebuje prądu do tego, co robi tam na górze.

Carter poprowadził ich do częściowo zasłoniętego grzybem wejścia. Po chwili przedostali się do wilgotnej, śmierdzącej stęchlizną klatki schodowej. Wilson sprawdził zapas benzyny w zbiorniku miotacza i zapalił płomień w końcówce dyszy.

— Proszę mi pokazać drogę na szczyt — zwrócił się w stronę Cartera. — I proszę tu czekać, dopóki nie wrócę. A gdy nie wrócę, to będzie pan wiedział, że mi się nie udało — odwrócił się ku Kimberley. — To samo dotyczy ciebie.

Dziewczyna potrząsnęła odmownie głową.

— Idę z tobą. Nie przeszłam całej drogi po to, aby się teraz zatrzymać.

— Będziesz mi tylko przeszkadzać.

— Będę szła za tobą — odparła nieustępliwie. — Ale idę.

Wilson westchnął z rezygnacją. Nie miał czasu ani niezbędnej energii na jałowe kłótnie.

Carter wprowadził ich na pierwsze piętro budynku Telekomunikacji, a stamtąd długim przejściem do podstawy wieży.

— Wie pan, gdzie dokładnie znajdują się strażniczki Jane?

— Znajdziecie je na całej drodze aż do szczytu. I nawet nie wiem, ile ich dokładnie jest. Chodzą grupami po dwie lub trzy. Te kobiety zupełnie powariowały. Mają przy sobie ostre włócznie i raz widziałem, jak ich używały. Więc niech się pan nie da zaskoczyć.

— Postaram się — powiedział kwaśno Wilson. Pomyślał o tych wszystkich skorupach, które spalił. W ilu z nich w środku tkwiły kobiety?

Carter odsunął w bok kurtynę strzępek, skrywającą wejście do spiralnej klatki schodowej, prowadzącej na sam szczyt wieży. Ściany i same schody pokryte były grubą warstwą lśniącego grzyba. Przypominało to rakowaty odbyt jakiegoś olbrzymiego ssaka...

Wilson nagle zapragnął odwrócić się i uciec. Czuł, jak całe ciało oblewa się lepkiem potem. Nie chciał wiedzieć, co go czeka u szczytu schodów.

— Co się stało? — zapytała zaniepokojona Kimberley, widząc wyraz jego twarzy.

— Nic — odparł i ruszył do przodu.

## Rozdział szósty

Wspinaczka w górę schodów była niezwykle utrudniona. Pokrywa gładkiego grzyba sprawiała, że stopnie były śliskie jak lód. Wilson, obciążony dodatkowym ciężarem miotacza ognia, parokrotnie potykał się idąc w górę.

Jedynym źródłem światła był wydostający się z dyszy niewielki płomyk. Wilsonowi wkrótce przyszło jednak do głowy, że może przynieść on więcej szkody niż pożytku. Przecież ktokolwiek jest tam na górze, z pewnością bez trudu spostrzeże zbliżający się blask ognika. W dodatku był pewien, że słyszy nad sobą jakieś niewyraźne dźwięki, zupełnie jakby ktoś ostrożnie schodził w dół. . .

Zatrzymał się, dając chwilę odpoczynku obolałym nogom. Nagle do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Odwrócił się ku wspinającej się tuż za nim Kimberley.

— Zostań tam, gdzie jesteś — powiedział głośno. — Schodzę w dół. Muszę coś sprawdzić.

— O czym ty mówisz? — odparła zirytowanym tonem. — Nic tam nie widzę.

— Cicho — syknął ostrzegawczo Wilson. Odwrócił się i skierował wylot dyszy w dół schodów, tak aby czerwony płomyk stał się z góry niewidoczny. Przez chwilę nasłuchiwał w skupieniu. Rzeczywiście, na górze było jakieś poruszenie, a nagą skórą wyczuwał leciutkie drżenie powietrza. Ktoś schodził ku nim w dół.

Przylgnął do zewnętrznej ściany klatki schodowej, odwrócił się błyskawicznie i wycelował dyszę w górę. . .

Długi jęzor ognia uderzył w przeciwległą ścianę i pomknął dalej, niknąc za centralnym filarem spirali. Wilson uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc pomimo ryku płomieni przeraźliwy, wysoki krzyk. . .

Po chwili sam wrzasnął, gdy z góry zaczęły spadać ogniste krople i jedna oparzyła go w stopę, której nie zdążył cofnąć.

Nagle tuż nad nim pojawiła się płonąca żywym ogniem postać. Zbiegała na oślep w dół, objając się o ściany w daremnej próbie zduszenia płomienia.

— Uważaj, Kimberley! — krzyknął, gdy ognista zjawa przebiegła tuż obok niego, parząc mu skórę.

Usłyszał okrzyk Kimberley, a potem odgłos upadku i staczania się czegoś ciężkiego po schodach.

— Wszystko w porządku, Kim?

Westchnął z ulgą, słysząc jej drżący głos:

— Tak, chyba tak. Złapała mnie za ramię, ale straciła równowagę i upadła. Jestem trochę poparzona, ale na szczęście to nic poważnego. Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, co robisz?

— Ponieważ równocześnie ostrzegłbym ją — tam na górze. I całą resztę.

Ruszył wyżej. Wkrótce blask płomienia wyłuskał z mroku kolejne ciało. Leżało na schodach i na szczęście nie ruszało się.

Spoglądając na nie, usłyszał nagle metaliczny zgrzyt. Zaostrzony pręt, rykoszetując od ściany, minął jego głowę zaledwie o centymetry. Natychmiast podrzucił dyszę w górę i wystrzelił. Odpowiedział mu okrzyk bólu i tupot oddalających się stóp.

Ponownie ruszył w górę. Trzymaj ich na dystans, powtarzał sobie bez ustanku. Nie pozwól, aby wymyślili coś sprytniejszego. . .

Przez parę minut nic się nie działo. Nagle usłyszał dobiegającą z góry serię głośnych trzasków. Początkowo nie zorientował się, co to znaczy, ale po chwili już nie miał wątpliwości. Z góry staczał się duży, metalowy przedmiot.

Przylgnął kurczowo do centralnego filaru i wrzasnął do Kimberley, by zrobiła to samo. Metaliczny grzmot przybierał na sile. Z pewnością było to coś dużego, co stopniowo nabierało szybkości. Cienia szansy, aby mogło ich ominąć. . .

Było już bezpośrednio nad nimi. Wilson napiął rozpaczliwie wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na cios.

Zza zakrętu wypadł duży cylinder, przypominający ogromny boiler. Gdy z grzmotem przemykał tuż obok, Wilson poczuł straszliwe uderzenie w biodro i obezwładniający ból.

— Kim. . . ? — wystękał krzywiąc się z bólu.

— W porządku. Ominęło mnie.

— To masz szczęście — spojrzał na swe pulsujące tęnym bólem biodro. Uderzając go, boiler zdarł spory kawałek skóry, która wisiała teraz luźno. Rana krwawiła mocno, lecz wyglądała na dość powierzchowną. Miał jedynie nadzieję, że przeciwnicy nie spuszczą mu za chwilę na głowę czegoś solidniejszego. Gdyby ten boiler był o parę stóp szerszy, bez wątpienia zmiotłby ich oboje na samo dno klatki schodowej.

Ponownie podjął wspinaczkę, zaciskając z bólu zęby. Lecz już po chwili musiał się zatrzymać. Z góry dobiegał tupot wielu stóp. „Oni” nadchodzili, aby przekonać się o efektach swojej sztuczki. . .

Odczekał parę sekund, a potem uruchomił miotacz, starając się nie zwracać uwagi na przeraźliwe wrzaski palonych żywcem ludzi. Zza załomu schodów wypadła kolejna, ognista figura. Przebiegła jeszcze parę kroków, a w końcu upadła i stoczyła się w dół jak ognista, sypiąca iskrami, kula. Odór spalonego grzyba przyprawiał Wilsona o mdłości.

Ruszył dalej. Po paru krokach natknął się na kolejne trzy ciała, wszystkie spalone i nieruchome. Lecz czwarte, leżące najwyżej, ciągle jeszcze drżało. Zignorował je i ruszył naprzód.

Wydawało mu się, że wspina się w nieskończoność. Powinien dochodzić już przecież do szczytu, lecz za każdym razem, gdy mijał kolejną kondygnację, widział przed sobą jedynie dalsze schody.

Nagle usłyszał płynący z góry czysty, kobiecy głos:

— Wycofaj się. Nie przejdiesz, nawet z tą diabelską bronią. Jest nas zbyt dużo. Zablokujemy was.

Z dreszczem grozy uświadomił sobie, że przecież rozpoznaje ten głos.

— Hilary? — zdziwienie zaparło mu dech. — To ty?

Ostatnim razem widział się z Hilary Burne-Smith w niewielkim pubie na Highgate. Była to noc, w której zdecydował się wreszcie powiedzieć, że ich krótki romans już się skończył. Było to wtedy, gdy próbował poprawić swe stosunki z Jane, zanim nie poddał się ostatecznie i nie wyjechał do Irlandii.

Hilary Burne-Smith była jedną z asystentek Jane, świeżo po Cambridge. W Londynie czuła się zupełnie obco. Mając to na uwadze, przy paru okazjach razem z Jane prosili ją na obiad. Za każdym razem odwoził ją do domu, aż pewnego razu zaprosiła go na kawę i...

Wiedział, że nie było to tylko wykorzystanie sytuacji. Hilary byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby straciła trochę na wadze. Właściwie to ona go uwiodła, chociaż prawdą było, że nie opierał się ani chwili. A miłość z nią okazała się zaskakująco dobra. Hilary w łóżku różniła się znacznie od tej nieśmiałej, bardzo pragmatycznej młodej kobiety, którą poznał przy stole w jadalni. Byłby szczęśliwy mogąc kontynuować ten związek, lecz poczucie winy wobec Jane zaczęło mu coraz bardziej przeszkadzać. W dodatku reakcja Hilary na jego oświadczenie była nieoczekiwanie emocjonalna. Nie obyło się bez łez i gorzkich słów wyrzutu. Czuł się tego wieczoru fatalnie.

To wszystko działo się dwa lata temu. Od tej pory nie widział jej ani razu. I oto teraz spotyka ją w tym mrocznym, tajemniczym przedsionku piekieł.

— To ty? — zapytała ze zdziwieniem. — To niemożliwe.

— A jednak to prawda. Barry Wilson we własnej osobie. Co słychać, Hilary? Odpowiedziała mu dopiero po długiej chwili ciszy.

— Dlaczego tu przyszedłeś? I dlaczego pomordowałeś moje siostry?

Słyszając słowo „pomordowałeś”, Wilson wzdrygnął się.

— Muszę się zobaczyć z Jane... porozmawiać z nią. To bardzo ważne. Tylko ona może uratować resztę ludzkości przed grzybem.

Gdzieś tam, w ciemnościach, Hilary roześmiała się. Ze względu na okoliczności, Wilsonowi wydało się to dość zaskakujące.

— Ludzkość przegrała — powiedziała w końcu dziewczyna. — Zaprowadzony został nowy ład, który usunie z powierzchni ziemi wszystkie grzeszne dzieła



człowieka. Już wkrótce cały świat stanie się miękki i puszysty, a prymitywny człowiek zniknie z powierzchni ziemi. Tylko ci, którzy z radością powitają nadchodzącą miękkość — staną się jej częścią — zostaną uratowani.

Wypowiadane przez nią słowa przypominały recytowaną mechanicznie litanię.

— Na razie ta miękkość jest wyłącznie w twojej głowie — powiedział ostro Wilson. — Na Boga, Hilary, przecież jeszcze nie tak dawno byłeś naukowcem! Przecież w tak krótkim czasie nie mogłaś tak się zmienić. Gdzieś w tobie musiała pozostać jeszcze resztką racjonalnego myślenia. Posłuchaj mnie, Hilary! Posłuchaj uważnie. Jesteś chora! Lecz jeszcze wciąż możesz ochronić innych, którzy nie są chorzy!

Kolejna, długa chwila ciszy. Gdy przemówiła ponownie, jej głos był inny:

— Masz rację, Barry... Jestem... Jestem chora. Ale co mogę zrobić? Możesz mi pomóc? Nie potrafię... myśleć... rozsądnie... — jej głos załamał się nagle i Wilson zdał sobie sprawę, że dziewczyna płacze. Po chwili usłyszał, jak schodzi w dół. Szła niepewnie, oświetlona drgającym blaskiem płomienia dyszy. Była wciąż rozpoznawalna jako kobieta. Cienka warstwa pleśni przypominała rodzaj obcisłego kostiumu, który okrywał ją od stóp do głów. Mógł dostrzec ruch jej ciężkich, pełnych piersi. Jej oczy — tak dobrze mu znane — pełne były desperacji...

— Hilary... — szepnął.

Wyciągnęła ku niemu ramiona.

— Pomóż mi — poprosiła cicho.

Rzuciła się na niego.

Zanim zorientował się, co się właściwie dzieje, stracił równowagę i prawie wypuścił dyszę. W następnej chwili leżał już na plecach czując, że zbiornik z benzyną uwiera go boleśnie w plecy. Dziewczyna siedziała na nim okrakiem, szczerząc w dzikim uśmiechu zęby usiłowała wyszarpnąć mu dyszę.

Nagle dokładnie pomiędzy jej piersiami pojawił się metalowy jęzor. Wyprostowała się gwałtownie i krzyknęła. Wilson tuż za nią dostrzegł Kimberley, która wciąż trzymała w dłoni jedną z metalowych włóczni.

— Pospiesz się — powiedziała, pomagając mu zepchnąć bezwładne ciało Hilary na bok. — Słyszę, że nadciągają już jej przyjaciółki.

Wyciągnęła dłoń, żeby pomóc mu wstać. Kroki stawały się coraz bliższe.

Nadciągnęły zbitą masą. Musiało ich być przeszło tuzin. Uruchomił miotacz...

Następna minuta była pełnym jęków i krzyków koszmarem.

Stał w miejscu, krztusząc się od dymu, podczas gdy ciała wokół niego drgały w ogniu lub rozpadały się na kawałki. W całym tym zamieszaniu udało mu się odnaleźć Kimberley i pośpieszyli na górę.

W drodze na szczyt szczęśliwie nie natknęli się już na żadną „siostrę”. W końcu znaleźli się na najwyższym poziomie wieży. Grzyb był wszędzie, pokrywał nawet okna. Po krótkich poszukiwaniach stwierdzili, że pomieszczenie jest puste.

Gdy weszli w końcu do sali, mieszczącej niegdyś obrotową restaurację, ich oczy poraził snop jaskrawego światła.

Po chwili oczy Wilsona przywykły do blasku i rozejrzał się z ciekawością. Natychmiast spostrzegł, że w całym tym pomieszczeniu nie ma śladu grzyba. Kolorowe draperie strzępek wisiały jedynie na zewnątrz okien, ale podłoga, ściany i bogate wyposażenie laboratoryjne były nieskazitelnie białe.

Nagle usłyszał głos. Rozległ się tak blisko, że aż podskoczył.

— Dlaczego zgoliłeś wszystkie włosy, u licha? Łysina zupełnie do ciebie nie pasuje, Barry.

To była Jane.

## Rozdział siódmy

Obawiając się tego, co może zobaczyć, Wilson powoli odwrócił głowę.

Jednak widok, jaki ujrzał sprawił, że przez dobrą chwilę czuł się kompletnie otumaniony.

Jane wyglądała dokładnie tak, jak dawniej. Wydawała się wolna od jakiegokolwiek śladu grzyba. Ubrana była w biały fartuch laboratoryjny, a jej gołe nogi i stopy były najzupełniej czyste, tak samo jak twarz i ręce — wyraźnie cieszyła się dobrym zdrowiem.

Zrobiła krok do przodu z miłym uśmiechem na ustach, co ponownie spowodowało u Wilsona silny nawrót obezwładniającego poczucia nierzeczywistości. Przez jedną, zwariowaną chwilę miał wrażenie, że on i Kimberley wpadli tutaj z przyjacielską wizytą. Jedyne fakte, że oboje byli nadzy, wysmarowani sokiem i krwią i to, że dźwigał na plecach miotacz ognia pozwoliły im odzyskać równowagę.

Jane zatrzymała się tuż przed nim i obrzuciła ich oboje krytycznym spojrzeniem. Zmarszczyła brwi, lecz już po chwili uśmiechnęła się ponownie.

— Kim jest twoja przyjaciółka, Barry — zapytała wskazując na Kimberley. — Pod całym tym brudem wygląda całkiem atrakcyjnie.

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, wyręczyła go Kimberley:

— Nazywam się Kimberley Fairchild. Kiedyś już się spotkałyśmy. Na konferencji w Londynie, dwa lata temu.

— Naprawdę? — Jane posłała Kimberley uważne spojrzenie, ale w jej wzroku nie było ani śladu rozpoznania. Wilson domyślił się, że poszukuje na ciele dziewczyny śladów grzyba. I była najwyraźniej zdziwiona, nie dostrzegając go.

— Jane, gdzie są Simon i Jessica? — zapytał niecierpliwie. — Jak się czują?

— Co? Och, czują się świetnie — odparła obojętnie.

— Gdzie są? Chcę się z nimi zobaczyć.

Zignorowała to, przesuwając uważnym spojrzeniem wzdłuż jego ciała.

— To bardzo dziwne, że żadne z was w najmniejszym nawet stopniu nie wydaje się opanowane przez grzyb. Oboje musicie posiadać niezwykle wysoki stopień odporności immunologicznej. Nie rozumiem tego.

— Braliśmy środki, aby zabezpieczyć się przed infekcją — powiedział Wilson. — Wydaje się, że na razie działają. Słuchaj, dzieci. . .

— Środki? Jakie środki? — zapytała gwałtownie Jane z niepokojącym błyskiem w oku. Dziwny ton jej głosu sprawił, że Wilson przyjrzał się jej uważniej. Jego nadzieja, że dzieciaki są całkowicie bezpieczne, rozwiała się. Powiedział jej szybko o megacrynie i innych specyfikach.

Jane uśmiechnęła się z widoczną ulgą.

— Zabezpieczenie krótkoterminowe, to możliwe, ale nic ponad to. Mielicie po prostu szczęście.

— Ty także. Chyba, że coś ukrywasz. . .

— Nie. Jestem absolutnie zdrowa — odkryła poły fartucha. Pod spodem nie miała nic. Reszta jej ciała była tak samo czysta, jak twarz. Matka-Ziemia pozostawiła mnie, abym dokończyła moją pracę. Gdy tylko skończę, z radością oddam się pod jej opiekę.

Wilson spojrział na Kimberley dając jej znak, by pozwoliła mu mówić. Odwrócił się i napotkał na utkwione w siebie beznamiętne spojrzenie Jane.

— Matka-Ziemia? — zapytał unosząc wysoko brwi.

Jane płynnym ruchem pokazała wszechobecny grzyb, doskonale widoczny z okien wieży.

— Oto jej błogosławiona manifestacja. Wszędzie dookoła ciebie. Wszyscy jesteście w jej łonie.

— Jane — powiedział spokojnie. — To jest zagrożenie. Zabija ludzi. Musimy to powstrzymać.

Posłała mu spojrzenie, wyrażające pogardę i litość równocześnie.

— Początkowo także tak myślałam. Gdy to się zaczęło sądziłam, że zrobiłam coś potwornego. Lecz Matka-Ziemia objawiła mi prawdę. Byłam jej instrumentem, przekształcam świat według jej zamierzeń. . . Spowodować koniec dominacji człowieczego zła na tej planecie i pozwolić Matce-Ziemi odzyskać to, co prawnie należy do niej.

— Jane, ten grzyb powoduje cierpienia i ból. . .

— Narodzinom zawsze towarzyszy cierpienie i ból. Lecz gdy człowiek zniknie już ostatecznie, Matka-Ziemia roztoczy opiekę nad swymi dziećmi. Zespolimy się z naturą, zamiast z nią walczyć. Już nigdy więcej głodu ani bólu. Na zawsze staniemy się jej częścią.

— Rozumiem — powiedział zrezygowany Wilson. To było beznadziejne. Przerazona potwornością tego, co zrobiła, wpadła w szaleństwo. W przewrotny sposób udało jej się przekonać samą siebie, że dokonała tego, co zamierzała — jej grzyb rozwiąże problemy żywnościowe.

— A na czym polega praca, którą musisz dokończyć? — zapytał.

— Muszę określić i przewyciężyć czynnik, powstrzymujący grzyby przed rozmnażaniem. Tworzę także nowe gatunki, aby ci nieszczęśnicy, którzy uniknęli

do tej pory kontaktu z Matką-Ziemią, byli wreszcie w stanie dostąpić błogosławieństwa przyłączenia.

Czując, jak krew ścina mu się w żyłach Wilson skinął powoli głową. Za wszelką cenę należy zachować spokój.

— Osiągnęłaś już jakieś sukcesy?

— Jestem pewna, że już niedługo uda mi się rozwiązać problem rozmnażania — wskazała na długi rząd inkubatorów, stojących pod jedną ze ścian. — Gdy tego dokonam, zabiorę nowe zarodniki na dach i rozsieję w powietrzu. Będą zawierać w sobie nowy czynnik. Umożliwi on Matce-Ziemi przyjęcie do swego grona tych, którzy jeszcze wykazują na nią irytującą odporność. Ten problem już rozwiązałam, chociaż dla pewności muszę przeprowadzić jeszcze kilka testów. Lecz przy waszej pomocy będę mogła to znacznie przyspieszyć. . .

— Dlaczego sądzisz, że ci pomożemy?

Uniosła brwi w udanym wyrazie zaskoczenia.

— To przecież powód, dla którego tu jesteście. Dlaczego bowiem Matka-Ziemia pozwoliłaby, abyście dotarli aż tutaj? Gdyby was nie ochraniała, moje strażniczki już by was zabiły.

Wilson spojrział na dyszę miotacza ognia, a następnie na zakrwawioną włócznię w rękach Kimberley. Jane w widoczny sposób ignorowała tę broń. Nie przyjmowała do wiadomości, że po prostu mogli pokonać strażniczki. Nic nie było w stanie zachwiać jej obłąkańczego przeświadczenia o boskości grzyba. Zdecydował, że najlepiej będzie nie wyprowadzać jej z błędu. Niech się jej wydaje, że w dalszym ciągu sprawuje pełną kontrolę nad sytuacją, otoczona bezpiecznym kordonem żywych strażniczek.

— A w jaki sposób mielibyśmy ci pomóc? — zapytał w końcu.

— Muszę przyznać, że początkowo byłam nawet zaskoczona, widząc was tutaj. W głównej mierze spowodowane to było waszym wyglądem, lecz teraz już rozumiem, dlaczego nie nosicie na sobie znamienia Matki-Ziemi. Jedno z was jest najwidoczniej odporne — a prosty test wykaże, które. Potrzebuję takiego organizmu, aby przeprowadzić końcową serię testów. Z poprzedniego osobnika, który wykazywał pewną odporność, nie będę już miała wiele pożytku. Jego tkanki zostały całkowicie spożytkowane. . .

— Jaki osobnik? Gdzie on jest? — zapytał Wilson rozglądając się po pomieszczeniu.

Jane puściła to pytanie mimo uszu.

— Bez wątpienia ty jesteś osobnikiem odpornym — powiedziała, wskazując na Kimberley. A rolą Barry'ego będzie praca asystenta. W końcu, był kiedyś mikologiem — pokiwała z ekstazą głową. — O, jak mądra jest Matka-Ziemia, zsyłając mi wyszkolonego asystenta w tak ważnej chwili. I jaki doskonały wybór z jej strony, Barry. Chociaż jesteś mężczyzną, będziesz jednym z instrumentów jej ostatecznego zwycięstwa. Twoja obecność tutaj to częściowa pokuta za wszelkie

zło, jakie wyrządziłeś Matce-Ziemi poprzez swoją płeć. Tak jak i twój syn, który także pokutuje za swoją męskość...

— Simon? — wykrzyknął rozpaczliwie Wilson. — O czym ty, do diabła, mówisz? Gdzie on jest?

Cofnęła się o krok do tyłu.

— Ależ on jest tutaj, Barry. Popatrz na niego. Jest po prostu cudowny — odwróciła się i podeszła do sporego, szklanego pojemnika, do którego podłączonych było kilkanaście rurek. Wilson i Kimberley pospieszyli za nią.

Jedna ze ścian pojemnika była przezroczysta. Cały pojemnik wypełniało coś miękkiego. Jane postukała w szybę. Miękką masę poruszyła się. Nagle pośrodku otworzyła się para oczu. Były jasnoniebieskie.

Oczy Simona.

— Oto nasz syn — oświadczyła Jane z dumą.

Wilson bez słowa wpatrywał się w oczy swojego syna. Patrzyły na niego z błaganiem. Wilson z przerażeniem spostrzegł, że w oczach tych wciąż błyszczą inteligencja.

— A Jessica? — zapytał zduszonym głosem Wilson. — Co zrobiłeś z nią, ty mordercza suko?

— Jessica czuje się świetnie — odparła Jane, w widoczny sposób zaskoczona jego gwałtowną reakcją. — Jest szczęśliwa pod opieką Matki-Ziemi. Razem z resztą wyznawczyń strzeże tego sekretnego miejsca. To dziwne, że nie spotkałeś jej po drodze.

Ze zmartwiałych palców Wilsona wysunęła się dysza i ze stukotem upadła na podłogę. Odwrócił się, spoglądając prosto w oczy Jane.

— To znaczy, że była pośród tych s t w o r ó w? — wykrzyknął.

W spojrzeniu Jane oprócz głębokiego samozadowolenia nie było nic.

— Zrozumiesz wszystko, gdy sam oddasz się pod opiekę Matki-Ziemi — powiedziała z natchnieniem w głosie.

Prawa dłoń zacisnęła mu się nagle w pięść i grzmotną ją prosto w twarz, wkładając w ten cios całą swą siłę. Jej głowa spadła z karku z suchym trzaskiem.

Kimberley krzyknęła.

Bezgłowe ciało Jane chwiało się tuż przed nimi. Z kikuta szyi zamiast krwi zaczęła wyciekać zielona, śluzowata ciecz. Mogli wyraźnie dostrzec, że całe jej ciało wypełnia w środku ohydny, porowaty grzyb.

Po chwili koszmarna postać, wymachując bezładnie ramionami zrobiła krok do przodu. Kimberley wrzasnęła ponownie, ponieważ wydawało się, że bezgłowa zjawa sunie prosto na nią. Uderzyła ją trzymanym w dłoni prętem. Zaostrzony koniec zagłębił się w pierś Jane i wyszedł plecami, nie napotykając po drodze żadnego oporu. Kimberley krzyknęła dziko i odskoczyła do tyłu.

Bezgłowa rzecz postąpiła jeszcze parę kroków, a potem runęła bezwładnie na podłogę.

Wilson odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na umieszczony w zbiorniku puszasty kształt, który był kiedyś jego synem.

— Simon. . . — szepnął bezradnie. Niebieskie oczy zamrugały w odpowiedzi powiekami.

Szybkimi ruchami wyswobodził się z uprzęży. Nieporęczna broń upadła na podłogę. Pochylił się i zaczął wywlekać pojemnik z pokoju. Po chwili usłyszał, jak podchodzi do niego Kimberley. Dziewczyna płakała.

— Zabiłeś ją — chlipała. — Zabiłeś ją i nigdy już nie poznamy sekretu jej enzymu.

Nie odpowiedział. Z powyrywanych rurek sterczących z boku pojemnika wyciekał na podłogę jasny płyn. Wyprostował się i spojrzął na syna. Tak, jak się tego spodziewał, oczy Simona stały się szkliste i puste.

— Słuchasz mnie? — zapytała Kimberley chwytając go za ramię. — Zabiłeś naszą ostatnią nadzieję. Nie możemy. . . — przerwała nagle i gwałtownie wciągnęła powietrze. — Boże. . . spójrz. . .

Odwrócił się i spostrzegł głowę Jane. Potoczyła się pod jeden z inkubatorów i zaczęła wolno pękać.

Wilson podszedł bliżej. Spojrzął w szeroko otwarte, zastygłe w wyrazie zdumienia, oczy Jane. Na jej czole aż do podstawy nosa pojawiła się długa rysa, która zaczęła się rozszerzać. Nagle czaszka pękła na dwoje, ukazując biały, sferyczny grzyb. Na oczach zdumionego Wilsona twój ten zaczął puchnąć. . .

— Spójrz, jej ciało także! — wykrzyknęła Kimberley. Odwrócił się ponownie. Bezgłowy korpus Jane przechodził podobną transformację. Całym ciałem wstrząsały serie konwulsji. Nagle z szyi wystrzeliły długie nitki strzępek.

Wilson stał sparaliżowany widokiem ciała własnej żony, które z wolna zapadało się w sobie. Gdy kłębiące się na podłodze strzępki pomknęły w ich kierunku, Kimberley podbiegła w stronę miotacza ognia. Podniosła go i po paru próbach z dyszy wystrzelił ryczący jęzor ognia. Wystraszona Kimberley krzyknęła, lecz już po chwili, manewrując niezręcznie ciężkim sprzętem podpała drgające ciało, a następnie skierowała dyszę w stronę głowy Jane. . .

— Jak to się wyłącza? — wykrzyknęła z przestachem, gdyż pomimo jej wysiłków dysza wciąż bluzgała płynnym ogniem. Wilson drgnął i pobiegł, aby jej pomóc. Lecz zanim zdążył zakręcić zawór, było już za późno. Całe laboratorium stało w ogniu. . .

\* \* \*

Ogień rozprzestrzeniał się niezwykle szybko, zmuszając ich do ucieczki. Wtedy właśnie Wilson dostrzegł niewielkie, szklane pudełeczko. Leżało na stole, który swym wystrojem przypominał ołtarz. Krzyknął do Kimberley, by się wycofała, a sam pobiegł poprzez płomień w stronę stołu.

Pudełko wypełniały kartki papieru. Wilson na pierwszy rzut oka rozpoznał gęsty, odręczny charakter pisma swojej żony. Odnalazł notatki.

Włożył pudełko pod pachę i skoczył w stronę drzwi. Wrzasnął dziko, gdy w pewnej chwili płomienie liznęły jego nagą skórę. W końcu przebiegł przez drzwi i zanurkował w bezpieczną ciemność.



## Rozdział ósmy

Kimberley zmarła trzy dni później.

Następnego ranka po pożarze, Wilson zauważył tuż pod jej prawym kolaniem niewielką plamkę pomarańczowej pleśni. Godzinami pomagali Carterowi przynieść ekwipunek do pobliskiej Easton Tower, która była najlepszym miejscem do przeprowadzenia transmisji radiowej.

Podczas gdy Carter bez wytchnienia pracował nad skonstruowaniem nadajnika, wykorzystując do tego celu anteny i nie uszkodzony sprzęt z umieszczonej w tym samym budynku stacji radiowej — Capital Radio, Wilson i Kimberley przeszukiwali ich nową siedzibę, odnajdując w końcu zbiornik pitnej wody.

Z prawdziwą rozkoszą zmyli wreszcie pokrywającą ich ciała warstwę krwi i błota. Kąpiel w świeżej wodzie w widoczny sposób poprawiła także ich nastroje. Wilson, spoglądając na nagą Kimberley, zdał sobie nagle sprawę, że desperacko pragnie się z nią kochać. Kilka spędzonych razem chwil z pewnością wymazałoby z pamięci — choćby jedynie chwilowo — koszmar ostatnich paru dni.

Szybko okazało się, że dziewczyna też go pragnie. Jej ciało drżało pod dotykiem męskich dłoni, gdy zmywał z niej mydło. Lecz gdy po raz kolejny nachylał się, by zaczerpnąć wody, dostrzegł tę pomarańczową plamkę. . .

— Kimberley — jęknął zrozpaczony.

Wzrok dziewczyny powędrował w dół. Jedyne dźwiękiem, jaki wydała, było miękkie, spokojne „och”.

Przytulił ją do siebie nie wiedząc, co powiedzieć. Kimberley przez chwilę tkwiła w jego objęciach, a potem odepchnęła go łagodnie, lecz stanowczo i powiedziała:

— Przestań. Nie teraz. Chodźmy zobaczyć, jak idzie Carterowi.

Nie wspominali o grzybie przez cały dzień, ale wraz z zapadnięciem nocy nie mogli już udawać, że niczego nie dostrzegają. Do tego czasu prawa noga dziewczyny, od stopy aż po biodro, pokryta została pomarańczową pleśnią. Przypominała wełnianą pończochę.

Carter także nie mógł tego nie zauważyć, ale taktownie omijał ten temat. Siedzieli właśnie w pomieszczeniu, które kiedyś było pokojem kontrolnym stacji radiowej. Wykorzystując znalezione tu części zamienne, Carter zbudował funkcjo-

nujący nadajnik i zakończyli właśnie nagrywanie przeanalizowanej przez Wilsona treści notatek Jane. Wilson śpieszył się z czytaniem tekstu wiedząc, że raz wyjęte z pudełka kartki szybko padną ofiarą grzyba. Szczęśliwie udało mu się przekazać wszystkie najistotniejsze fakty. Zidentyfikował kluczowy enzym i z detalami opisał jego strukturę chemiczną. Carter nagrał to wszystko i zamierzał nadawać bez chwili przerwy.

Wtedy właśnie Kimberley zapytała Cartera:

— Sądzi pan, że to grzyb symbiotyczny czy pasożytniczy? — Obaj mężczyźni natychmiast zorientowali się, o czym mówiła.

— Jeszcze za wcześnie, aby to stwierdzić — zasyczał Carter.

Zamyśliła się a potem powiedziała:

— No cóż, przynajmniej jest ładniejszy niż te, które widziałam.

Carter rozpoczął transmisję. Ponieważ polegał wyłącznie na bateriach, nie był pewien, jak daleko dotrze ich sygnał. Nie było możliwości zbudowania odbiornika, aby upewnić się, czy ich sygnał został odebrany.

— Jakie są szanse? — zapytał Wilson.

— Pół na pół. Nadaję na wyznaczonych sekwencjach, a więc jeżeli ktoś pozostaje na nasłuchu przez 24 godziny na dobę, powinien go odebrać. Wszystko zależy od tego, jak daleko od nas znajduje się najbliższy odbiornik. Być może grzyb dotarł już przez Walię aż do wybrzeża. Siła fal radiowych zależy także często od warunków atmosferycznych, a więc im dłużej uda mi się utrzymać całą tę aparaturę w ruchu, tym lepiej. . .

Wilson i Kimberley zostawili Cartera w pokoju kontrolnym, a sami udali się do apartamentu piętro wyżej. Stała tam szafka, w której poprzednim razem znaleźli puszki z żywnością.

Jedli w całkowitych ciemnościach. Otwierali jedną puszkę po drugiej i smakowali ostrożnie, aby zidentyfikować zawartość. Był to dziwny posiłek, składający się ze szparagów, tuńczyka, zupy pomidorowej, soku morelowego i skondensowanego mleka.

Po posiłku kochali się. Kochali się wprost na podłodze, złączeni obopólnym pragnieniem, nagłą potrzebą chwili. Wilson początkowo próbował unikać kontaktu z jej prawą nogą, lecz wkrótce nie miało to już żadnego znaczenia. . .

Gdy leżeli objęci, wyczerpani, ale szczęśliwi, Kimberley westchnęła nagle i powiedziała:

— Teraz żałuję, że nie poznaliśmy się lepiej. — Po rzeczowym tonie jej głosu Wilson zorientował się, że pogodziła się już z nieuchronną śmiercią.

— Ja także — odparł, przytulając ją mocniej. — Ale wciąż jeszcze mamy na to czas.

— Tak. Chyba tak — odparła, chociaż Wilson doskonale wiedział, że wcale tak nie myśli.

— Na początek możesz mi powiedzieć, dlaczego właściwie wybrałaś się z tą misją. Wiem, że przez cały czas coś ukrywasz.

Westchnęła ponownie.

Tak, masz rację. Miałam ukryty motyw. Na początku miało to sens, lecz teraz wiem, że nigdy by się to nie udało. . .

— Co?

— Chciałam wydostać z więzienia moich rodziców. W zeszłym roku zostali skazani przez sąd w Johannesburgu za działalność terrorystyczną. Oskarżono ich o podłożenie ładunku wybuchowego — roześmiała się gorzko. — Wszystko zostało ukartowane. Moi rodzice przez lata byli gorącymi przeciwnikami segregacji rasowej, ale nigdy nie angażowali się w przemoc. Na miłość boską, przecież moja matka jest lekarzem! A jednak skazano ją na dziesięć lat więzienia, a ojca na piętnaście.

Wilson wyraził jej swoje współczucie, chociaż nie bardzo rozumiał, co wspólnego mogło mieć uwięzienie jej rodziców z grzybami.

— Gdy dowiedziałam się o sytuacji w Londynie — kontynuowała dziewczyna — przyszedł mi do głowy ten dziki pomysł. Dotyczy on zmutowanych porostów. Znasz przecież te przedziwne właściwości porostów, prawda?

— Co nieco — odparł, próbując sobie przypomnieć. — Wiem, że są dziwną kombinacją grzybów i alg. . .

— Tak. Lecz przede wszystkim mają zdolność absorbowania metali. Istnieje teoria, iż całe zasoby złota Afryki Południowej są rezultatem działalności prekambryjnych porostów, absorbujących złoto bezpośrednio z wody. Wpadłam więc na pomysł, aby użyć zmutowanych alg do tego samego celu — chciałam uzyskać ogromne ilości złota z wody morskiej. Gdyby się to udało, oznaczałoby to ruinę całej ekonomii Południowej Afryki. Cena złota gwałtownie spadłaby, a cały ten kraj jest przecież zależny od swych cholernych zasobów. . .

Nagle zrozumiał.

— A więc chciałaś szantażować tym rząd Południowej Afryki, aby uwolnili twoich rodziców.

— Właśnie.

— Ale to oznaczałoby dalszą modyfikację zmutowanego enzymu Jane. Byłoby to bardzo ryzykowne i niebezpieczne.

Czuł, jak dziewczyna drży w jego ramionach.

— O to martwiłabym się później. Lecz przede wszystkim chciałam się upewnić, że sekret twojej żony nie zaginął. A więc doprowadziłam do takiej sytuacji, w której mój udział w tej wyprawie stawał się niezbędnym.

Przez chwilę Wilson zastanawiał się nad tym, co właściwie usłyszał.

— Jesteś szalona — powiedział w końcu. — To by się nigdy nie udało.

— Może i nie, ale musiałam spróbować. Teraz właściwie tego żałuję... nie jestem tak silna, jak myślałam. Nie chcę umierać, ale nie chcę też skończyć jak te stwory, które widzieliśmy wcześniej...

Uścisnął ją lekko.

— Nie myśl o tym. Nie teraz.

— Wyświadczysz mi przysługę? — nie ustępowała Kimberley.

— Oczywiście.

— Jeżeli przeżyjesz to wszystko, spróbuj skontaktować się z moimi rodzicami. Opowiedz im o mnie, dobrze?

— Oczywiście. O ile przeżyję. Ale nie wydaje mi się, abym miał jakiegokolwiek szansę.

— Jestem pewna, że uda ci się uniknąć infekcji — powiedziała poważnie. — Twoja żona miała rację. Jedno z nas jest w naturalny sposób odporne, ale to nie byłam ja...

— Miałem szczęście.

— Nie. To prawdopodobnie dziedziczne. Twój syn także był odporny, zanim twoja żona... — urwała. — Przepraszam.

Nagle na swoich wargach poczuł ciepło jej ust.

— Obiecuj mi, że zrobisz to, o co cię prosiłam — szepnęła.

— Obiecuję — powiedział. Wiedział, że dotrzyma danego słowa. Zrobi także wszystko, aby uwolnić jej rodziców z więzienia. Ostatecznie jako człowiek, który — miejmy nadzieję — uratował świat, będzie mógł wymagać jakiejś nagrody.

Potem kochali się ponownie. Lecz tym razem z dużo większym uczuciem i wolniej. W końcu zmęczony zasnął.

Gdy się obudził, pokój skąpany był w pełnym blasku dnia. Kimberley nie było.

Poszedł jej szukać, mimo że w głębi serca wiedział, iż było to stratą czasu. Znalazł ją dopiero wtedy, gdy wyszedł na dach i spojrzał w dół. Dużo niżej, na porastającym chodnik żółtym dywanem widniała jaskrawa, pomarańczowa plama.

Poczuł, jak jego oczy szybko napełniają się piekącymi łzami. Odwrócił się i poszedł do pokoju kontrolnego.

\* \* \*

Carter spał. Sprzęt nadawczy stał cichy i martwy. Wilson obudził Cartera lekkim potrząśnięciem za ramię i spytał o sytuację.

— Utrzymywałem transmisję przez przeszło sześć godzin — zasyczał Carter. — A potem to cholerne urządzenie przestało nagle działać. Możemy mieć jedynie nadzieję, że ktoś nas usłyszał... — rozejrzał się dookoła. — A gdzie jest młoda dama?

— Kimberley odeszła — powiedział Wilson.

— Rozumiem — odparł Carter kiwając swą niekształtną głową.

\* \* \*

Dni płynęły monotonnie jeden za drugim. Gdy Wilson nie myszkował w poszukiwaniu żywności i wody, większość czasu spędzał razem z Carterem na dachu Euston Tower. Czekali, aż coś się wydarzy — na jakiś sygnał. Nie mieli jednak pojęcia, jaki.

Carter nie odzywał się wiele. Wzrastający ciężar roślinnej skorupy, która pokrywała jego głowę, szyję i klatkę piersiową sprawiał, że oddychanie przychodziło mu z coraz większym trudem.

Podczas jednej z ich ostatnich konwersacji, Wilson powiedział nagle:

— Chryste, oddałbym wszystko za jednego papierosa.

— Szkoda płuc — odparł Carter i wydał swój podobny do śmiechu dźwięk.

Potem dodał:

— Jeżeli chodzi o mnie, wolałbym poczytać książkę. Obojętnie jaką. Nawet o Flannerym. . .

Słyszac to, Wilson także się roześmiał.

Ósmego dnia otrzymali wreszcie tak długo oczekiwany sygnał. Zbliżało się południe, siedzieli więc na swym stałym miejscu na dachu. Nagle tuż nad ich głowami z ogłuszającym rykiem przemknął myśliwiec RAF-u. Po chwili zatoczył nad wieżą koło, machając wyraźnie skrzydłami i zniknął na północy.

— Sądzi pan, że to było potwierdzenie odbioru naszej wiadomości? — zapytał z ożywieniem Wilson.

— Chyba tak — odpowiedział z wyraźnym trudem Carter. — W żaden inny sposób nie mogli się przecież dowiedzieć, że tu jesteśmy.

Następnego ranka Carter zmarł. Uduśił się podczas snu.

Wilson pozostawił go tam, gdzie leżał, a do wieczora grzyb pochłonał go całkowicie. Pomarańczowa plama na chodniku poniżej znikła już dawno.

Każdego ranka Wilson oglądał uważnie własne ciało i nie znalazł na nim śladu grzyba. Wyglądało na to, że Kimberley miała rację. Był naturalnie odporny. Chociaż w tej chwili nie wydawało się to mieć większego znaczenia.

W tydzień po śmierci Cartera siedział późnym popołudniem na dachu, kończąc ostatnią już butelkę wina i wpatrywał się w ponure, okrywające wszystko morze grzyba. Nagle usłyszał głośny hurkot walącej się konstrukcji. Odwrócił się i zobaczył wieżę Poczty, która przewracała się właśnie na Tottenham Court Road, burząc przy okazji stojące obok budynki. Gdy uderzyła wreszcie o ziemię, w górę uniosła się chmura pyłu i zmiażdżonych cząstek grzyba.

Wilson był nawet zadowolony, że runęła. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, przypominały mu się wydarzenia, które tam miały miejsce... koszmar

laboratorium Jane... oczy syna, wpatrujące się w niego błagalnie ze szklanego pojemnika...

Z niejasnych powodów interpretował zawalenie się wieży jako bardziej optymistyczny sygnał, niż pojawienie się samolotu.

Nabrał nagle pewności, że ta wojna niebawem się skończy zwycięstwem a grzyb będzie pokonany.

Dopił resztę wina i wyrzucił pustą butelkę wysoko w powietrze.